



TOMASZ BIAŁKOWSKI

**DRZEWO MORWOWE**

TOMASZ BIAŁKOWSKI  
**DRZEWO MORWOWE**

SZARA GODZINA

Wszystkie prawa zastrzeżone. Książka ani jej część nie może być  
przedrukowywana  
ani w żaden inny sposób reprodukowana lub odczytywana w środkach  
masowego przekazu bez pisemnej zgody Wydawnictwa Szara Godzina s.c.

Projekt okładki i stron tytułowych

Anna Damasiewicz

Zdjęcia na okładce

© Igor Kovalchuk | Shutterstock.com

Opracowanie edytorskie książki: kaziki.pl

Opracowanie wersji elektronicznej

Grzegorz Bociek

© Szara Godzina s.c., 2012

Wydanie I, Katowice 2013

Wydawnictwo Szara Godzina s.c.

[biuro@szaragodzina.pl](mailto:biuro@szaragodzina.pl)

[www.szaragodzina.pl](http://www.szaragodzina.pl)

Dystrybucja wersji drukowanej: DICTUM Sp. z o.o.

ul. Kabaretowa 21, 01-942 Warszawa

tel. 22-663-98-13, fax 22-663-98-12

[dystrybucja@dictum.pl](mailto:dystrybucja@dictum.pl)

[www.dictum.pl](http://www.dictum.pl)

ISBN 978-83-937565-3-7

*Książkę tę dedykuję żonie Bernadecie.*

## 26 stycznia 2004, poniedziałek

Wokół prostokątnego, drewnianego stołu umieszczono sześć prostych krzeseł. Na jednym z nich siedział przygarbiony, siwy mężczyzna. W pewnej chwili począł rozcierać dłońmi szczupłe, by nie powiedzieć kościste, uda i niezdarnie sięgnął do kostek. Wolno rozprostował sztywne członki i powrócił do pierwotnej pozycji. Tępo wlepiął wilgotny wzrok w leżącą tuż przed nim szarą kartkę papieru. Wskazującym palcem kreślił na niej kręgi, ostukiwał ją kciukiem. Wreszcie Rajmund Gesler, bo tak się nazywał starzec, zgniótł prawą ręką kartkę i cisnął ją na pstrokaty, wytarty dywan. Niezdarnie wstał od stołu i na obolałych, patykowatych nogach ruszył do przedpokoju. Nie bez trudu nasunął na stopy czarne, skórzane trzewiki, z wieszaka zdjął wełniany, brązowy płaszcz. Na głowie umieścił futrzaną czapę z norek. Wyłączył prąd. W ciemności stał dobrych kilka minut przed drzwiami na korytarz. Zacisnął dłoń na klamce, jakby się na niej wspierał. Potem ponownie nacisnął kontakt. Cofnął się do pokoju. Jego wzrok wędrował po pstrokatej plamie dywanu. Gesler odnalazł wreszcie pogniecioną przed chwilą kartkę. Podniósł ją i ruszył na środek pokoju. Rozprostował pomięty papier na stole kantem dłoni, po czym z kieszeni wygrzebał zapalniczkę. Wykrzesał ogień. W następnej chwili umieścił płonący list w popielnicy. Wciągał w płuca zapach gryzącego dymu i z uwagą obserwował proces spalania. Kiedy z kartki powstała popielata, delikatna skorupa, Gesler splunął do ciężkiego, szklanego pojemnika. Wolno, z namaszczeniem wcierał teraz popiół w kościste palce, tak aż stały się szare. Na jego twarzy widoczny był strach.

Mężczyzna obrócił się na zdartych obcasach i podszedł do przedwojennego radia Telefunkena. Był to utrzymany w doskonałym stanie model Fenomen Mb 713. Gesler nie zamierzał jednak słuchać muzyki.

Brudnymi dłońmi pochwycił wypolerowaną obudowę i obrócił odbiornik o sto osiemdziesiąt stopni. Zdjął luźno dostawioną tylną ścianę i wyjął z wnętrza radia owinięty flanelową szmatką przedmiot. Kiedy rozwinął materiał, na jego dłoni ciążył błyszczący od smaru, czarny pistolet P64. Staruszek przetarł go szmatką i z wprawą umieścił w wewnętrznej kieszeni płaszcza.

Tym razem zapomniał o wyłączeniu kontaktu. Starannie zamknął drzwi i ruszył do wyjścia. Wyszedł przed klatkę kamienicy przy ulicy Grunwaldzkiej numer jedenaście. Obok, pod numerem dziewiątym, była niewielka hala sportowa "Budowlanych". Z jej okien przebijało mdłe światło. Jak każdego dnia ćwiczyli w niej zapaśnicy. Gesler pamiętał z dzieciństwa, że w miejscu hali znajdowała się synagoga. To na tej ulicy zebrano w domu starców wszystkich Żydów z miasta i okolic. Potem, chyba w czterdziestym pierwszym, gdzieś ich wywieziono. Teraz taki los spotka jego. Co do tego nie miał wątpliwości. Nigdy już nie wróci na swoją ulicę.

Poczuł nieprzyjemne zimno. Poprawił futrzaną czapę, postawił kołnierz płaszcza, zerknął na zegarek. Chociaż była dopiero godzina piętnasta, ulice pokrywał mrok. Zwały brudnego śniegu zalegały trawniki i krawędzie chodników, tworząc wąskie tunele, przez które ostrożnie, w obawie przed upadkiem, posuwali się wolno ludzie. Gesler ruszył w dół, w kierunku postoju taksówek znajdującego się przy moście Jana. Po drodze minął duży, pęknięty kamienny obelisk, do którego przytwierdzono mosiężną tablicę z napisem: "3 lutego 1807 roku Napoleon przebywał tu z zamiarem stoczenia bitwy z wojskami rosyjskimi". Zwykle uśmiechał się, czytając tę niedorzeczną informację. Napoleon przebywał z zamiarem! To wystarczyło, by ufundować pamiątkowy głaz! Cóż za tępy lud! Już zapomnieli o Dekrecie Grudniowym. Hołota! Skąd ta nieodwzajemniona miłość do tyrana?

Ale dzisiaj nie było mu do śmiechu. Odczekał dłuższą chwilę na przejściu

dla pieszych, chociaż gdyby przyśpieszył, zdążyłby przebiec przed nadjeżdżającym zza zakrętu białym oplem. Ale Gesler wcale się nie spieszył. Przeszedł most, pod którym płynęła Łyna. Pomimo dużego mrozu rzeka ciągle nie zamarzła. W młodości pływał po niej kajakiem. To było jego jedyne hobby. Kiedy płynął, nie myślał o niczym innym. Jego świat na tych kilka godzin nabierał jasnych barw i intensywnych zapachów. Kiedy płynął, nie myślał o tym, co robi na co dzień. Teraz Łyna była surowa, ciemna i ponura. Zupełnie jak on.

Wsiadł do granatowego mercedesa, którego właścicielem był otyły człowiek po pięćdziesiątce. Gesler kazał się zawieźć na ulicę Parkową, pod Las Miejski. Ruszyli. Kierowca najwyraźniej należał do tego typu przewoźników, który natychmiast musi nawiązać rozmowę z pasażerem. Komentował uliczny bałagan, śliskie drogi, ciemności, a na Alei Sybiraków zebrało mu się na wspomnienie położonego w lesie stadionu. Gesler zrozumiał, że mężczyzna był kiedyś czynnym sportowcem, bodajże kulomiotem. Tłumaczyło to jego tuszę. W milczeniu wysłuchiwał opowieści o jakimś Szmidcie - podwójnym złotym olimpijczyku, który bił rekordy na tym stadionie i tak jak kierowca odniósł kontuzję kolana. O wielkim meczu lekkoatletycznym Polaków ze Szwajcarami. Kierowca zapędził się w swojej opowieści i przywoływał przedwojennych atletów. Padały kolejne nazwiska:

Hirschfeld, Stock, Rosenthal. Jeszcze odbierając należność na Parkowej, gadał o stadionie, który doprowadzili do ruiny komuniści. Życzył im wszystkiego najgorszego. Taksówkarz był ciekaw, kim jest milczący starszy pan, wyglądający jak emerytowany nauczyciel. Połączył się z centralą, informując o miejscu pobytu, i kątem oka obserwował zadumanego starca kierującego się za budynek Centrum Kultury, w stronę przedwojennej willi, której blaszany dach połyskiwał w świetle księżyca.

Stary wszedł na pokrytą zmrożonym śniegiem ścieżkę z betonowych płyt.

Po lewej minął płot, za którym stała malownicza budowla. Ruszył między drzewa, by po chwili zniknąć w ciemnościach. Gesler szedł wąską ścieżką. Rozpoznawał drogę tylko po śladach wgnieceń w puszystej powłoce. Z kieszeni wydobył niewielką latarkę, którą oświetlał sobie drogę. Drugą ręką odsuwał na boki gałęzie, pokryte grubą warstwą śniegu. Ten śnieg opadał mu na twarz i ramiona. Mróz z każdą chwilą tężał, tak bardzo że wkrótce Gesler stracił czucie w dłoniach. Jego twarz pokryła skorupa lodu. Po kwadransie, gdy mężczyzna wyszedł na wielką polanę, mógł wreszcie rozprostować przygięte do ziemi ciało. Uśmiechnął się na wspomnienie słów taksówkarza. Gesler znalazł się na czymś, co kiedyś było opisywanym przez tamtego stadionem, a teraz zasypaną śniegiem, porośniętą szuwarami łąką, która wiosną zamieni się w płytkie bagno.

Starzec rozejrzał się uważnie wokoło. Wzrok pomimo upływu lat miał całkiem dobry. Wkrótce dostrzegł w krzakach pobliskiej skarpy kilka masywnych, skulonych postaci. Odruchowo sięgnął do kieszeni po pistolet. Przełknął ślinę i starając się zachować jak najbardziej naturalny tembr głosu, powiedział:

- Montalto, czego chcesz? Po co mnie wezwałeś na to pustkowie? Po co ten list?

Nie usłyszał jednak odpowiedzi. Gdzieś, hen, w oddali, zaskrzeczał ptak.

- Montalto, dziwne wybierasz miejsca na spotkanie. I to po tylu latach... Minęło ćwierć wieku... Czego ty chcesz? - powtórzył.

Do skrzeczenia ptaka dołączyło ujadanie psa. Gesler zgasił latarkę, cisnął ją w śnieg, wydobył z kieszeni stary pistolet, odbezpieczył broń. Na skraju skarpy pojawiało się coraz więcej postaci. Geslera ogarnął strach. Wiedział, że ma tylko sześć naboí i nie da rady przeciwnikom. Mimo wszystko skierował w ich kierunku broń i jeden po drugim wystrzelił pociski Makarowa. Wiedział, że to ostatnie chwile jego życia. Huk wystrzałów



przetoczył się po śniegu zalegającym na gałęziach tworzących trybuny stadionu-widma.

Stado ptaków zerwało się gdzieś za plecami leżącego w śniegu Geslera. Zatoczyło okrąg nad skulonym mężczyzną. Potem usłyszał ciężkie kroki dziurawiące pokrywę śnieżną. Ktoś nad nim dyszał. Gesler zakrył głowę gorącymi dłońmi. Poczul silny ból, który przeszył mu plecy i kark. Wiedział, że za chwilę straci przytomność. W ostatniej chwili przyszła mu do głowy dziwna myśl. A co by było, gdyby tu nie przyszedł? Równie szybko udzielił sobie odpowiedzi. Montalto zatłukłby go przy stole, w jego mieszkaniu przy Grunwaldzkiej. Gesler odpłynął.

Kiedy odzyskał przytomność, zrozumiał, że odwrócono go na plecy. Gesler nie mógł pojąć, dlaczego pomimo mrozu jest mu gorąco. I to szczególnie w stopy. Wkrótce poznał przyczynę tego stanu rzeczy. Leżał z nogami skierowanymi w kierunku sporych rozmiarów ogniska. Ten ogień wydzielał jakiś miły dla powonienia zapach. Odkrył też, że jest bosy. Miał mokre spodnie, być może wskutek różnicy temperatur. Gesler nie wykluczał też wersji, że z bólu oddał mocz pod siebie. Nieraz widział takie rzeczy. Przyszła mu do głowy kolejna irracjonalna myśl. Dlaczego nie umył rąk przed wyjściem? I gdzie się podziały ptaki? Zamiast nich dostrzegł kontury człowieka stojącego tuż nad nim. Przekonany, że zna tego mężczyznę, wyjął błagalnie:

- Montalto. Dlaczego?!

Ale głos, który usłyszał, należał do jakiegoś innego człowieka. Gesler skądś znał ten głos, tyle że teraz nie potrafił sobie przypomnieć jego właściciela. Tamten jakby rozgorączkowany, zaczął mówić:

- Dnia dwudziestego szóstego stycznia w Smyrnie, za czasów Marka Antoniusza i Lucjusza Aureliusza Kommodusa na rozkaz prokonsula wrzucono Go do ognia.

Gesler poczuł, jak mężczyzna ciągnie go do ogniska. Ogień wolno obejmował nogawki spodni, żarłocznie lizał stopy. Ból rósł z każdą chwilą, starzec znowu tracił przytomność. Wtedy tamten natarł mu twarz śniegiem i odciągnął od ogniska. Torturowany wiedział, że to nie koniec - zbyt dobrze znał się na tej robocie. Nie mylił się. Oprawca z przewieszanej przez pierś skórzanej torby wydobyl długi nóż i powiedział:

- Cały naród w amfiteatrze żądał Jego śmierci. Ponieważ jednak płomienie Mu nie zaszkodziły, ścięto Go mieczem.

A wtedy Gesler resztkami sił uniósł głowę i zamiast napastników, do których strzelał, dostrzegł strzelnicze tarcze z makietami ludzi. Odkrył również tożsamość napastnika, ale nie zdążył jej głośno wyjawić, bo rzeźnicki nóż wszedł w jego pierś. Umierał wolno, gdy tamten znosił do ognia drewniane figury pokryte papierem, patrzył, jak płoną, i mówił:

- Razem z Nim tę samą śmierć poniosło dwunastu mieszkańców Filadelfii.

Kiedy morderca spalił wszystkie tarcze, powrócił do konającego Geslera. Przekręcił go twarzą do śniegu. Był bardzo silny. Ukląkł na plecach starca i gwałtownie szarpnął głowę mężczyzny do siebie. Zabójca usłyszał chrzęst łamanych kręgów szyjnych. Potem rzeźnickim nożem oddzielił głowę od tułowia. Pochwycił zwłoki za nogi i pociągnął je po śniegu, wyrysowując krwią zabitego okrąg. W jego wnętrzu umieścił trupa, rozkładając jego ręce na boki, a nogi łącząc ze sobą. Wszystkie czynności wykonywał z jakimś niewiarygodnym opanowaniem i rozmysłem. Na koniec sięgnął do skórzanej torby i wydobyl z niej niewielki foliowy woreczek. Był tak zamarznięty, że mężczyzna musiał go rozgrzewać, rozcierając zakrwawionymi dłońmi, równocześnie chuchając. Wreszcie udało mu się dotrzeć do wnętrza. Delikatnie wydobyl z niego dużego, owłosionego motyla. Owad był biały, miał skrzydła pokryte delikatnymi żyłkami, które teraz oblepiła marznąca

krw. Morderca uniósł głowę Geslera na wysokość oczu i obejrzał ją ostatni raz. Następnie ostrzem noża rozerwał mu żuchwę i umieścił w ustach motyla. Głowę odniósł do okręgu - ułożył ją tuż przy szyi. Przelatujące właśnie nad Geslerem wrzaskliwe ptaki mogły teraz dostrzec postać ułożoną w znak krzyża. Morderca w następnej chwili stracił zainteresowanie zabitym, wytarł dłonie w śniegu, schował nóż do torby i zniknął między drzewami.

## 26 marca 2004, piątek

Prokurator Stefan Markowski zajeżdżał swoim czarnym bmw 745i przed zabytkowy młyn zbożowy, w którym mieścił się elegancki hotel o mało oryginalnej nazwie "Młyn" - na potrzeby przyjeżdżających tam niemieckich turystów nazywano go "Strauchmuhle", czyli "Młyn Krzaczasty", a to za sprawą rosnących w pobliżu lasów. Prokurator opuścił luksusowe wnętrze rocznego sedana i szybko wszedł do holu. Skierował się wprost do recepcji. Zamówił pokój małżeński na nazwisko Kowalski, co miał potwierdzać okazany dowód osobisty. Było to o tyle niezwykle, że Markowski vel Kowalski mieszkał w wystawnym domu kilka ulic dalej, we wschodniej części Elbląga, przy ulicy Reymonta. Odebrał klucz i poszedł do pokoju. Wziął prysznic, przebrał się w szlafrok i otworzył butelkę przyniesionego ze sobą koniaku. Po kwadransie usłyszał pukanie. Uśmiechnął się lubieżnie i poprawiając pasek, ruszył do drzwi. Otworzył je niedbale, a widząc postać na korytarzu, cofnął się o krok. Po sekundzie jego uśmiech zamienił się w przeraźliwy grymas. Stojący przed drzwiami człowiek prawą ręką, okrytą czarną, skórzaną rękawiczką, chwycił prokuratora za gardło, a lewą, zaciśniętą w pięść, uderzył go w żołądek. Potem wepchnął do pokoju i zamknął za sobą drzwi. Przerażony Markowski vel Kowalski wpadł na stolik z butelką. Odruchowo próbował ją pochwycić, by mieć narzędzie do obrony. Wtedy napastnik kopnął go w nadgarstek, a zaraz potem zaczął obijać ciało leżącego na dywanie mężczyzny ciężkim butem. Prokurator zakrył rękami głowę przed kolejnymi razami i zwinął się w embrion. Nie potrafił spojrzeć na napastnika. Dobrze znał garbusa ze spaloną twarzą i okrutnymi oczyma.

- Czego chcesz? - wyjącał po chwili.

Nie usłyszał odpowiedzi. Zamiast tego garbus rzucił w niego gałgan złożony z marynarki, spodni i jedwabnej koszuli. Markowski właściwie odczytał ten gest. Roztrzęsionymi rękoma ściągnął z ramion szlafrok i wolno ubierał kolejne części garderoby. Robił to, nie wstając z podłogi. Bał się kolejnych ciosów. Kiedy już uporał się z garniturem, na czworaka dotarł do butów stojących przy łazience. Garbus nakazał mu wstać. Prokurator odebrał od niego kaszmirowy płaszcz - świąteczny prezent od żony. Założył go i czekał na dalsze polecenia bandyty. Ten nakazał mu umyć zakrwawioną twarz, a pokaleczone dłonie skryć w zamszowych rękawiczkach.

Wyszli z pokoju i minęli kolejne pomieszczenia, nie napotkawszy nikogo. Zeszli do holu i minęli kłaniającego się im recepcjonistę. Pracownik hotelu sprawiał wrażenie wyraźnie zaskoczonego tak nagłym wyjściem gościa w towarzystwie "nieestetycznego karła", jak na poczekaniu nazwał towarzysza Kowalskiego. Zza recepcyjnej szyby obserwował wyraz twarzy prokuratora, ale niewiele dostrzegł, bo gość zakrył głowę kapeluszem, a resztę osłonił szalikiem. Recepcjonista, gdyby nawet zdobył się na nietaktowne pytanie o powód nagłego opuszczenia hotelu przez stałego bywalca, nie uzyskałby odpowiedzi. Powodem było stalowe ostrze sprężynowego wojskowego noża, które prokurator czuł gdzieś na wysokości wątroby.

Wyszli na zewnątrz i po chwili dotarli do samochodu prokuratora. Za kierownicą zasiadł Markowski, a za jego plecami usadowił się garbus. Kiedy ruszali, prokurator dostrzegł wchodzącą do hotelu długonogą blondynkę. Pomyślał, że dzisiaj raczej może zapomnieć o figlach ze śliczną, wyuzdaną młodą damą. I że zaczynających się jutro świąt wielkanocnych na pewno nie spędzi w domu. Garbus nakazał mu jechać na wschód. W milczeniu mijali zaśnieżone pola, lasy, niewielkie osady. Przejechali dwadzieścia pięć kilometrów, gdy dotarli do wsi Słobity, na przedwojennych mapach oznaczonej jako Schlobitten. Pojechali dalej, by dotrzeć do ruin wielkiego

pałacu, od strony południowej zamkniętego zapuszczonym ogrodem.

Samochód zatrzymał się na dziedzińcu rezydencji, która z lotu ptaka przypominała mocno spłaszczoną literę "H". Markowski dobrze znał to miejsce. Były to ruiny potężnego założenia pałacowo-parkowego, największego w tej części dawnych Prus. Należały kiedyś do wielkiego rodu Dohna. To tutaj zatrzymywali się królowie, a pałac słynął ze wspaniałej kolekcji miśnieńskiej, berlińskiej oraz chińskiej porcelany, rodowych portretów holenderskich, pięćdziesięciotysięcznego zbioru bibliotecznego, złota, srebra i delfickiego fajansu. Wszystko to rozgrabiono bądź spalono w ostatnich chwilach wojny. Tyle że Markowski znał to miejsce z innych okoliczności, o których nie chciał zbyt wiele mówić. Swego czasu bywał w ruinach pałacu dosyć często.

Garbus nakazał mu opuścić auto. Wsiadł równocześnie z nim i pchnął go w kierunku wejścia do pałacu. Po kostki w śniegu, upstrzonym odchodami i śladami zwierzęcymi, weszli do środka. Budynek był pozbawiony dachu, otwory okienne, przez które wpadały resztki zachodzącego szybko słońca, czyniły miejsce niezwykle ponurym. Garbus krążył po klepisku, czegoś szukając. Ostukiwał grunt obcasem wojskowego buta. Wreszcie znalazł to, czego szukał. Z miejsca pod jego nogami doszedł głuchy dźwięk. Garbus przygiął się do ziemi, rękawiczką przetarł śnieg z kawałkami pokruszonej cegły i odsłonił metalowy właz do podziemi. Nie bez wysiłku uniósł go nieznacznie, chwilę podpierał kolanem, by nabrać głęboko powietrza i z jękiem szarpnąć właz ku górze. Kiedy to uczynił, oczom mężczyzny ukazał się metrowej szerokości czarny otwór. Garbus wskazał go Markowskiemu, a ten bez słowa ruszył w kierunku dziury w ziemi. Chwilę obserwował wnętrze, a jego wzrok oswajał się z ciemnościami. Wreszcie wypatrzył metalową drabinę opartą o krawędź włazu. Niezdarnie, rozrywając płaszcz przy kieszeni, ruszył w dół. Ledwo jego głowa zniknęła pod ziemią, garbus

pochwycił ciężką klapę i sapiąc, zakrył nią wejście do nory.

Markowski znalazł się w całkowitych ciemnościach. Rękoma próbował wybadać teren. Wolno, krok po kroku, sunął przed siebie. Natrafił wreszcie na ścianę. Wymacał przy ziemi jakiś nieduży przedmiot. Była to drewniana skrzynka. Usiadł na niej i nerwowo począł szukać czegoś po kieszeniach. Przedmiotem jego poszukiwań była zapalniczka. Niestety, za namową kochanki przed miesiącem rzucił palenie. W duchu przeklinał tę decyzję.

Chłód wolno ogarniał jego dłonie i stopy. Markowski wstał i z ponownie wyciągniętymi rękami ruszył przed siebie. Po chwili wpadł na ścianę. Przewrócił się. Głośno zaklął. Natychmiast niezdarnie podniósł się i skierował kroki w przeciwnym kierunku. Natrafił na szczeble metalowej drabiny. Rozgorączkowany, ruszył w górę. Zatrzymał się na moment, bo usłyszał dźwięk zapalanego silnika. Garbus najwidoczniej odjeżdżał jego samochodem. Markowski zaczął ciskać w górę przekleństwa. Równocześnie niewprawnie pokonywał kolejne szczeble. Kiedy dotarł do metalowej klapy, naparł na nią głową i grzbietem. Ciężka płyta nawet nie drgnęła. Najwyraźniej garbus czymś ją zablokował. Markowski nie poddawał się, ponowił próbę, a wtedy jego prawa noga obsunęła się i mężczyzna stracił równowagę. W następnej chwili runął w dół. Uderzył plecami o betonową podłogę. Jego nogi były nienaturalnie powykręcane. Potężny ból wykrzywił mu twarz. Wymacał kości sterczące z porwanych spodni. Na palcach wyczuł kleistą, gorącą krew. Próbował się podnieść. Ból był niewyobrażalny, odbierał zmysły. Markowski od bioder w dół był sparaliżowany. Po chwili stracił przytomność.

Kiedy ją odzyskał, była szesnasta. Tyle tylko, że jego piękny zegarek atlántica z fosforyzującymi wskazówkami miał zbite szkło i wskazywał wciąż tę samą godzinę, w której spadał z drabiny. Prokurator nie wiedział zatem, ile czasu przebywa już pod ziemią. Nogi ciągle pozostawały

bezwładne. Palce u rąk miał odmrożone. Podobnie jak nos i uszy. Zimno wkrótce wyparło ból. Ogarniała go apatia. Temperatura jego ciała z każdą godziną spadała. Mężczyzna wiedział, że powoli zamarza, a przy dwudziestu siedmiu stopniach będzie trupem. Nie mylił się.

Garbus zjawił się w ruinach pałacu po trzech dniach. Odsunął włącz i oświetlając sobie wnętrze latarką, zszedł na dół. Sztywny Markowski leżał skręcony na prawym boku. Garbus podciągnął martwe ciało do drabiny. Obwiązał je liną na wysokości piersi i wyszedł na zewnątrz. Potem, ciężko sapiąc, metr po metrze, wydobywał zwłoki z piwnicy. Pociągnął je w kierunku auta. Zapakował trupa do bagażnika samochodu i przejechał ośnieżoną drogą kilka kilometrów na wschód. Dotarł do niewielkiej rzeki. W ciemnej toni spływały do Zalewu Wiślanego resztki lodu. Garbus wydobył z bagażnika ciało Markowskiego. Cisnął zwłoki w śnieg. Z niemałym trudem wciągnął je między trzciny. W następnej chwili w jego dłoni pojawił się trzymany dotychczas na piersiach ciężki wojskowy nóż. Kiedy po raz pierwszy wbił go w plecy Markowskiego, powiedział:

- A zaginął On przed Wielkanocą. Nikt nie wiedział, co z Nim uczynili. Ciało Jego znaleźli w rzece. A był to Poniedziałek Wielkanocny.

Garbus dźgał ostrzem noża martwe ciało prokuratora przez kwadrans. Przebijał ostrym metalem warstwy materiału, który zamienił się w strzępy upstrzone kawałkami skóry, mięśni, kości i grud krwi. Potem zdjął linę z korpusu trupa i założył pętlę na jego nodze. Drugi jej koniec przywiązał do rosnącej tuż nad wodą wierzby. Na koniec wydobył z torby foliowy woreczek. Trzymał w nim białego, włochatego motyla. Włożył owada w zamrażnięte, rozwarte szeroko usta. Ciało Markowskiego zepchnął do wody. Wpadło między dryfującą, brudnoszarą krę.

Kawały pływającego wolno lodu zakryły ciało. Wystawała jedynie noga, połączona z drzewem napiętą, lnianą liną.



Zmęczony morderca wrócił do wnętrza ciepłego samochodu i po chwili odjechał na wschód.

## 10 sierpnia 2004, wtorek

Dochodziła godzina dwudziesta, kiedy Tomasz Biernat usłyszał dzwonek telefonu komórkowego. Na wyświetlaczu dostrzegł nazwisko jednego ze swoich pacjentów. Przez chwilę zastanawiał się, czy nie odłożyć aparatu na stół tuż obok szklanki zimnego piwa, którą zamierzał wypić w trakcie meczu piłki nożnej, ale wiedział, że nie może tego zrobić. Po pierwsze, pacjent zadzwoni ponownie, po drugie, był to jeden z jego najlepszych klientów - dawał regularny i dobry zarobek, a po trzecie, Biernat liczył na to, że chodzi o jakąś zwykłą poradę. Ostatecznie może podejść tych kilkadziesiąt metrów - dom pacjenta znajdował się na tej samej ulicy, przy której mieszkał lekarz. Załatwi sprawę i wróci przed telewizor. Biernat odebrał zatem telefon, rzucając do mikrofonu krótkie "słucham", które nie pozostawiało wątpliwości - dzwonienie o tej porze jest szczytem nietaktu. Ale to, co usłyszał, sprawiło, że w następnej chwili pochwycił torbę z medycznymi narzędziami i w kapciach wybiegł z domu.

Biegając, zastanawiał się, co ma robić. Biernata wezwała żona obrzydliwie bogatego handlarza nieruchomościami, prywatnie alkoholika po kolejnym odtruciu i ostrej fazie abstynencji, którą przeszedł w tajemnicy przed światem w prywatnej klinice. Biernat podawał mu nemexin, lek zmniejszający depresję. Tyle tylko, że ten idiota w południe nachlał się wody i teraz jest z nim bardzo źle. Wymiotuje, ma biegunkę, trzęsą mu się ręce i nogi, Lekarzowi przemknęła przez głowę myśl, że oto straci jednego z najlepszych klientów swojej prywatnej praktyki.

Był w błędzie. Kiedy bez pukania otworzył drzwi do willi konającego handlarza, jego oczom ukazał się następujący widok: w wielkim salonie przywiązani do marmurowej kolumny stali właściciele domu. Biernat

zorientował się, że wpadł w pułapkę. Wkrótce dostrzegł trzecią postać. Był nią niewysoki mężczyzna, który zatrzasnął drzwi za zaskoczonym lekarzem. W następnej chwili wykonał niewielki zamach i hebanową laską z mosiężnymi wykończeniami rękojeści uderzył Biernata po goleniach. Ten poczuł straszliwy ból, który błyskawicznie rozlał się po całych nogach, aż po biodra. Upadł na wypolerowaną hiszpańską terakotę, wprost pod nogi napastnika.

Widział go teraz dokładnie. Oprawca był niewysoki, do ziemi ciągnął go duży garb, rozrośnięty asymetrycznie na prawej łopatce. Miał nieproporcjonalnie długie nogi łączące się z krótkim korpusem. Prawie nie miał szyi. W jej miejscu wyrastała wielka głowa, a właściwie coś, co zapewne było nią kiedyś. Potwór nie miał prawego ucha, podobnie jak i prawej części twarzy, wyżartej ogniem bądź jakimś kwasem. Zamiast tego była krwistobrunatna powłoka, przypominająca galaretowatą maź. Mężczyzna miał spalone powieki i rzęsy. Jego oczy były szare i rozbiegane. Na łysej czaszce błyszcząły krople potu. Przypominał gigantycznego pająka. Biernat dostrzegł też jego ręce, okryte czarnymi, skórzanymi rękawiczkami, w których teraz pojawił się nóż. Napastnik przystawił mu go do szyi i nakazał czołgać się w kierunku schodów na piętro. Lekarz bez słowa wykonał polecenie. Niczym jaszczurka pełznął przez salon. Minał ludzi z zaklejonymi plasterm ustami, a jego uwagę zwróciły ich ręce skrupowane bieleńnianym sznurem, połączone ze sobą w ten sposób, że ludzie obejmowali słup, tworząc drgający, ruchomy ornament. Przy butach gospodarza dostrzegł sporych rozmiarów kałużę moczu. Potem niezdarnie wpełzał po schodach. Kiedy się zsuwał, oprawca dźgał go ostrzem noża w pośladki i kopniakami popędzał do góry.

Z niemałym trudem Biernat dotarł wreszcie na piętro. Znał to miejsce. Nieraz był wzywany do trzęsącego się starego alkoholika. Teraz to on się

trząsł i popadł w histerię. Dotarli do sypialni. Garbus przeszedł po plecach lekarza. Zdarł pościel z małżeńskiego łóża.

Potem nożem rozciął wielowarstwowy materac. Wrywał kawałek po kawałku materiału, aż dotarł do metalowych sprężyn. Oczyszczył je z resztek gąbki i wielbłądziej wełny. Piskliwym tonem nakazał Biernatowi zdjąć spodnie i koszulę. Przerażony lekarz wykonał polecenie. Nie prosił o litość. Wiedział, kim jest jego oprawca. Wiedział też, że są to ostatnie godziny jego życia. Zastanawiał się, jaką torturę szykuje mu garbus. Przez chwilę pomyślał o ucieczce. Nieznacznie obrócił się w kierunku okna, ale wtedy tamten nożem rozerznął mu plecy. Lekarz z krzykiem rzucił się na gruby dywan.

Garbus wcisnął mu w usta kawałek gąbki i zakneblował je płótnem. Potem nakazał ofierze położyć się na metalowy stelaż. Biernat wykonał polecenie. Drut ranił mu plecy, pośladki, uda i ramiona. Wchodził w skórę, przebijał ją i rozcinał. Na elegancki dywan poczęły kapać krople krwi. Wtedy garbus rozciągnął ręce torturowanego na boki i przywiązał je do sprężyn wydobytych z kieszeni sznurem. Podobnie postąpił z nogami. Ból był tak wielki, że lekarz stracił przytomność.

Kiedy ją odzyskał, dostrzegł gruby czarny kabel połączony z metalową ramą łóżka. Potem usłyszał słowa, które garbus z pasją wypowiadał, stojąc nad nim:

- Dziesiątego sierpnia na Via Tiburtina położyli Go na rozgrzanej do czerwoności kracie. Na niej Go umęczyli.

Biernat zobaczył, że oprawca podnosi czarny kabel, zakończony wtyczką. Jego ręka wolno przybliżała ją do kontaktu. A kiedy lekarz usłyszał: "O, Panie! Wysyłam tego bluźniercę do Ciebie! Osądź go właściwie!", garbus umieścił wtyczkę w gniazdku. Przez sprężyny w łóżu przeszedł prąd. Tkanki mężczyzny zaczęły płonąć, mięśnie kurczyły się, a serce zwalniało coraz bardziej. Pokój wypełnił swąd topionej skóry. Rozedrgane ciało przestawało

pulsować.

Morderca poczekał, aż prąd zabije Biernata. Odłączył kabel i z torby cały czas trzymanej na piersiach wyjął foliową torebkę. Delikatnie wyciągnął z niej włochatego motyla i próbował włożyć go pomiędzy wargi zabitego. Lekarz jednak miał usta sztywne i zaciśnięte. Wtedy garbus trzonkiem noża wybił mu przednie zęby i umieścił owada w wypełnionym krwią i pianą gardle. Oprawca wytarł rękawiczki w skrawek płótna, a nóż schował w torbie. Wolno zszedł do wystawnego salonu. Kiedy mijał kolumnę, dostrzegł kobietę resztkami sił próbującą utrzymać zwisające, martwe ciało męża, którego serce właśnie przestało bić. Kobieta jakimś sposobem pozbyła się plastra na ustach i na widok zabójcy zaczęła krzyczeć i błagać o litość. Najwyraźniej jej prośby przyniosły skutek, bo morderca wyszedł z domu bez słowa i wkrótce zniknął w czerni pobliskiego lasu.

## 13 sierpnia 2004, piątek

Paweł Werens od dwóch godzin jechał na północ swoim rocznym czerwonym volkswagenem golfem GTI drogą krajową numer siedem. Wygodnie usadowiony w kraciastym fotelu, niedbale trzymał w prawej dłoni kierownicę owiniętą czarną skórą. Auto sztywno sunęło po asfalcie, a to za sprawą zawieszenia ustawionego na tryb sportowy. Kierowca skrzywił się na myśl o czterech tysiącach, jakie zapłacił za dodatkowe regulowane zawieszenie. Ale w gruncie rzeczy nie żałował. Zawsze chciał mieć taki samochód. W okolicach miejscowości Olsztynek zamknął szyberdach. Pogoda tego dnia nie należała do najlepszych. Niebo było zachmurzone, a od jakiegoś czasu siąpił deszcz. Była to chwilowa zmiana pogody, bo od dwóch tygodni panowały upały. Teraz zakurzona droga parowała.

Trasa skręcała na zachód do Gdańska. Werens wybrał jednak inną drogę - skręcił na prawo, w szosę oznaczoną numerem pięćdziesiąt jeden, która prowadziła do granicy z należącym do Rosji Obwodem Kaliningradzkim. Młody mężczyzna jednak aż tak daleko nie zamierzał jechać. Celem jego podróży był dwustutysięczny Olsztyn, miasto pełniące funkcję stolicy regionu, przez wieki znane jako Allenstein - drugie co do wielkości po Królewcu miasto Prus Wschodnich, w którym przed wojną mieścił się duży garnizon wojskowy. Teraz Olsztyn spełniał rolę wrót do Mazur - regionu turystycznego bogatego w setki jezior i jeszcze niezdewastowanych lasów.

Werens z uwagą słuchał radia. Była to stacja informacyjna, w której każdego ranka można było usłyszeć dziennikarzy komentujących aktualne wydarzenia polityczno-społeczne. Teraz tematem rozmowy była sytuacja w tajnych służbach, a ściślej rzecz ujmując - skala patologii w jej szeregach. Jakiś emerytowany pułkownik, którego nazwiska Werens niestety nie

dosłyszał, mówił podniesionym głosem:

- W służbach cywilnych po roku dziewięćdziesiątym wymieniono ponad siedemdziesiąt procent funkcjonariuszy. Zmiany następują cały czas. Nieustannie trwa oczyszczanie szeregów.

- To chyba dobrze? - pytał dziennikarz.

- Oczywiście, że dobrze!

- To w czym problem?

- W czym problem?! W tym, że w tajnych służbach wojskowych, zwanych WSI, nie wymieniono tych ludzi prawie wcale. Ledwie kilka procent! Czy pan zdaje sobie sprawę ze skali patologii? Z jej rozmiarów. To są ludzie odpowiedzialni za sprzedaż broni dla rosyjskiej mafii! Handlują też z krajami objętymi embargiem ONZ! A szpiedzy pochwyceni w naszym kraju to ludzie działający na dwa fronty, zatrudnieni w naszych służbach.

- Krótko mówiąc, zdrajcy.

- A jak pan ich nazwie? Ci ludzie mają potężną władzę. Posługują się szantażem i zastraszaniem. Osłabiają nasze państwo od wielu lat. Niszczą je od środka.

- Co zatem należałoby zrobić?

- Oczywiście wymienić ich. Natychmiast! W ich miejsce powołać nowych, nieskażonych korupcją. Chroniących państwo, a nie działających na jego szkodę.

- Dlaczego tak się nie dzieje?

- Bo ci, którzy mogliby takie zmiany przeprowadzić, są na usługach tych służb. Oni się ich boją. Zrobią wiele, by aktualny stan rzeczy trwał jak najdłużej.

- Pana zdaniem wysocy urzędnicy państwowi są zastraszani?

- Każdy z nas ma jakieś tajemnice i wstydlive sprawy.

Werens powtórzył w myślach: "Każdy z nas ma jakieś tajemnice i

wstydlive sprawy". Potem zmienił stację. Z głośników popłynęła rytmiczna muzyka. Postanowił po powrocie do Warszawy zająć się tym tematem. Jako wschodząca gwiazdka dziennikarstwa musiał zajmować się chodliwymi newsami, a do takich należała sprawa reformy tajnych służb. Takim tematem była też, niestety, seria morderstw, które wstrząsnęły opinią publiczną. Kilka dni temu kraj obiegła informacja o trzeciej ofierze "Motyla", bo tak nazwano zwyrodnialca mordującego starszych mężczyzn. Paweł Werens bronił się przed powierzeniem mu tego tematu rękami i nogami. Za wszelką cenę chciał uniknąć wyjazdu na północ. Na próżno tłumaczył się tym, że zajmuje się zupełnie inną tematyką. Nie dbał również o to, że materiał mógł przysporzyć mu sławy i pieniędzy. Ale nie miał wyjścia. Szefostwo uznało go za najlepszego kandydata do tej misji. Werens nieopatrznie przyznał się do swojego pochodzenia. Dzieciństwo i wiek szkolny spędził w Olsztynie. To w tym mieście zdał maturę, a potem wyjechał do Warszawy na studia dziennikarskie. Powód, dla którego nie chciał wracać do miasta, Werens skrywał głęboko w najczarniejszych zakamarkach duszy. Była to jego tajemnica, której nie znał nikt.

Werens znalazł się na rogatek miasta, rozpoznawał znajome miejsca. Po prawej były Brzeziny - bogate osiedle domów jednorodzinnych. Po lewej zaczynały się tereny uniwersytetu. Werens zwolnił, by lepiej przyjrzeć się nowym budowlom, i nagle poczuł słaby wstrząs. Jakiś przedmiot znalazł się pod kołami auta. Młody mężczyzna w lusterku dostrzegł średniej wielkości brązowego psa, który z wielkim trudem, przeraźliwie piszcząc, próbował zejść z jezdni. Pies ciągnął za sobą tylne łapy. Werens zrobił się błydy, zatrzymał samochód, wyłączył radio. Wyskoczył z wnętrza auta i pobiegł w kierunku rannego zwierzęcia. Stając na środku drogi, spowodował niewielki korek, który z każdą chwilą się powiększał. Kierowcy trąbili na niego, grozili pięściami, rzadko który wykazywał zrozumienie i wystawiając głowę przez



zalaną deszczem szybę, proponował pomoc lub wyrażał współczucie dla rannego zwierzęcia.

Werens delikatnie podniósł psa i ruszył z nim wolno do auta. Nie bacząc na ślady krwi, które pies zostawiał na drodze, a wkrótce i spodniach mężczyzny, położył go na ładnych skórzanych siedzeniach. Potem samochód zawrócił i ruszył w stronę polikliniki weterynaryjnej na Obitza, którą Werens zapamiętał ze szkolnej wyprawy. Byli tu kiedyś, chyba w trzeciej klasie, na zajęciach z zoologii. To było dobre liceum, ze znakomitymi nauczycielami, pomyślał. Ale po chwili złapał się na irracjonalności tego skojarzenia. W jego samochodzie piszczy ranny pies, a on wspomina z rozrzewnieniem czasy, o których chce za wszelką cenę zapomnieć.

Werens z piskiem zajechał pod budynek polikliniki. Uniósł tracącego z bólu zmysły zwierzęcia i pognął z nim przez korytarz do recepcji. Tam skierowano go natychmiast do gabinetu zabiegowego. Młoda, ładna pani weterynarz nie zadawała mu wielu pytań. Było jasne, że pies padł ofiarą kół pędzącego samochodu. W gabinecie towarzyszyli jej dwaj młodzi ludzie. Najpewniej byli to studenci na praktykach. Werens wyszedł z gabinetu w chwili, kiedy pies otrzymał znieczulający zastrzyk. Krążył nerwowo wokół samochodu, wreszcie wsiadł do środka i zapalił papierosa. By to szlag, pomyślał. Od początku broniłem się przed tym wyjazdem. Tu nie może wydarzyć się nic dobrego. Nigdy nic dobrego mnie tu nie spotkało. A teraz ten nieszczęsny pies... To moja wina. Nie zauważyłem go. Gapiłem się na to cholerne miasto. Niech będzie przeklęte!

Mężczyzna nie mógł usiedzieć we wnętrzu, spalił papierosa i opuścił auto. Deszcz nie przestawał padać i Werens był po chwili zupełnie mokry. W takim stanie wrócił do budynku. Usiadł na drewnianej ławce w kącie korytarza i czekał. By zająć czas, przeglądał broszury reklamujące jakąś karmę. Obserwował ludzi wprowadzających i wyprowadzających swoje

zwierzęta z budynku. W powietrzu czuć było woń denaturatu. Zrobiło mu się niedobrze, zakrył dłonią nozdrza. Po godzinie z gabinetu zabiegowego wyszła ładna pani weterynarz. Ta sama, która odebrała od niego psa. Dziennikarz poderwał się z siedzenia. Lekarka podeszła do niego i powiedziała:

- Zawsze pan tak jeździ?

- Tylko w tym mieście - odpowiedział, chowając twarz w dłoniach.

- Dziwna odpowiedź, ale niech i tak będzie. Czy zna pan właściciela psa?

- Tak jak i panią.

- Ale mnie pan nie przejedzie? - Wykrzywiła delikatnie twarz, sygnalizując niechęć.

Trwało to dłuższą chwilę. Werens był coraz bardziej zdenerwowany. Zupełnie nie wiedział, co ma robić. Może uciec? Potem poczuł, że kobieta dotknęła jego ramienia.

- No, niech pan już się uspokoi. Pies ma złamaną lewą tylną łapę. Złamanie było otwarte, ale chyba daliśmy radę. Reszta to potłuczenia. Nie ma żadnych wewnętrznych obrażeń. Zostanie u nas kilka dni.

- A co później?

- Trafi do schroniska. To bezpański pies. Widać to gołym okiem.

To dlaczego pytałaś o właściciela? - pomyślał, ale głośno powiedział:

- Rozumiem. Ile mam zapłacić? - Wreszcie na nią spojrział. Jej oczy ciągle wyrażały złość.

- Nic. To nie pański pies.

- Ale ja go zraniłem. Ile?

- Proszę na przyszłość uważać. Szczególnie w mieście, którego pan tak nie lubi.

- Skąd pani to wie?

- Przecież sam pan to mówił.

- Tak? Ja to powiedziałem? Widocznie to prawda. Do widzenia pani.

Podał rękę kobiecie i wolno opuścił budynek. Resztę drogi do hotelu także przejechał bardzo wolno. Nie miał ochoty na kolejne niespodzianki. Wiedział, że tylko zachowując spokój i dystans, uniknie w tym paskudnym mieście kolejnych kłopotów. Mylił się bardzo.

\*\*\*

Rudy pięćdziesięciolatek siedzący na wygodnej kanapie w holu hotelu "Kopernik" odłożył gazetę i z uwagą przyglądał się młodemu, przystojnemu człowiekowi w modnej, luźnej kraciatej koszuli, dżinsowych spodenkach do kolan i skórzanych sandałach, który od kwadransa próbował do czegoś przekonać recepcjonistkę. Mężczyzna był wysoki, mógł mieć około metra dziewięćdziesięciu centymetrów. Jego muskularne ciało było mocno opalone, a to za sprawą słońca, które - wyłączając ten deszczowy dzień - świeciło nieprzerwanie od dwóch tygodni. Rudy z kanapy widział, jak tamten niecierpliwie zerka na zegarek zdobiący jego lewy nadgarstek i zadaje kolejne pytania kobiecie za recepcyjnym blatem. Ta kręciła przecząco głową i uśmiechała się do niego sztucznie. Wreszcie Werens, bo to on był owym rozmówcą recepcjonistki, machnął zrezygnowany ręką i zapytał zupełnie już głośno:

- Skoro zaszła pomyłka w rezerwacji, to niech chociaż powie mi pani, gdzie znajdę pokój w tym mieście.

- Obawiam się, że nigdzie. Jest lato, miasto odwiedzają turyści. W okolicy są różne imprezy. Wiem, że tu, niedaleko, odbywa się jakiś turniej siatkówki. Goście hotelowi o nim ciągle mówią... Puchar świata czy coś. W mieście nie ma zbyt wielu hoteli. Może pod koniec miesiąca...

- Pod koniec miesiąca? To najlepszy dowcip, jaki ostatnio słyszałem! - wrzasnął Werens i ruszył ze stojącą dotychczas pod nogami torbą do wyjścia. Nawet nie pożegnał się z bogu ducha winną dziewczyną. - By to szlag! -

wrzasnął wprost w ucho rudemu przewodnikowi wycieczki niemieckich emerytów zmierzającej do hotelowej restauracji na obiad.

Werens był wściekły. Ktoś w redakcji pomylił rezerwację i z terminu, jaki wpisano w hotelowym komputerze, wynikało, że może sobie przyjechać do miasta równo za miesiąc. Wtedy będzie czekał na niego wygodny jednoosobowy pokój na pierwszym piętrze. Ale na pewno nie dzisiaj! Werens nie dzwonił do firmy. Było piątkowe, letnie popołudnie. Nikogo kompetentnego nie znalazłby dzisiaj w redakcji.

Nie miał pojęcia, co robić. Wsiadł w samochód i ruszył wprost do "Warmińskiego". Przejechał Pieniężnego, minął ratusz, wjechał na Aleję Piłsudskiego, po lewej minął nowy gmach sądu, wyżej było jego dawne liceum. Skręcił w Kościuszki i zajechał przed hotel od strony Kołobrzeskiej. Pomimo upływu lat nie zapomniał rozkładu ulic. Recepcjonista popatrzył na niego jak na dziwaka, ale po chwili zerknął na monitor komputera i zaproponował apartament właśnie zwolniony przez jakiegoś piosenkarza. Werens machnął ręką i w zamian zaproponował recepcjoniście zdjęcie na pierwszej stronie swojej gazety. Z wywiadem w środku.

Co za dzień! Zwykle nie wierzył w magiczne znaki i liczby, ale coraz częściej myślał o tym, że trzynastego nie powinien zabierać się za pracę nad tym materiałem. Wpierw potracił psa, a teraz okazuje się, że nie ma gdzie spać. Werens wsiadł do samochodu i ruszył w górę ulicy. Za skrzyżowaniem z Dworcową skręcił w lewo i podjechał pod czteropiętrowy budynek. Mieścił się w nim podłej klasy hotelik "Czajka". Werens szybko jednak opuścił wąską uliczkę pełną kolein. Na schodach siedziało trzech łysych, młodych mężczyzn z odkrytymi torsami, które zdobiły wątpliwej urody tatuaże. Osłki piły z puszek piwo i w niewybredny sposób komentowały powaby przechodzącej właśnie kobiety z dzieckiem. Dno, pomyślał Werens. Jestem zdesperowany, ale nie aż tak bardzo. Pierwsze, co zastanę tutaj jutro rano, to

wybitą szybę w aucie. A może jeszcze w nocy mnie okradną i pobiją.

Stanął na pobliskim parkingu, będącym zapleczem sklepu, i zastanawiał się, co ma robić dalej. Było jedno proste rozwiązanie, z którego za nic w świecie nie chciał skorzystać. Dwa skrzyżowania dalej, na Mickiewicza, znajdowało się mieszkanie ojca. I co z tego? - pomyślał. Siedział dobry kwadrans, ostukując palcami kierownicę. Nagle doznał olśnienia. Werens wyjął z kieszeni telefon. Nerwowo przeglądał spis numerów. Co prawda znalazł telefon do kolegi z liceum, ale przypomniał sobie, jak któregoś dnia odwiedził go przypadkiem. Zapamiętał dwa skromnie urządzone pokoiki. W jednym z nich mieszkał ten jego kolega z młodszym bratem, drugi zajmowali ich rodzice. Pokręcił głową z uznaniem. Jak oni mogli żyć w tej ciasnocie?! Zapamiętał jeszcze wielkiego psa. Jakiś rower w mikroskopijnym przedpokoiku. Dziewczynę tego kolegi wychodzącą z toalety mniejszej niż ten rower... Jeszcze raz zerknął w spis numerów. Innych znajomych w mieście nie miał. Dziesięć lat nieobecności zrobiło swoje. Za to odnalazł telefon stryja, starszego brata ojca. Zadzwoił. Po chwili usłyszał starczy, lecz energiczny głos:

- Paweł? To ty? Gdzie jesteś chłopcze?
- Stryju, jestem w mieście. Czy mogę posiedzieć u ciebie kilka dni?
- Dzwoniłeś do ojca?
- Jeszcze nie. Czy to problem?
- Kiedy syn nie rozmawia ze swoim ojcem dziesięć lat, to to jest problem.
- Stryju, nie dzwonię po poradę, tylko po pomoc. Pomoże mi stryj? Tylko kilka dni?
- Do mnie możesz przyjechać i na rok. Dobrze o tym wiesz. Szkoda tylko, że pamiętasz o mnie, gdy jesteś w potrzebie.
- Takie życie. To co, będę za kwadrans?
- Jak już jedziesz, to kup mi paczkę tych niebieskich.

- A stryj dalej pali.

- Albo weź dwie paczki, na zapas, na niedzielę.

Werens odległość trzech kilometrów dzielących budynek hotelu od willi na Fałata pokonał w dziesięć minut. Kolejnych pięć zajęła mu wizyta w sklepie. Nad miastem znowu pojawiło się słońce. Zarówno ono, jak i perspektywa noclegu w komfortowych warunkach poprawiły mu nastrój. W koszu na zakupy prócz papierosów umieścił butelkę finlandzkiej wódki. Wiedział, że bez niej ciężko będzie mu znieść najbliższe godziny.

Dom stryja znajdował się w przyjemnej, okrytej zielenią dzielnicy. Osiedle było usytuowane na skraju lasu. Były to częściowo przedwojenne wille, kryte spadzistymi dachami z czerwonej dachówki, ale też domy wybudowane w ostatnich latach. Panowała tu cisza i spokój. Stryj czekał na niego w progu. Z resztkami siwych włosów na kształtnej głowie i wnikliwymi oczami, które odkryłyby każde kłamstwo. Miał na sobie luźną jasną koszulę i krótkie spodenki w czarno-białe pasy. Właściwie, gdyby nie różnica lat, wyglądaliby podobnie. Obaj byli wysocy, smukli. Stryj stał, lekko dygocąc, na ciągle umięśnionych nogach obutych w skórzane sandały. Różnicę w wyglądzie stanowiła prosta, drewniana laska, którą starzec trzymał w dłoni. Werens zaparkował auto na chodniku przed domem. Przekroczył porośniętą bluszczem bramkę posesji i ruszył w kierunku stryja. Ten patrzył na niego z uśmiechem, który po chwili udzielił się gościowi. Objęli się serdecznie.

- Ile to lat? - zapytał Werens.

- To ty mnie, starego, pytasz o takie rzeczy?

- Bo ja myślę, że to było wczoraj. Stryj wygląda cały czas tak samo.

- Ty mnie nie czaruj! Fajki kupiłeś?

- Kupiłem, kupiłem. I coś jeszcze - mrugnął porozumiewawczo do stryja.

- Zuch chłopak. Tylko uważaj. Za chwilę przedstawię cię pięknej kobiecie

o imieniu Eliza. To nie tylko piękna, ale i wspaniała kobieta. Niestety, wróg używek. Palić chodzę po krzakach, ale i tak smród wyczuwa. To, co tam masz, też lepiej schowaj. Wieczorem Eliza pójdzie na plotki. Pogadamy wtedy. - Starszy mężczyzna uśmiechnął się rozpustnie.

- To ona tu mieszka? - zapytał zaskoczony Werens.

- A co w tym dziwnego?

Werens stał bez ruchu. Ostatnie zdanie stryja sprawiło, że nie potrafił wypowiedzieć słowa.

Za to stary nie przestawał mówić.

- Wspaniale, że do nas przyjechałeś! Musisz wiedzieć, że wiele spraw od twojej ostatniej wizyty się bardzo zmieniło. Nawet nie domyślasz się jak bardzo! No, przynieś bagaż. Właśnie zasiadamy do stołu.

Werens wrócił do samochodu po torbę. Kiedy wchodził ponownie na podwórze, uważnie przyjrzał się starcowi. Jego krewny wyglądał bardzo dobrze. Sprawiał wrażenie człowieka zdrowego i energicznego. Werens przypomniał go sobie sprzed wielu lat. Był małym, pięcioletnim chłopcem, kiedy przyjechali do tego miasta ze wsi. Pierwsze kroki skierowali do kościoła. Stał z matką i młodszym bratem, wysłuchując niedzielnego kazania postawnego, pięknego mężczyzny. Ludzie słuchali go z uwagą, młode kobiety szeptały sobie coś do uszu, lekko się czerwieniąc. A człowiek z ambony dalej wygłaszał płomienną mowę, z której młody Werens nic nie rozumiał. Kiedy msza dobiegła końca, wyszli przed świątynię, gdzie zaraz pojawił się ten ksiądz. Wtedy matka podniosła małego Pawła na ręce i podała go duchownemu. Podobnie uczyniła z młodszym bratem Werensa. I po chwili siedzieli obaj na silnych ramionach księdza, który był ich stryjem. Ludzie mijali ich i kłaniali się z szacunkiem. A wyglądało to tak, jakby kłaniali się dwóm chłopcom siedzącym nad ich głowami.

\*\*\*

Werens trafił do domu na przedmieściu w porze obiadowej. Zasiadł do zastawionego porcelanowym serwisem stołu. Wcześniej, w salonie, stryj dokonał uroczystej prezentacji. Paweł szarmancko pocałował Elizę w dłoń, uklonił się i serdecznie uśmiechnął. Była to miła pani około pięćdziesiątki, ciągle jeszcze piękna. Dużo młodsza od stryja. Zadbana, wysoka, zgrabna, nosiła jasne, płócienne spodnie i zieloną tunikę w żółte kwiaty. Miała błyszczące, gęste, czarne włosy zebrane w kok. Jej twarz była szczupła, z wystającymi kośćmi policzkowymi. Czasami marszczyła lekko zadarty nosek, na którym Werens dostrzegł kilka piegów. Poruszała się dostojnie i z wielką gracją. Miała duże, inteligentne oczy w kolorze błękitu. Dyskretnie obserwowała nimi Pawła, a kiedy ich spojrzenia trafiały na siebie, uśmiechała się ciepło i delikatnie. Zaraz potem kierowała wzrok na gospodarza. Werens wyczuwał coś szczególnego w tym, jak się do siebie odnoszą, jak patrzą jedno na drugie. Było to wzruszające.

Obiad, który podała im kobieta, był starannie przygotowany. Wpierw zjedli pachnącą leśnymi grzybami zupę. Drugie danie składało się z duszonej piersi indyczej z dużą ilością warzyw. Jedli w milczeniu, które wydało się Pawłowi nieco podejrzane. Potem przyszła pora na kawę i jogurtowe ciasto. Dopiero teraz stryj Pawła - Mariusz - sięgając po srebrny widelczyk, powiedział:

- Widziałem, jak przed domem chciałeś zadać mi pytanie, ale najwyraźniej zabrakło ci słów. Rozumiem to. Nawet dziennikarzowi trudno jest pytać o pewne rzeczy. Tym bardziej swojego starego krewnego. Zatem, by nie trzymać cię dłużej w niepewności, wyjaśnię ci pewne sprawy już teraz. Otóż, mój drogi Pawle, w roku tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym trzecim papież Jan Paweł Drugi promulgował, czyli, mówiąc po ludzku, ogłosił kodeks prawa kanonicznego zwany Codex Iuris canonici auctoritate. Jak zapewne wiesz, twój stary stryj dużo wcześniej był już księdzem i tym samym



wprowadzenie kilku nowych przepisów do już obowiązujących nie zrobiło na nim wielkiego wrażenia. Sprawy zaczęły przybierać inny obrót sześć lat temu, kiedy to poczuliśmy do siebie - Mariusz Werens odłożył widelczyk i uściskał dłoń Elizy - wielkie, prawdziwe uczucie.

Werens w przeciwieństwie do stryja swój widelec wypuścił z dłoni. Nerwowo szukał go pod stołem, równocześnie nie odrywając wzroku od stryja.

- I nie było to uczucie platoniczne, co należy tu jasno powiedzieć. - Gospodarz uśmiechnął się do kobiety uwodzicielsko. - Jak nietrudno się domyślić, pojawił się problem. Nie chciałem żyć w zakłamaniu. Zaprażyłem, aby nasze szczęście widział cały świat. I tu pojawia się przywołany wcześniej Kodeks, a dokładniej jego szósta księga, zatytułowana "Sankcje w Kościele". Otóż kanon tysiąc trzysta dziewięćdziesiąty czwarty paragraf pierwszy głosi rzecz następującą: "Duchowny usiłujący zawrzeć małżeństwo choćby tylko cywilne, podlega suspensie wiążącej mocą samego prawa. Gdy po upomnieniu nie poprawia się i nadal sięje zgorzenie, może być karany stopniowo pozbawieniami lub także wydaleniem ze stanu duchownego". Tyle suchy zapis.

Młody Werens aż się zakrztusił. Sięgnął po serwetkę złożoną w krawat, wytarł załzawione oczy i przetaił usta. Widelec wreszcie się odnalazł pod palcami. Podniósł go z zawstydzeniem i tą samą serwetką wytarł. Nie uszło to uwadze gospodarzy. Paweł czuł się podle. Stryj zaś nie zamierzał przestać mówić dalej.

- Tak, tak, mój drogi. Twój krewny i siedząca obok niego piękna kobieta siali zgorzenie! Dasz wiarę? Okolica lepiała się od pajęczyny plotek. Moi przełożeni byli bardzo niezadowoleni. Nakazali nam się rozstać. Pytam: czy takiemu staremu i upartemu człowiekowi jak ja można coś nakazać? Chodzę po tym świecie już sześćdziesiąt sześć lat. Niewielu rzeczy w tym wieku już

się boję. Na pewno nie należą do nich bzdurne przepisy! Owszem, można mnie było taktownie poprosić... Ale przecież są pewne granice! Są sprawy niepodlegające negocjacjom!

- To znaczy, że... - Werens próbował coś powiedzieć, ale ciągle miał problemy ze złapaniem równego oddechu.

- Znaczy to tyle, że już nie jestem księdzem. To moja schizma dogmatyczna albo, jak wolisz, herezja! Nie pierwsza przecież w dziejach Kościoła. Usunięto mnie, rzecz jasna, ze stanu duchownego. Zostałem szczęśliwym mężem tej oto pięknej kobiety! Przepraszam, że nie otrzymałeś zaproszenia na nasz ślub. Nie chcieliśmy rozgłosu. Inna sprawa, że ten i tak przyszedł...

- Ale...

- I czuję się z tym bardzo dobrze! Rzecz jasna nie z rozgłosem, ale ze stanem małżeńskim. Jestem spełnionym człowiekiem! Teraz pozwól, że wrócę do tego wspaniałego kawałka ciasta, do czego i ciebie zachęcam. Eliza jest doskonałą kucharką, co podkreślam na każdym kroku.

- A ja to jedynie potwierdzam! - Werens starał się być uprzejmy, chociaż w głowie kołatały mu się dziwaczne myśli. Uniósł się z krzesła i na sztywnych nogach ruszył do Elizy. Pocałował ją w policzek i złożył życzenia. Podobnie postąpił, podchodząc do stryja. Czuł, że jego twarz płonie. Nikt nigdy go tak nie zaskoczył!

Dalsza część rozmowy upłynęła w miłej atmosferze. Stryj sypał dowcipami, które często były bardzo pikantne i powodowały rumieniec na policzkach Elizy. Werens po dwóch godzinach ruszył na piętro i położył się spać. Jego drzemka wynikała z niewyspania i uciążliwej podróży łatanymi drogami zakończonej potrąceniem psa. Nie bez znaczenia były również sensacyjne informacje, którymi uraczył go przy obiedzie stryj Mariusz.

\*\*\*

Werensowi śniło się, że jest na środku wielkiego jeziora. Dookoła była woda, a on nie widział brzegu. Wiedział, że za chwilę opadnie z sił i utonie. Rozpaczliwie rozglądał się za kimś, kto by go uratował. Ale na gładkiej toni nie było nikogo. Desperacko szarpnął się do przodu, bił rękami o wodę. Otworzył usta, ale z jego gardła nie wypłynęło ani jedno słowo. Zamiast tego jakaś potężna, zła siła uchwyciła się jego stóp i poczęła ciągnąć go w dół, w odmęty. Werens zachłysnął się wodą. Potem ta woda zakryła mu całkowicie usta, nos i oczy. Czuł, jak schodzi coraz niżej. Woda była zimna, robiła się coraz ciemniejsza. Wreszcie znalazł się w gęstym, lodowatym zbiorniku, w którym panowała całkowita ciemność.

\*\*\*

Obudził się zlany potem w pokoju na poddaszu domu stryja. Za oknem panował mrok, co w pierwszej chwili przeraziło go na nowo. Przez otwarte okno wpadało jednak ciepłe, letnie powietrze, oczyszczone z kurzu po popołudniowej ulewie.

Czuł się już dużo lepiej. Wstał i ruszył na dół, do salonu. Tam zastał stryja czytającego jakąś grubą księgę. Kiedy były duchowny dostrzegł bratanka, przerwał lekturę i z uśmiechem zaprosił go do stołu. Werens stuknął się w czoło na znak, że coś sobie przypomniał i w podskokach zniknął na piętrze. Powrócił po chwili z butelką finlandii, którą, za radą stryja, schował w łazience zawiniętą w mokry ręcznik.

Lodówka stała na dole, a tam nie mógł ukryć alkoholu. Zaraz znalazłaby go Eliza, zdeklarowany wróg alkoholu. Teraz, zgodnie z zapowiedzią stryja, wyszła do znajomej. Mogli zatem w spokoju wypić po kieliszeczku. Tak też się stało.

- Cholerni hipokryci! - Mariusz Werens był wyraźnie czymś pobudzony. Sprawa wyjaśniła się w następnej chwili. - Przez lata całe kłaniali mi się w pas, przychodzili, by dawać im śluby, chrzcić ich dzieci. Dawałem im

porady, wspierałem pieniędzmi, a teraz kiedy nas widzą na chodniku, odwracają głowy. Kołtuńska zgraja! Nikt już nam się tu nie kłania, mój drogi Pawle. Chcą zrobić nam z życia piekło. Oj, niejeden z nich zobaczy po śmierci, jak ono wygląda! Gdybyś wiedział to, co ja o nich wiem! Niby nie widzą nas na chodniku. Cholerni hipokryci! - powtórzył.

Werens już zrozumiał, że jego stryj pomstuje na byłych parafian. A zatem nie wszystko było w takim porządku, jaki przedstawiał wcześniej przy stole. Paweł chciał jednak do końca poznać sprawę usunięcia ze struktur Kościoła swojego krewnego. Nie dawało mu to spokoju. Zapytał zatem, siadając obok:

- Powiedziałeś, stryju, przy obiedzie, że wykluczono cię ze struktur kościelnych... Jesteś zatem ekskomunikowany?

- Jak najbardziej! - wykrzyknął Mariusz Werens - Ale ja, mój drogi, zrobiłem znacznie więcej. Kiedy postraszono mnie interdyktem, czyli zakazem sprawowania sakramentów, postanowiłem być szybszy od urzędniczej maszyny i wcześniej wystąpić z Kościoła! Słowem, to nie mnie wyklęto, a ja sam odszedłem. Przyznasz, że to różnica. Lepiej samemu wyjść z przyjęcia, niż zostać z niego wyproszonym!

- Stryj żartuje?

- Ani trochę! Dokonałem formalnego aktu apostazji. Zrzuciłem sutannę i wypisałem się z tego interesu! Oczywiście, miałem problemy. Prawo kościelne w tym względzie jest wielce rygorystyczne. Niby wywalono mnie, ekskomunikując. Ale ja i tak swoje wiem.

Werens ciągle nie mógł się pozbierać po słowach, które przed chwilą usłyszał. Był pod ogromnym wrażeniem decyzji stryja. Oto siedzący obok niego mężczyzna wybrał miłość do kobiety nad posłuszeństwo Kościołowi.

- Myślisz, że jestem przeklęty? - Stryj roześmiał się hałaśliwie, jakby ciągle toczył walkę ze zwierzchnikami i ich sztywnymi kodeksami. - Czy myślisz, że Bóg chce, abym go traktował niepoważnie i krył się po kątach z

moim uczuciem? Tego chce? Bo jeżeli tak rzeczywiście jest, to między nami nie ma zgody!

- Stryju, ty zostałeś heretykiem - Werens powiedział to cicho, jakby bał się własnych słów.

- A niechby nawet! Daj mi papierosa! - Starszy mężczyzna zaciągnął się głęboko. - Mój drogi, a jeżeli to ja mam rację? Jeżeli to nie ja jestem zły? Ostatnio dużo nad tym myślę. Będzie jeszcze czas o tych moich przemyśleniach pogadać. Właśnie, a co ciebie do nas sprowadza? - zapytał, z uwagą przyglądając się bratankowi.

Werens milczał.

- Nie liczę na to, że mi powiesz: "Wróciłem porozmawiać z ojcem". Aż taki naiwny nie jestem. Zresztą gdyby tak było, byłbyś teraz u niego, a nie tutaj.

- Nie. Nie przyjechałem do ojca. Mam tu robotę. Piszę artykuł.

- Ciekawy temat?

- O, to zależy. Jak kto lubi makabrę, to ciekawy. Nie chciałem tego zlecenia. Nie jestem dziennikarzem śledczym.

- To dlaczego ciebie wysłali?

- Znam to miasto, Tu się urodziłem. Jestem na dorobku, nie mogę sobie pozwolić na odrzucenie zadania. Dzisiaj jestem, jutro może mnie nie być. Takie czasy. Dyspozycyjność, zaangażowanie...

- No jasne. A co to za sprawa? Możesz coś powiedzieć więcej?

- Jeżeli stryj chce wiedzieć... To głośna sprawa.

- Wybacz, ale moja ignorancja jest paskudna. Dla mnie głośne sprawy to rozgrywają się tylko w tej księdze. Od tysięcy lat. - Dawny ksiądz uniósł do góry trzymaną w dłoniach czarną, oprawioną w skórę księgę. - Sola Scriptura, co znaczy "Tylko Biblia". Wierz mi, że zagłębiam się w te sprawy z dużo większą wnikliwością niż niejeden purpurat. A szczególnie teraz,

kiedy mnie wywalono... to znaczy kiedy odszedłem - powiedział z powagą.

- A ja spodziewałem się zastać stryja czytającego Mankella.

- Kogo?

- Nieważne. Jak mówiłem, to głośna sprawa. Media nazwały ją "sprawą motyla".

- Dlaczego właśnie tego pięknego owada wybrano na bohatera letnich sensacji?

- To nie motyl. To człowiek. A raczej bestia w ludzkiej skórze. Morduje starszych mężczyzn, a potem wkłada im w usta motyla. Właściwie to nie wiadomo, czy to jeden człowiek, czy jakaś grupa. Świadkowie opisują pojedynczego osobnika. Jakiegoś demonicznego garbusa z popaloną twarzą, bez ucha. Ale to przecież może być tylko wykonawca.

- Wykonawca czego?

Werensowi zdawało się, że jego stryj pobladł. Pomyślał jednak, że to naturalne - na każdym ta informacja zrobiłaby wrażenie. Tym bardziej na wrażliwym duchownym. Ciągnął jednak dalej.

- Nie wiadomo. Może jakichś wyroków? Zaczęło się kilka miesięcy temu. W styczniu w ruinach leśnego stadionu znaleziono martwego mężczyznę z odciętą głową. Z ciała faceta utworzono znak krzyża. Bestia jego krwią wymalowała okrąg. Coś w tym kształcie. Wcześniej temu człowiekowi podpalono nogi. Biedak, musiał strasznie cierpieć. A psychopata wsadził mu w usta motyla.

Werens wziął w dłonie butelkę i nalał po kieliszku. Wypili szybko, niczym nie zagryzając. Wódka była niezbyt zimna, ale dało się ją pić. Opowieść bratanka też zrobiła swoje. Stryj ani myślał mu przerywać. A alkohol jakby uspokajał. Werens kontynuował opowieść.

- Kolejny trup był w marcu. W święta wielkanocne. "Motyl" uprowadził z hotelu w Elblągu emerytowanego prokuratora. Wywiózł go za miasto, na

odludzie. Trzymał tego nieszczęśnika pod ziemią, w starych lochach. Facet nie miał szans. W marcu temperatura w nocy spada grubo poniżej zera. Zamarzał. Jego ciało znaleziono kilka kilometrów dalej, nad rzeką, przywiązane linką do drzewa. W ustach zamordowanego również znaleziono motyla. Trzecia ofiara to stary lekarz z Barczewa. Morderca zwabił go do domu pacjenta i tam zamordował.

Były ksiądz poprosił o kieliszek wódki. Wypił go z kamiennym wyrazem twarzy. Przez chwilę nad czymś dumał.

- Czy tych nieszczęśników, to znaczy te ofiary, coś łączyło?

- Raczej nie. Pierwszy to emerytowany policjant, drugi prokurator, trzeci, jak mówiłem, lekarz. Mieszkali w trzech różnych miejscach. Szanowani obywatele, jak to się zwykło w takich przypadkach mówić. Brak motywu.

- Ale to nieprzypadkowe ofiary?

- Trudno powiedzieć. Właściwie taki psychopata mógł każdemu poderznąć gardło... Ale po co potem wsadzał w usta motyla?

- Czyli celowe działanie. Może to zemsta?

- Ja bym się ku temu skłaniał. Policja przypuszcza, że to jacyś cholerni sekciarze. Ta krew, znaki, niezwykły sposób mordowania. Jacyś szaleni masoni?

Były ksiądz uśmiechnął się delikatnie i kręcąc głową z politowaniem, powiedział:

- Widzę, że masz mgliste pojęcie o masonerii. To były tajne stowarzyszenia męskie, do których przyjmowano tylko ludzi z elity: arystokratów, oficerów, bogatych mieszczan i wyższych urzędników. Nikt tam nie ucinał głów i nie zdobił ich motylami. W założeniach wolnomularze czerpali z idei humanitaryzmu, racjonalizmu, liberalizmu, z trendów oświeceniowych, głosili tolerancję religijną. Owszem, w mieście był taki związek. Nazywał się "Stein an der Alle", co znaczy "Kamień nad Łyną".

Członkowie zbierali się w hotelu "Königlicher Hof". Na przełomie dziewiętnastego i dwudziestego wieku przewodził im Wilhelm Sperl, wielki przedsiębiorca. W roku tysiąc dziewięćset trzydziestym trzecim naziści zdelegalizowali lożę.

- Rzeczywiście, nie bardzo można te zdarzenia ze sobą łączyć. Sam stryj widzi, że to jakaś paskudna sprawa.

- Co zatem zamierzasz?

- Chcę jutro pojechać na miejsca tych zbrodni. Objadę wszystko, popytam. Zrobię zdjęcia. Nie jestem z policji. Nie moim zadaniem jest schwytanie mordercy. Mam tylko napisać ciekawy tekst. Podobno jestem w tym dobry.

- O, w to nie wątpię! Masz niezłe auto, musiało sporo kosztować. Sto osiemdziesiąt koni? - Stryj nadstawił kieliszek, czym zasugerował następne rozlanie.

- Dwieście dziesięć - powiedział z dumą w głosie Werens. - To właściwie cały mój majątek. Mieszkanie wynajmuję.

- Wiesz, że kiedyś odziedziczysz ten dom? Ja nie mam innych krewnych prócz ciebie i Elizy. Twój ojciec też ma już swoje lata. Co z nim zrobisz? Sprzedasz?

Młody Werens na chwilę skierował myśli do czasów dzieciństwa. Przypomniał sobie dom przy Fałata. Tu mieszkał jego dziadek Jan. Z jakiegoś powodu on z rodzicami i bratem żyli na wsi, a w tym domu pojawili się dopiero wtedy, gdy miał kilka lat. Zamieszkali w domu na krótko, by przenieść się kilka ulic dalej, do mieszkania w kamienicy. Czasem odwiedzał dziadka, którego zapamiętał jako surowego, skrytego mężczyznę, całe dni spędzającego w ogrodzie, przy pielęgnacji róż oplatających rzędy surowych patyków misternie posplatanych w kratownice. Babki nie pamiętał. Podobnie jak i stryja, który całe lata pełnił posługę kapłańską w jakiejś odległej parafii, której nazwy Werens nie zapamiętał. To dziwne, dopiero teraz uświadomił



sobie, że nigdy nie spędzali razem świąt, wakacji. Właściwie nie znał stryja przez długie lata. Pojawił się w jego życiu dopiero przed maturą Werensa. Wtedy to przeniesiono stryja do miejskiej parafii. A potem zmarł dziadek i dom przez jakiś czas stał pusty. Rzecz dziwna w sytuacji, kiedy kilka ulic dalej mieszka drugi z synów zmarłego. Ale młody Werens był już wtedy w Warszawie na studiach i rodzinne tajemnice niewiele go interesowały. Kilka lat temu stryj wrócił do tego domu.

- Co zrobisz z tym domem? - powtórzył stryj.

Ale Werens unikał odpowiedzi. Pili zatem dalej, teraz już w milczeniu. Były ksiądz nad czymś głęboko dumał, a jego bratanek milczał w nadziei, że rozmowa nie zejdzie na temat przeszłości. Tym razem się udało. Rozstali się w chwili, kiedy na zewnątrz zatrzeszczała furtka, co oznaczało powrót Elizy. Werens pochwycił kieliszki, butelkę i zwyczajnie zwał na piętro. Słyszał na dole rozmowę, która w pewnej chwili zamieniła się w sprzeczkę. Powodem kłótni był alkohol, który wyczuła kobieta. Wyrzucała mężczyźnie brak rozumu i szacunku dla jej starań o zachowanie jego zdrowia. Werens nie miał takich problemów. Siedział samotnie na balkonie, palił papierosa za papierosem, obserwował księżyc i gwiazdy, które pojawiły się na niebie. Była piękna, ciepła, letnia noc. Pił wprost z butelki, z każdym łykiem czuł się lepiej. Na koniec zapomniał, że jest w znienawidzonym mieście. Zasnął w leżaku rozstawionym na balkonie. W ubraniu.

## 14 sierpnia 2004, sobota

Werens obudził się z bólem głowy. Obok leżaka dostrzegł pustą, przewróconą butelkę. Mętym, zaspanym wzrokiem obserwował wskazówki srebrnego tissota na nadgarstku. Dochodziła godzina ósma, a zatem miał pół godziny, by doprowadzić się do ładu. Zwłókł się z leżaka i ruszył do łazienki. Wziął prysznic, umył zęby, ogolił twarz bezprzewodową maszynką Brauna. Odświeżony i pachnący zszedł na dół, do kuchni. Tam czekał już na niego stryj, którego pogodny nastrój szybko udzielił się gościowi.

- Ta kobieta jest niezwykła - rzucił były ksiądz przez całą długość zastawionego jadłem stołu. - Przed godziną oświadczyła, że nie będzie usługiwała pijakom! - Wskazał miejsce bratankowi.

- To chyba nie jest wesoła nowina?

- Tak? A popatrz na ten stół. Co widzisz?

- Talerze, sztucce, kubki...

- Paweł! Do rzeczy!

- Szynkę, jajecznice, pomidory, kawę i coś, co wygląda jak łosoś...

- Bo to jest łosoś! Świeżutki!

- I jak to się ma do tych porannych grózb?

- Dała nam ostatnią szansę. Nasza kochana Eliza dała nam ostrzeżenie. Jeżeli się nie poprawimy, to jutro będziemy co najwyżej wspominać takie śniadania. Czy to nie jest niezwykła kobieta?

- Podzielam ten pogląd. A śniadanie to taka przestroga: "Patrzcie, tyle straciecie"?

- Właśnie.

- I co robimy?

- Póki co bierzemy się za tego łososa.

Stary i młody Werens zabrali się za jedzenie. Ich kulinarne poczynania dyskretnie obserwowwała zza zasłony stojąca w salonie przy oknie Eliza. Doskonale słyszała słowa mężczyzn, gdyż ci starali się mówić na tyle głośno, by zakamuflowane pochlebstwa dotarły do jej uszu. Ich widok napawał ją radością, ale i niepokojem. Patrzyła na nich z czułością, co jakiś czas nerwowo gniotąc białą, koronkową firanę.

- Na szczęście mamy już sobotę. Pechowy trzynasty za nami - powiedział młody Werens.

- Wierzysz w takie przesady?

- Coś jest na rzeczy. Potrafiłem psa.

- I nie dostałeś pokoju w hotelu...

- Stryju! Niech mnie już stryj nie katuje! Przepraszam! Zwyczajnie nie chciałem swoją osobą sprawiać kłopotu. Serio!

- A ja jakoś ci nie wierzę. Co zaś się tyczy pechowego trzynastego, to przesąd ten masowo pojawił się na początku dwudziestego wieku.

- Myślałem, że wcześniej.

- Nie. To raptem sto lat. Ale w roku 1307 król Francji Filip IV zwany Pięknym w piątek, trzynastego października kazał aresztować Jacquesa de Molaya, ostatniego wielkiego mistrza zakonu templariuszy.

- To wszystko?

- Nie. De Molaya oskarżono o czczenie demona o imieniu Baphomet. O herezje, dzieciobójstwo, homoseksualizm, czary, wyrzeczenie się Chrystusa. Kościół kochał zawsze takie spektakle strachu i poddaństwa. Cóż z tego, że proces oczyścił templariuszy. Jego wyniki utajniono. Wyrok na templariuszy zapadł dużo wcześniej.

- Czy De Molay się do tego przyznał?

- Po takich torturach każdy by się przyznał. Ale tuż przed śmiercią na stosie de Molay odwołał zeznania. Rzucił klątwę na króla i papieża Klemensa

V. Mocą tej klątwy król miał umrzeć w ciągu roku, a papież za czterdzieści dni.

- Czy klątwa się spełniła?

- A jak myślisz? Jak najbardziej! Filip IV, który położył łapę na znacznej części fortuny templariuszy, miał wylew krwi do mózgu, a papież, który zgodził się na ten ponury proces, zmarł po miesiącu. Jedni twierdzą, że na dyzenterię, inni zaś, że został otruty przez mnicha. Klątwa dotyczyła również potomków króla aż do trzynastego pokolenia. Obu pazerność nie wyszła na dobre.

- A co z pechową trzynastką?

- Tu jest problem, bo w tamtych czasach używano kalendarza juliańskiego. A zatem przeliczając datę uwięzienia de Molaya na nasz kalendarz, gregoriański pechowy dzień powinien być dwudziestego drugiego.

- A więc jeszcze wszystko przede mną - młody Werens uśmiechnął się szeroko.

- Na to wychodzi.

- No to mogę zrobić sobie dzisiaj wycieczkę.

- Co zamierzasz?

- Chcę objechać te wszystkie miejsca, w których doszło do morderstw. Chyba o tym wspomniałem?

- Tak. - Stary posmutniał. - To straszna historia. Czy możesz opowiedzieć mi coś więcej o tym nieszczęśniku z obciętą głową?

- Wiem niewiele. Emerytowany policjant każe się zawieźć taksówkarzowi na nieczynny od lat stadion. Jest środek zimy. Stary przedziera się przez śnieżne zaspę, by zostać zamordowany w bestialski sposób. Ma przy sobie broń. Używany przez wojsko i policję stary pistolet P64. Oddaje sześć strzałów w kierunku lasu. Pociski wbijają się w drzewa. Facet ma obciętą głowę, ręce rozłożone na boki, poparzone nogi, jakby był torturowany, może

przesłuchiwany. A dookoła niego jest okrąg z krwi. Wszystko by wskazywało na jakieś stare porachunki, gdyby nie ta krew... A może to dla odwrócenia uwagi?

- Ale jest kolejna ofiara...

- Tak. I wtedy ta pierwsza zbrodnia nabiera innego znaczenia.

- Jakiego?

- To może być przestroga. Dla tych innych.

- Zakładasz, że te zbrodnie się łączą?

- Oczywiście. Każda z ofiar ma motyla w ustach.

- Przeróżająca historia. - Stary Werens spojrzał na Elizę, która zakrywała firanką bladą twarz.

- Być może to porachunki mafijne.

- Jakie?

- Takie, których sprawcami są gangsterzy.

- A jacy tu mogą być gangsterzy?

- Nawet stryj nie wie, jak wielu ludzi daje się wciągnąć w kłopoty. To teren nadgraniczny. Handluje się tu ludźmi, narkotykami, bronią. Zanim tu przyjechałem, zrobiłem sobie listę przestępstw dokonanych na tym terenie. Strzelaniny, porwania, podpalenia. Nie mówię, że to ci sami przestępcy dokonują tych makabrycznych mordów. Ale kto wie?

- Czy pod tym kątem chcesz prowadzić swoje śledztwo?

- Tak. Nie ukrywam, że tak chcę o tym napisać. Moim zdaniem to jest wojna gangów o wpływy. Kręgi z krwi to tylko przykrywka albo ostrzeżenie.

Stary Werens nad czymś rozmyślał. Dłuższą chwilę stukał delikatnie widelcem o krawędź stołu, by nagle powiedzieć:

- Acta martyrum.

- Co? - młody nie dosłyszał słów dawnego księdza. - Co stryj mówił?

- Ta krew... Coś mi przyszło do głowy... Ale to chyba nic ważnego. Tak,

jak się nad tym dłużej zastanowić, to nic ważnego. Ot, głupie skojarzenie. Nieważne. O której wyjeżdżasz?

- Zaraz.

- To zaczekaj sekundę. Mam dla ciebie dobrą mapę tych terenów. Może ci się przydać. - Gospodarz ruszył do salonu, by po chwili wrócić ze złożoną w prostokąt mapą. Wręczając ją bratankowi, powiedział: - Bądź ostrożny!

- Będę, stryju. Po takim śniadaniu muszę uważać, bo czuję się rozleniwiony. Ale myślę, że nic mi nie będzie. Dzisiaj dopiero czternasty. Do dwudziestego drugiego jeszcze osiem dni.

## 24 stycznia 1976, sobota

Na podjeździe do pałacu Donhoffów, zwanego "królewskim", pojawiały się eleganckie auta. Wcześniej mijaly wspaniały ogród i zamarzniete teraz stawy. Barokowy pałac był niezwykle. Posiadał trzysta sześćdziesiąt pięć okien, na dachu wymurowano dwanaście kominów. Aby cały układ odpowiadał kalendarzowi, budynek posiadał pięćdziesiąt dwa pokoje połączone ze sobą takąż ilością drzwi. Z pojazdów wysiadali mężczyźni w ciemnych płaszczach. Po lustrzanych schodach wchodzili do potężnego budynku. Ich samochody odbierał dobrze zbudowany mężczyzna w ciemnym, sztruksowym garniturze. Zasiadał za kierownicą i jedno po drugim odprowadzał auta do ogromnej neogotyckiej stodoły o krążynowym dachu, pokrytym czapą śniegu. Około godziny dwudziestej ostatni gość przeszedł pod czterokolumnowym jońskim portykiem i zniknął we wnętrzu pałacu.

Znalazł się w pięknym holu. Na wprost znajdowały się szerokie schody wiodące na piętro, po prawej stronie zaś sala teatralna i pokoje gościnne. Drugi olbrzym, stojący przy drzwiach do umieszczonej w lewym skrzydle pałacowej kaplicy, wskazał mu drogę. Tam już czekali na niego inni uczestnicy tajemniczego spotkania. Zebrani goście siedzieli wokół prostokątnego stołu. Mężczyzn było dwunastu. Słabe światło sączyło się ze świecznika ustawionego na środku stołu, przez co uczestnicy spotkania nie widzieli zbyt dobrze swoich sąsiadów. Trwała długa, ponura cisza. W pewnej chwili za oknem mignęły światła kolejnych aut. Przez salę przeszedł szmer zaniepokojenia. Na niektórych twarzach pojawił się strach. Nie oczekiwano już nikogo. Ale w następnej minucie otworzyły się drzwi i do kaplicy wszedł postawny mężczyzna w czarnym płaszczu z kapturem. Stanął u szczytu stołu i łagodnym głosem powiedział:

- Witam was, bracia moi! Mówią, że Ezaw, Korah i im podobni są ze sobą spokrewnieni i dlatego byli prześladowani przez Stwórcę.

Uczestnicy spotkania w skupieniu czekali na dalsze słowa stojącego mężczyzny. Ten zaś powiedział:

- Ale ani jeden z nich nie doznał szkody, bo Mądrość wzięła ich do siebie. Nie lękajcie się zatem! Nasze obrady czas zacząć!

Teraz przez kaplicę przeszedł szmer uznania dla mędrca. Siedzący naprzeciwko ponury, łysy człowiek wstał od stołu i kłaniając się zebrany, rzucił z pasją:

- Bracie Montalto i Wy, Zacni! Spotykamy się w tym miejscu od wielu lat. Daje nam ono bezpieczeństwo i schronienie. Zasługa to jednego z czcigodnych braci, który zawiaduje tym pałacem. Za dnia pełni obowiązki urzędnicze, wieczorem zaś służy naszej sprawie. Nie zdarzyło się nigdy, aby ktoś niepowołany przebywał blisko naszych obrad. Ale czasy są niebezpieczne. Nasza sprawa i nasze czyny wzbudzają zainteresowanie czynników oficjalnych. Nie muszę tu mówić, o jaką sprawę idzie. Jesteśmy tu, by coś postanowić - zakończył, patrząc po zebranych.

- Brat ma rację - głos zabrał człowiek siedzący po prawej stronie łysego. - Tu jesteśmy bezpieczni, ale ludzie, którzy chcą nam zaszkodzić, planują swoje czyny gdzie indziej. I na nic zdaje się nasza ostrożność. Cóż z tego, że nie wymieniamy naszych nazwisk, kiedy i tak nasi wrogowie - wstał od stołu - są o krok od wykrycia naszego sprzysiężenia.

- Jak to? - niski człowieczek o rumianej twarzy poderwał się z ciężkiego krzesła.

Teraz głos zabrał ten, którego jako jedyne wymieniono dotychczas z nazwiska:

- Starłem się zawsze chronić was i naszą sprawę. Dlatego nie używamy imion, nazwisk ani jakichkolwiek przezwisk mogących służyć



zidentyfikowaniu któregośkolwiek. Niestety, jakiś czas temu w ręce naszych wrogów wpadł jeden z braci. A przecież jedynym, który zna wasze nazwiska, jestem ja...

- Bracie Montalto - przemówił ten, który zabierał głos jako pierwszy - ufamy ci bezgranicznie. Nigdy nie uwierzymy, że masz coś z tym wspólnego!

W tejże chwili mężczyźni równocześnie poderwali się od stołu, co miało oznaczać poparcie dla Montalto. Ten ruchem ręki nakazał zebranych, aby zajęli swoje miejsca, i powiedział:

- Dziękuję wam za te słowa. Jestem przekonany, że nasz brat nie zdradzi niczego, co mogłoby naprowadzić wrogów na nasz ślad. Ale sprawy zaszły za daleko. Człowiek ten jest w rękach naszych wrogów, a dokumenty dotyczące jego sprawy znajdują się w gmachu sądu.

- Co radzisz?

- Co, bracie?

- Od wieków jesteśmy prześladowani przez Stwórcę. Ale to my zostaliśmy stworzeni z mocniejszej siły i wyższej władzy. Wiercie mi, Demiurg wzmógł wysiłki dla zniszczenia nas, ale niczym nie może nam zaszkodzić. Bo skryliśmy się przed nim, przenieśliśmy do wyższego Eonu, a ten jest częścią mocniejszej siły, Mądrości, która wzięła nas do siebie. Nie możemy skrzywdzić naszego brata. Możemy wszakże zniszczyć to, co nam zagraża. Możemy zniszczyć akta sprawy przeciw niemu rozpoczętej.

- Jak?

- Czym?

- Spalimy gmach tego sądu. Tam znajdują się kompromitujące nas dokumenty - powiedział Montalto, a przez salę przeszedł szmer podniecenia.

- Kto tego dokona, bracie? - zapytał kościsty starzec. - Żaden z nas nie ma w tym doświadczenia.

Montalto klasnął w dłonie i w drzwiach stanął młody chłopak z twarzą pokrytą trądzikiem i niewielkim garbem.

- On - powiedział Montalto i nakazał zbliżyć się stojącemu w cieniu mężczyźnie.

Zebrani z uwagą patrzyli na młodzieńca, komentowali między sobą jego wygląd. Po chwili dostrzegli siedzącego krok za nim olbrzymiego, czarnego owczarka. Pies z oddaniem wpatrywał się w swojego pana. Był gotów rzucić się na każdego, kto chciałby zrobić mu najmniejszą krzywdę.

- Jaką mamy gwarancję, że nas nie zawiedzie? - zapytał ktoś z najdalszego kąta sali.

- Właśnie. To jeszcze dzieciak. Co będzie, jeżeli go złapią? Będzie milczał? Będzie wierny naszej sprawie?

- Ten pies go nie ochroni - ktoś jawnie zadrwił z młodzieńca.

Wtedy ten błyskawicznie wyjął z wiszącej mu na piersi skórzanej torby długi, wojskowy nóż i wbił go w gardło nic nierozumiejącego przyjaciela. Pies spojrzał na niego mokrymi ślepiami, jakby zapłakał z powodu zdrady, po czym padł na podłogę.

Sala błyskawicznie ucichła. Już nikt nie śmiał drwić z młodego garbusa z paskudnym trądzikiem. Patrzone na niego z przerażeniem, które wnet zmieniło się w podziw.

- Czy jeszcze macie, bracia, jakieś wątpliwości? Czy wątpicie w oddanie tego młodzieńca? - zapytał Montalto.

Nikt nie odpowiedział.

- Rozumiem, że wyrażacie zgodę. A zatem sprawa jest postanowiona. Jutro o tej porze nad miastem wzniesie się płomień, który zniszczy knowania naszych wrogów. Pożary co jakiś czas wybuchają. Szczególnie łatwo o nie w starych domach. A teraz pozwólcie, że zajmiemy się kolejnym punktem naszego zebrania. Wszak doskonały wyznawca jest nieustraszony w

realizowaniu takich działań, których nie można nawet nazwać!

Montalto ponownie klasnął w dłonie. Ciężkie dwuskrzydłowe drzwi rozwarły się na całą szerokość i do ciemnej kaplicy wbiegło z rozbawieniem kilkanaście półnagich dziewcząt i chłopców. Montalto dał znak do rozpoczęcia orgii.

## 14 sierpnia 2004, sobota

Rano, zaraz po śniadaniu, Werens pojechał w miejsce, w którym kiedyś znajdował się miejski stadion. Teraz była to zapuszczona łąka ze zrujnowanymi kamiennymi schodami i potłuczonymi lampami, kiedyś rozświetlającymi aleję prowadzącą na wielki plac otoczony gęstym lasem. Werens minął pozostałości po budynkach klubowych i usiadł na betonowym wsporniku, który w przeszłości tworzył wygodną, szeroką ławę. Samochód zostawił przy ulicy, na placu będącym parkingiem dla miejskich autobusów. To tam w styczniu kierowca taksówki wysadził starszego pana, a ten przez śnieg ruszył w ciemności, z których już nigdy nie wyszedł.

Werens przez chwilę obserwował młodego chłopaka bawiącego się z czarnym owczarkiem. Młodzieniec ciskał w niebo fragment wysuszonej gałęzi, a pies, machając wesoło ogonem, biegł w kierunku patyka. Dziennikarz wyjął notes, w którym odnalazł notatki prasowe dotyczące tamtego dnia. Jeszcze raz przeczytał: “26 stycznia o godzinie 15 sześćdziesięcioletni emerytowany policjant Rajmund Gesler udał się taksówką na tereny byłego Stadionu Leśnego, gdzie został napadnięty przez nieznaną sprawców. Z relacji taksówkarza wynika, że mężczyzna zachowywał się spokojnie, nie wykazywał oznak zdenerwowania. Na miejscu mężczyzna użył pistoletu P64, na który posiadał zezwolenie. Wystrzelił sześć naboju, wszystkie odnaleziono w korze pobliskich drzew. Usytuowanie pocisków sugeruje, że napastnicy mogli być oddaleni od siebie jeden od drugiego o kilka metrów. Raczej wyklucza się przypadkowość i chaotyczność strzałów. Rajmund Gesler był doświadczonym policjantem, przechodził wielokrotne szkolenia z obsługi broni, posiadał znaczne osiągnięcia w zakresie strzelania, czego dowodzą liczne wyróżnienia i

okolicznościowe nagrody. Co ciekawe, nie odnaleziono śladów po pociskach wystrzelonych w kierunku Geslera. Podaje to w wątpliwość tezę o wymianie ognia. Czy ofiara była zatem obezwładniona bez użycia broni palnej, a co najwyżej nią terroryzowana? Również zabezpieczone ślady należą do ofiary. Przed śmiercią policjant był torturowany ze szczególnym okrucieństwem. Spalono mu kończyny dolne i oddzielono głowę od tułowia. Istotną wskazówką może być znaleziony w ciele denata motyl".

Z wygodnego plecaka Werens wyjął cyfrowy aparat i wykonał kilka zdjęć terenu. Uwiecznił też pięknego owczarka, po raz kolejny pędzącego z patykiem w pysku przez łąkę, na której Rajmund Gesler mógł w młodości spędzać godziny na obserwacji popisów atletów. Werens pomyślał, że w pewnym sensie Gesler również stał się częścią legendy tego miejsca. Mniejsza o okoliczności.

Ze stadionu pojechał na ulicę Grunwaldzką, pod dom numer jednaście. To tam mieszkał zamordowany policjant. Dwupiętrowa kamienica stała kilkanaście metrów od stromej ulicy. Werens zostawił samochód na niewielkim placu za budynkiem i skierował się do środka. Dokładnego adresu Geslera nie posiadał, dlatego stał dłuższą chwilę przed drzwiami prowadzącymi na klatkę schodową. Cyfry na domofonie niewiele mu pomogły - jakiś czas temu zastąpiły one nazwiska. Każdy ma prawo do prywatności. Nacisnął zatem pierwszy z brzegu przycisk i poprosił o otwarcie drzwi. Usłyszał w głośniku skrzekliwy głos jakiegoś starszego mężczyzny. Przedstawił się jako roznosiciel ulotek reklamowych. Podziałało. Ruszył do najbliższych drzwi. Zapukał. Nikt mu nie otworzył, więc skierował kroki do kolejnych. Tam było lepiej. Uchyliły się drzwi, w prześwicie dostrzegł łysiejącą głowę siwej kobiety. Werens przedstawił się i poprosił o podanie numeru mieszkania Geslera.

- A co panu po numerze? Tam nikogo nie ma. Rajmund żył sam -

powiedziała nienaturalnym głosem kobieta. Przyjrzał się jej uważniej. Po chwili dostrzegł, że ma w szyi zainstalowany aparat do modulacji głosu. - A mieszkał tu obok, pod trójką.

- To byliście państwo sąsiadami, tak?

- Czterdzieści lat by było w przyszłym roku. Rajmund mieszkał tu już przed nami. Od dzieciństwa. Warmiak z pochodzenia. Ja to z lubelskiego jestem.

- Czy ktoś do pana Geslera przychodził?

- Niby kto?

- Znajomi. Koledzy z pracy.

- Rajmund był starym kawalerem. Rzadko kto zaglądał. Mówi pan, koledzy... Może to i koledzy byli, kto to wie? On był mruk. Rozumie pan? Niewiele gadał. Ale jak już coś powiedział, to szło w pięty niejednemu!

- Co ma pani na myśli?

- Na ten przykład kotki karmiłam. Tu, pod domem. I rada osiedla zakazała. Że niby smród i piski po nocach kocie. Płakałam tydzień. Bo co te zwierzaki winne? A wtedy akurat Rajmund szedł i się mnie pyta. Pani Rózo, bo ja Róża jestem, czemu pani płacze? A bo mi zwierzaki kazali usunąć. Pomrą zimą bez pomocy i karmy. Jak on się wtedy zdenerwował! Powiadam panu, w szal wpadł. Poleciał do tych mądrali. Co im powiedział, tego nie wiem, ale jak wrócił, to cały czerwony na twarzy był.

- I co, działał coś?

- Panie kochany! To był chłop! Na drugi dzień sami przyszli tacy dwaj. Czy jakoś pomóc mogą z tymi kotami. Taki był Rajmund. A teraz go zabili... Kto to mógł zrobić coś takiego? Dobrego człowieka. Co z tego, że w policji był? Wcześniej to i w milicji. Ale widocznie dobry był funkcjonariusz, że go zostawili do emerytury.

- A rodzina? Miał rodzinę, krewnych?

- Gdzie tam! Sam jak ten palec. Na święta to go zawsze do nas zapraszałam, ale nie chciał. Widocznie tak wolał. A mieszkanie do dzisiaj puste stoi. - Kobieta poprawiła aparat modułujący głos.

- A ci koledzy co przychodzili?

- Ci z pracy?

- Tak. Ci.

- Nikt nie przychodził. Aż wierzyć się nie chce.

- Zupełnie nikt?

- Nikt. Chociaż... Raz przyszedł tu taki jeden. Zapamiętałam, bo gębę miał taką paskudną. Czekał na Rajmunda w klatce. Papierosami smrodził. To mu uwagę zwróciłam. Ale jak na mnie spojrzał, to ciarki przeszły mi po karku. Paskudny jak ropucha!

- Czy coś mówił?

- Panie kochany, jakby go pan zobaczył, toby szybko uciekł! Taki straszny był! To i co ja miałam zrobić? Zamknęłam szybko drzwi od środka i siedziałam cicho. Potem kroki usłyszałam. Widocznie nie doczekał się Rajmunda.

- To wszystko?

- A to mało?! Po godzinie odetchnęłam. Ropuch poszedł sobie.

- Sam?

- Sam. Kto by z takim chodził?

- A kiedy to było?

- W styczniu. Dobrze pamiętam, śniegu tyle nawaliło. Moje biedne kotki tak wtedy marzły! Zaraz, ale ja już przecież to mówiłam policji. To pan nie od nich?

- Od nich. Ale są nowe tropy - skłamał Werens.

- Jakie tropy?

Nie zamierzał wdawać się w wyjaśnienia, które mogłyby go

zdemaskować. Rzucił zatem krótko:

- Czy jeszcze kiedyś go pani widziała? Tego człowieka pod drzwiami pana Geslera?

- Raz mi wystarczył. Ale Rajmund to był dobry - kobieta zmieniła temat. - Zwierzęta lubił. Ludzi jakby mniej.

Werens zrozumiał, że niczego więcej się tu nie dowie. Ze słów kobiety wyłaniał się obraz samotnego, starszego pana, który jest wrażliwy na krzywdę bliźniego. Coś mu tu nie pasowało. Obraz gliniarza był zbyt sielankowy. Za miłość do zwierząt nikt głowy nie odcina. I czy to zabójca odwiedził go w styczniu? Czy to po tej wizycie Gesler wyruszył do lasu, by tam zginąć? Werens co do tego nie miał pewności. Podziękował zatem krótko i wyszedł z kamienicy.

\*\*\*

Postanowił za wszelką cenę dotrzeć jeszcze tego dnia w miejsce drugiej zbrodni. Wyjął otrzymaną od stryja mapę. Znalazł jakąś wąską drogę, która prowadziła przez wieś Gutkowo. Złożył płachtę, wsiadł do samochodu i ruszył na zachód, w kierunku Elbląga. Ulicą Bałtycką dojechał do granic miasta. Dalej, drogą numer 527, dotarł do Łukty. Tą samą drogą pojechał na północ. W Morażu skręcił w drogę numer 519 i w Małdytach wyjechał na krajową "siódemkę". Minał Pasłek. Droga do hotelu "Młyn" zajęła mu w sumie półtorej godziny. Na miejscu był w porze obiadowej, z czego nie omieszkał skorzystać i zamówił posiłek. Budynek hotelowy bardzo przypadł mu do gustu. Odrestaurowany ze szczegółami, piękny, wielki młyn wodny. Werens udał się do restauracji połączonej z antresolą. Zamówił schab z pieczarkami i gniecionymi ziemniakami, a do picia małe piwo żywieckie.

Oczekując na posiłek, obserwował gustowne wnętrze. Po chwili myślał już tylko o Markowskim. Biednym prokuratorze, który zostaje wyrwany przemocą z miłego pokoiku, gdzie czeka na tajemniczą kobietę, z którą



spotyka się tu od kilku miesięcy. Kim jest jego kochanka? Czy ma ona związek ze sprawą? Werens wstał od stołu i ruszył w kierunku recepcji. Widząc minę kelnera, uspokoił go gestem sugerującym natychmiastową konieczność wizyty w toalecie. Miał szczęście, bo natrafił na dyżur tego samego recepcjonisty, który pełnił obowiązki w tamtą tragiczną Wielką Sobotę. Werens uśmiechnął się do mężczyzny, przedstawił i zapytał o przebieg zdarzeń pechowego dnia. Młody człowiek, którego nazwisko widniejące na plakietce przyklejonej do piersi brzmiało Janas, miał problemy z pamięcią. Zasłaniał się upływem czasu, zamieszaniem okołoswiątecznym. Wreszcie oświadczył, że ma zakaz rozmawiania na ten temat wydany przez kierownictwo hotelu. Werens wykazał pozorne zrozumienie, po czym poprosił o jedną jedyną informację. Aby nie narażać recepcjonisty na kłopoty, zapyta go o kobietę odwiedzającą prokuratora. Jeżeli to nie prostytutka, niech poda mu leżący na blacie gustowny prospekt reklamowy. Janas patrzył na niego dłuższą chwilę z błyskiem w oczach, po czym odwrócił się na pięcie. Werens zaś ruszył do stolika, na którym stał już pachnący obiad. Siadając, zerknął na trzymany w dłoniach kolorowy prospekt. Jadł z wielkim apetytem.

Po obiedzie postanowił odwiedzić dom zabitego prokuratora. Nie liczył na rozmowę z rodziną. Chciał zrobić kilka zdjęć. Poprosił recepcjonistę o książkę telefoniczną, w której odnalazł nazwisko Markowskiego, a przy nim adres. Zapytał o drogę, a kiedy dowiedział się, że to zupełnie blisko, z uznaniem pomyślał o prokuratorze. Miał facet tupet, nie ma co! No i nerwy, dodał po chwili. Zdradzać żonę prawie pod jej nosem! Wsiadł w samochód i pojechał na ulicę Reymonta. Poszukiwany dom poraził go swoim przepychem. Była to dwupiętrowa willa z podjazdem wykonanym z czerwonego, szwedzkiego granitu. Za domem widać było fragment pięknego ogrodu z kamiennymi ścieżkami, zadbanym stawem i gustowną ławką, na

której zapewne siadywał prokurator w takie jak dziś sobotnie popołudnia. Werensowi coś nie pasowało w tym sielankowym widoku. Nie mógł określić, co było tego przyczyną, ale w tym doskonałym, harmonijnym, zielonym świecie wyczuł jakiś fałsz. Postanowił zapamiętać to uczucie. Wyjął aparat i zrobił kilka zdjęć. Zwykle tymi sprawami zajmował się zawodowy fotograf i tak zapewne będzie i tym razem. Werens zdjęcia robił dla siebie. Chciał wieczorem obejrzeć je na chłodno, porównać. Poszukać jakiegoś znaku, szczegółu, sam nie wiedział czego. W pewnej chwili na podwórzu pojawiła się kobieta, której wiek Werens ocenił na zbliżony do swojego. Odruchowo zrobił jej zdjęcie.

Młody dziennikarz lubił towarzystwo kobiet. Szczególnie tych ładnych. Wiedział, że się im podoba. Wykorzystywał to cynicznie. Flirtował i uwodził. Potem zwykle znikał, zostawiając po sobie, jak mniemał, miłe wspomnienie. Nigdy nie był w stałym związku. Kiedy ktoś zbliżał się do niego zbyt blisko, zwyczajnie go porzucał. Zrywał natychmiast znajomość. Był młody, wolny i atrakcyjny. Na wielką miłość miał jeszcze czas. Zresztą czy taka miłość w ogóle istnieje?

Szczupła, wysoka kobieta przed domem była skąpo ubrana w krótką białą spódniczkę. Miała miłą, pociągłą twarz pokrytą piegami. W ustach trzymała spinkę, którą po chwili umieściła w gęstych i długich rudych włosach. Co za fart, pomyślał. Spotykam tutaj tylko same ślicznotki. Kobieta, widząc Werensa, ruszyła w jego kierunku z figlarnym uśmiechem. Radośnie powiedziała:

- Słucham pana?
- Nie chciałbym zakłócać sobotniego popołudnia...
- Chyba właśnie pan to robi.

Kobieta zaskoczyła go tymi słowami.

- Rzeczywiście. Na to wygląda.

- O co zatem chodzi?

- Jestem dziennikarzem, nazywam się Paweł Werens. Przyjechałem z Warszawy. Piszę o morderstwie pana Markowskiego.

- I?

- Mam w związku z tym kilka pytań. Czy mogę? - Wskazał wzrokiem na furtkę.

W tym samym czasie otworzyły się drzwi do domu, a w progu stanęła inna kobieta. Starsza, z lekką nadwagą. Ubrana w elegancką czerwoną suknię wieczorową i szeroki kapelusz, spod którego wystawały kasztanowe loki.

- Beata! - krzyknęła do rudej ślicznotki. - Pośpiesz się! Mamy pół godziny! - Bez specjalnego zainteresowania spojrzała na wiszącego u płotu Werensa i zniknęła za drzwiami.

- Sam pan widzi. - Uśmiechnęła się do niego ponownie, błyskając pięknymi, równymi zębami. - Nie mam dla pana czasu... Może innym razem...

Kręcąc zmysłowo biodrami, ruszyła w kierunku domu. Patrzył na nią jak zahipnotyzowany. A kiedy nie odwracając się, rzuciła: - I proszę mi przynieść moje zdjęcie - Werens przez chwilę zapomniał o celu wizyty.

Stał długo oparty o płot, aż wreszcie przegonił go nadbiegający od strony stawu potężny doberman. Idąc w kierunku auta, zastanawiał się nad tą całą sytuacją. Dziwni ludzie, pomyślał. Wokół nich rozpętało się piekło, a oni jak gdyby nigdy nic prowadzą rozrywkowe życie. Żadnych pytań o Markowskiego. Przecież Werens mógł tu przybyć z jakimiś ważnymi informacjami. Dlaczego te kobiety tak się zachowują? Wnet sobie odpowiedział: bo minęło już kilka miesięcy od zabójstwa i zwyczajnie mają po dziurki w nosie tej całej sprawy. Usiadł za kierownicą i wolno przeglądał mapę. Odnalazł wieś, w pobliżu której więziono prokuratora. A kiedy palcem najechał na niewielką rzekę Baudę, gdzie w marcu znaleziono jego ciało

przywiązane sznurem do drzewa, zapomniał o wdziękach prowokacyjnego rudzielca i z impetem ruszył na wschód.

Droga do całkowicie zniszczonego pałacu rodu Dohna zajęła mu pół godziny. Krążył między resztkami murów wspaniałej rezydencji, myśląc o wydarzeniach sprzed kilku miesięcy. O uwięzionym Markowskim, który gdzieś w tym miejscu został strącony do ponurej piwnicy i tam zamarznął. Nie mógł odnaleźć wejścia do podziemi. Być może dlatego, że po wiosennych porywistych wiatrach ściany pałacu w kilku miejscach runęły, a teraz stanowiły trudne do przebycia gruzowisko. Straszna śmierć, pomyślał. Tym bardziej okrutna, że rozłożona w czasie. Werens był przekonany, że kobieta, z którą Markowski romansował w hotelu, miała związek z porwaniem. Mogła tamtego popołudnia wystawić ofiarę zabójcy. Bo skąd by wiedział, gdzie szukać Markowskiego? Co prawda mógł go śledzić, ale jakimś dziwnym trafem wdarł się do pokoju w chwili, kiedy mężczyzna był sam. To nie przypadek. Nic w tej sprawie nie jest przypadkowe. Ktoś z okrucieństwem zabija policjanta, prokuratora i lekarza. Ten ostatni nie pasował do układanki, ale to mogło być pozorne. Jakby wszyscy oni padli ofiarą jakichś porachunków. Tylko jakich? Byli skorumpowani? Za dużo o kimś wiedzieli? Werens odrzucił wersję o trzech szlachetnych panach, z których pierwszy, policjant, łapie groźnego złoczyńcę, drugi, prokurator, doprowadza do jego uwięzienia, a trzeci, doktor, podczas jednej z wizyt u pacjenta poznaje jakąś ponurą tajemnicę, i wszyscy oni w ramach zemsty ponoszą śmierć. Więc co? Co się stało, że ci ludzie zostali brutalnie zamordowani, a potem, niczym jakiś znak, otrzymali po martwym motyłu.

Nagle Werens doznał olśnienia. Motyl! Dlaczego nikt nie interesuje się tym owadem? Co to za gatunek motyla? Gdyby to nie miało znaczenia, to przecież byłyby to różne owady. A tak nie jest. Są identyczne! To musi coś znaczyć! Werens skierował samochód w kierunku rzeki Baudy. Po dziesięciu

minutach dotarł do porośniętego trawą i trzcina brzegu mocno wyschniętej latem rzeczki. To tutaj znaleziono ciało Markowskiego przywiązane do drzewa za nogę. Kolejny znak, pomyślał. Tylko czego? Gdyby mordercy było wszystko jedno, zostawiłby ciało w piwnicy. Bo prokurator przed śmiercią przebywał w piwnicy. Policja znalazła w ruinach ślady jego krwi i skrawek płaszcza. Mógł też wyciągnąć ciało z nory i zostawić w ruinach. Dlaczego tak się nie stało? Werens sam sobie na to odpowiedział: bo zabójcy bardzo zależało na tym, aby ciało znalazło się nad wodą. Właśnie, nie przy wodzie, ale w wodzie. Tylko po co?

Werens rozejrzał się po okolicy. Teren był prawie pusty. Gdzieś, hen, majaczyły budynki jakiejś osady. Po drugiej stronie rzeczki był las, na którego skraju stała piękna, zadbana posiadłość, zatopiona w kwitnących drzewach. Reszta to były łąki z pasącymi się łaciatymi krowami i jakieś nieużytki.

W pewnej chwili od strony posiadłości ruszył w jego kierunku jakiś człowiek. Mężczyzna kulał i najwyraźniej miał problemy z chodzeniem. Werens pomyślał o zadaniu autochtonowi kilku pytań. Tyle tylko, że mężczyznę, który właśnie się zatrzymał, dzieliła od Werensa szerokość rzeki. Obejrzał go uważnie. Był to starszy pan, z całą pewnością na emeryturze, który dożywał w spokoju ostatnich lat w pięknym, cichym miejscu. Miał na głowie słomkowy kapelusz. Ubrany był w kraciastą koszulę, pod którą kryła się wątła sylwetka, i lniane, jasne spodnie, okrywające patykowane nogi. Mężczyzna miał ogorzałą twarz, kwadratową szczękę i orli nos. Jego oczy zakrywały fotochromowe okulary. Dziennikarz, by być słyszany, wykrzyknął:

- Piękna okolica.

W odpowiedzi ledwo usłyszał:

- Tam był, dobrze pan trafił.

Zaskoczony Werens zapytał:

- A skąd pan wie, czego ja szukam?

- No przecież nie przyjechał pan łowić ryb. Wędki nie widać. Takich jak pan było tu już wielu. Łatwo was, dziennikarzy, rozpoznać.

- To prawda. Jestem tu w sprawie zabójstwa z wiosny.

- No przecież panu mówiłem. Dobrze pan trafił. Tu go znalazł. Przywiązano go za nogę do drzewa.

- Kto go znalazł?

- A on - mężczyzna wskazał wielkiego psa pasterskiego nadbiegającego susami od strony domu. - Mój pies. Szczekał z godzinę, to wyszedłem z domu i tu po śniegu dotarłem. Na polach śnieg utrzymuje się długo, nawet do kwietnia.

- A samochód pan widział?

- Jaki samochód?

- Czarne bmw.

- O, to dobre auto. Ja przez lata jeździłem audi. Też dobre. Ale już wiek nie pozwala. A samochodu to nie widziałem.

- Może pan coś słyszał?

- Co? Nie słyszę. Niech pan do mnie podejście!

- Jak? Jest tu gdzieś mostek? Kładka jakaś?

- A przez rzekę.

- Jak to, przez rzekę?

- W życiu trzeba wszystkiego spróbować. No, śmiało! Nie jest głęboko! Ledwo za kolana. - Stary gestami zachęcał Werensa. - Innej drogi nie ma.

- Może kiedy indziej! - krzyknął dziennikarz, ale zaraz uśmiechnął się do siebie. Ma facet poczucie humoru!

- Co? - powtórzył stary.

- Już nic. To mówi pan, że nic nie widział? - Podświadomie Werens

wydarł się jeszcze głośniejsze niż przed chwilą. - Przecież tu tylko pola i łąki. Zimą całkiem białe.

- Niestety. To co, zajdzie pan do starego, samotnego człowieka?

- Nie mogę. Mimo wszystko dziękuję panu!

- Nie ma za co. Ale zapraszam innym razem. Zawsze tu jestem.

Werens zrobił kilka zdjęć rzeczki leniwie płynącej na północ, do Zalewu Wiślanego. Spodobał mu się też las osłaniający posiadłość od wschodu, a na koniec wycelował obiektyw w kierunku pięknego domu zatopionego w zieleni drzew. Idealny obraz psuło drzewo, które było złamane. Uczynił to zapewne wiatr. Z żółtego wnętrza wypływał lśniący sok i wolno spływał po korze. Zrobił również zdjęcie zmierzającemu w kierunku zabudowań starcowi, któremu towarzyszył ogromny bernardyn. Normalnie, wakacje, pomyślał Werens. Nic, tylko odpoczywać!

Wsiadł do samochodu i ruszył w kierunku domu stryja. Wąską drogą numer 509 dotarł do krajowej "siódemki" i wolno pojechał na południe. Słońce leniwie przesunęło się wzdłuż drogi, kierowca równie niespiesznie palił kolejnego papierosa. Mijał opustoszałe wioski, sam był mijany przez pędzących na złamanie karku ludzi. Odwlekał chwilę powrotu do przekłętego miasta, tłumacząc się zbieraniem myśli. Bo i miał nad czym się zastanawiać. Wjechał w Lasy Taborskie i na wysokości Wzgórza Napoleona odbił na wschód. Na ulicach miasta pojawił się, gdy słońce kryło się za dachami kamieniczek. Nie pojechał jednak prosto na Fałata, tylko skręcił w kierunku polikliniki. Postanowił zobaczyć zranionego psa. Ale nie tylko jego.

Tak jak na to liczył, piękna pani weterynarz znów miała dyżur. Zastał ją rozmawiającą z jakąś poruszoną do żywego właścicielką ospałego chomika. Drzwi do jej gabinetu były uchylone. Werens usiadł w poczekalni i zbytnio się nie kryjąc, obserwował młodą kobietę. Zauważyła to i po chwili wstała od biurka. Z uśmiechem na ustach podeszła do drzwi i zamknęła je od środka.

Teraz musiał znaleźć sobie inny obiekt obserwacji. Albo znowu powrócić do sprawy trzech morderstw. Wybrał ten drugi wariant. Wyjął z torby czarny dyktafon, uruchomił go kciukiem i powiedział:

- Trzech starców ginie w odstępie kilku miesięcy. Dwaj z nich z racji wykonywanej profesji mają kontakty ze światem przestępczym. Morderca bądź mordercy zostawiają w ciałach zabitych białego motyla. Mamy zatem dwie cechy wspólne dla tej sprawy. Wiek ofiar i motyl. Kolejną rzeczą jest miejsce mordów. Ludzie giną na stosunkowo niewielkim obszarze. Z jednego miejsca zbrodni do drugiego można dotrzeć w dwie godziny. Pierwsza ofiara to emeryt. Dwie następne to zamożni ludzie. Prokurator może aż nadto. Brał łapówki? Ten pierwszy, policjant, mieszkał skromnie w kamienicy. Gdyby w grę wchodziły pieniądze, to jego sytuacja finansowa wyglądałaby o niebo lepiej. Ale i to nie musi być dobry trop. Mógł przecież mieć długi, prowadzić rozwiązłe życie, uprawiać hazard. Pieniądze się go nie trzymały. Właśnie. Trzeba teraz przyjrzeć się tym ludziom pod kątem ich przeszłości. Prokurator nie zawsze musiał być prokuratorem. Policjant przed rokiem pięćdziesiątym pracował w milicji, a potem przeszedł pozytywnie weryfikację służb. I ich rodziny. Prokurator miał żonę i kochankę. Policjant mieszkał samotnie. Nie miał krewnych. Prowadził spokojne życie. No i wreszcie lekarz. Ci ludzie musieli gdzieś bywać, ktoś musi ich znać z nieco mniej oficjalnej strony. Twierdzą, że zabici się znali. Nie potrafię tego dowieść, ale inne rozwiązanie nie ma sensu.

Werens przerwał, bo otworzyły się drzwi do gabinetu i stanęły w nich lekarka z przejętą właścicielką śpiącego chomika. Piękna pani doktor odprowadziła ją do drzwi wyjściowych i po chwili stanęła przed zamyślonym Werensem.

- Czy zawsze pan rozmawia sam ze sobą?

- Słucham?



- Pytam, czy to normalne, aby dorosły mężczyzna mówił sam do siebie?

Werens wstał z drewnianej ławki i jakby chcąc się wytłumaczyć, kreślił w powietrzu jakieś znaki. Dopiero po chwili lekarka zorientowała się, że trzyma w dłoni dyktafon.

- Tak pracuję - wykrztusił wreszcie. - Potem na spokojnie to odsłuchuję.

- Rozumiem. - Uśmiechnęła się i wyciągnęła w jego kierunku dłoń. -

Hanna.

- Paweł - szybko odpowiedział i uściśnął delikatne, szczupłe palce lekarki.

- Chcesz obejrzeć psa? To miło z twojej strony. Czuje się dużo lepiej niż wczoraj. Ty też wyglądasz lepiej.

- Nie rozumiem?

- Wczoraj byłeś zupełnie mokry.

- I chyba bardzo zdenerwowany.

- Nie da się ukryć. To co? Idziemy? - Ruszyła w kierunku prawej części budynku.

Werens poszedł za nią. Wciągał w płuca nieprzyjemny zapach silnych środków czyszczących i równie nieprzyjemną woń lekarstw. Nie omieszkał też przyjrzeć się idącej przed nim kobiecie. Musiał przyznać, że o ile miasto budziło w nim szczerą niechęć, o tyle mieszkające w nim kobiety podobały mu się coraz bardziej.

Pies leżał w okratowanym boksie, miał błyszczące od gorączki ślepie. Widząc parę ludzi, próbował się podnieść, nieznacznie zamerdał cienkim ogonem. Biedne stworzenie, pomyślał Werens. Bezpański, wiecznie głodny kundel, któremu teraz choroba nie pozwala najeść się wreszcie zawartością pełnej miski. Przewrotność losu.

- Z psem nie jest źle. Złożyliśmy mu łapę, dostał środki znieczulające. Za jakiś czas będzie znowu biegał.

- Chyba już nie bardzo?

- Dlaczego tak mówisz?
  - Ma trafić do schroniska. Tam nie ma zbyt wiele miejsca do biegania.
  - Tak, ciasnota. Ale lepsze to niż los, jaki zgotuje mu ulica.
  - Ja go nie wezmę. Co bym z nim robił w Warszawie? - Werens zaczął się nieświadomie tłumaczyć. - Często wyjeżdżam, całe dni mnie nie ma...
  - Ale ja wcale nie oczekuję, że go weźmiesz.
  - Całe szczęście. Mam tu i bez tego wiele problemów.
  - A jakie to problemy?
  - Właśnie, mogłabyś mi chyba pomóc. To znaczy, skierować do kogoś, kto by mi pomógł.
  - Może po prostu powiesz, o co chodzi?
  - Szukam kogoś, kto zna się na motylach. Entomologa. Tak się taki ktoś nazywa, prawda?
  - Widzę, że rzeczywiście potrzebna ci pomoc. Entomologia to bardzo szeroki dział zoologii. Pewnie taki entomolog ma znaczną wiedzę o owadach, ale jeżeli szukasz specjalistycznych informacji, to musisz zwrócić się do kogoś innego.
  - Do kogo?
  - Do lepidopterologa.
  - A co to za zwierz?!
- Lekarka zaczęła się głośno śmiać, przez co pies wpadł w panikę i na trzech zdrowych łapach skoczył do krat. Pogłaskała go po karku długimi, mocnymi palcami, co wyraźnie zwierzaka uspokoiło. Zwinął się w kłębek i dyskretnie łypał ślepiami na parę ludzi.
- Nie zwierz, tylko człowiek. A do tego specjalista od motyli.
  - Czy znasz kogoś takiego?
  - A co z tego będę miała? - Patrzyła na niego roześmianymi oczyma.
  - Uroczą kolację w miłym towarzystwie.

- To niemożliwe.
- Dlaczego?
- Prawie się nie znamy. Nie jadam kolacji z nieznanymi.
- To może chociaż obiad? - Werens nie dawał za wygraną.
- Obiad to już bardziej. Kiedy i gdzie?
- Proponuję jutro. Na Starówce.
- To dobre towarzystwo jest pewne? - Jej oczy ciągle się śmiały.
- Najlepsze z możliwych! Zapewniam!
- Dobrze. Zgadzam się.

Werens był już nieco zmęczony całodziennym poszukiwaniem śladów zbrodni. Dlatego perspektywa spędzenia popołudnia z tą atrakcyjną kobietą sprawiła, że odzyskał wigor. Ujął jej ciepłą dłoń i powiedział:

- Przyjadę po ciebie jutro o czwartej. Podaj mi tylko adres.
- To już dwa adresy.
- Rzeczywiście. Chyba muszę pomyśleć o jakimś szczególnym obiedzie.

- Na taki liczę. - Spojrzała w jego oczy w sposób, który zaprawiony w miłosnych podbojach Werens odczytał jednoznacznie. Wiedział, że na obiedzie ich spotkanie się nie zakończy. W swych planach uwzględnił kolację. Czuł, że następną noc spędzi poza domem stryja. Jakoś szczególnie się tym nie zmartwił.

Pożegnał się zatem z lekarką. Przez chwilę poczuł lekki dreszcz emocji, bo piękna blondynka, podając mu adresy, swój i specjalisty od motyli, przechyliła się w kierunku jego policzka. Zbliżył do niej twarz, lecz wtedy ona cofnęła głowę. "To co wydaje się takie proste, wcale prostym być nie musi", pomyślał i udając obrażonego, obrócił się na pięcie. Potem zerknął do notesu i odszukał adres człowieka zajmującego się motylami. Naukowiec mieszkał w centrum, przy ulicy Kopernika. Werens zerknął również na adres dziewczyny. To było jakieś nowe osiedle, którego nie znał. Postanowił

zapytać stryja o tę ulicę. Właściwie to pragnął już znaleźć się pod jego dachem. Wziąć prysznic, rozstawić leżak na balkonie, przykryć się wełnianym kocem, otworzyć butelkę i tak zasnąć.

- Do jutra! - krzyknął już w drzwiach do polikliniki.

Nie usłyszał odpowiedzi. Wsiadł do samochodu i ruszył w kierunku ulicy Fałata. Wcześniej włączył radio. Leciąca jakaś głupawa piosenka o niezbyt skomplikowanym refrenie. Kobieta śpiewała: "Cry, ery!". Jasne, powiedział do siebie. Tylko płakać. Znowu to cholerne miasto! Jak ja to wytrzymam?! Dobrze, że chociaż jest ta ładniutka pani doktor. W tym momencie z głośnika popłynęły wiadomości. Jako pierwszą podano informację o poszukiwaniach seryjnego mordercy, który jak dotąd pozostawał nieuchwytny. Apelowano o czujność i zachowanie spokoju. Podano też rysopis poszukiwanego mężczyzny. Spiker na koniec poinformował o zapowiadanej na niedzielne południe konferencji prasowej z udziałem rzecznika policji.

- By to szlag! - wrzasnął Werens.

Uczył to z dwu powodów. Raz, że jego pobyt w mieście zapewne się przedłuży, dwa, w lusterku dostrzegł policyjny radiowóz kierujący się w stronę samochodu dziennikarza. Parkowanie na chodniku to nie był dobry pomysł.

## 25 stycznia 1976, niedziela

Neogotycki gmach sądu przy ulicy Dąbrowszczaków 44 w wojewódzkim mieście Olsztyn kształtem przypominał literę "T". Był to trójkondygnacyjny, masywny, surowy budynek z użytkowym poddaszem i mansardami w części dachowej. Młody garbaty mężczyzna obserwował nieotynkowane ściany z licowej cegły. Zbliżył się do jednego z okien na pierwszym piętrze, które ktoś celowo zostawił uchylone, dostawił do ściany drewnianą drabinę i błyskawicznie wspiął się po niej do okna. Wskoczył do środka i wciągnął drabinę do pokoju. Drzwi były otwarte i włamywacz mógł bez problemu wyjść na korytarz. Przemknął pod ostrołukowymi sklepieniami i wbiegł na drugie piętro. Tu odszukał pokój, w którym były trzymane akta sprawy jednego z braci. Wyjął z kieszeni klucz idealnie pasujący do zamka.

Wszedł do środka. W pomieszczeniu panował mrok, uliczne latarnie dawały niewiele światła. Garbus ruszył do szafy pod ścianą i... wpadł na niewysoki taboret, ukryty obok biurka. Mężczyzna upadł, strącając ze stołu elektryczną lampkę i teczkę z jakimiś papierzyskami. Wolno wstał i lekko kulejąc, doszedł do szafy. Nagle usłyszał na korytarzu czyjeś kroki. Zawrócił, aby zamknąć się od środka. Wiedział, że jego obecność szybko zostanie odkryta. Na drzwiach wisiała okrągła plomba, którą zerwał, wchodząc. Chciał jednak zyskać na czasie. W ostatniej chwili przekręcił klucz w zamku.

Ktoś, najpewniej strażnik, szarpnął za klamkę. Garbus wydobyl z torby butelkę benzyny, oblał łatwopalnym płynem drewnianą szafę, zwinął jedną z rozsypanych na podłodze kartek i podpalił ją. Potem podłożył pochodnię pod szafę. Ogień błyskawicznie zajął mebel, wnet rozlał się po dywanie i ruszył w kierunku podpalacza. Strażnik dobijał się do drzwi coraz natarczywiej. Kiedy je wreszcie otworzył, powietrze z korytarza dostarczyło pożywki dla ognia,

który ruszył po suchej boazerii i meblach, aż na korytarz. A kiedy garbus otworzył okno, ogień skierował swój jęzor w jego kierunku. Podpalacz stanął na parapecie. Wiedział, że szanse ma niewielkie. Wolał jednak roztrzaskać się o bruk, niż spłonąć w pomieszczeniu. Skoczył. Leciał przeraźliwie długą sekundę, po której wylądował w śniegu.

Miał szczęście. Pod oknem, z którego wyskoczył, znajdował się trawnik pokryty teraz śnieżną otuliną. Podpalacz czuł, że ma złamaną lewą nogę. Wiedział jednak, że musi uciekać jak najdalej. Usłyszał ryk syren, czyjeś krzyki i nawoływania. Uniósł głowę do góry i zobaczył pokryte ogniem wielospadowe, łamane dachy. Czerwone dachówki pękały i spadały w śnieg, który szybko się topił. Kiedy garbus wstał, by ruszyć do ucieczki, jeden z rozpalonych do czerwoności ceramicznych pocisków trafił go w twarz. Podpalacz zawył z bólu i chwycił się za policzek. Czuł, jak skóra odkleja się od mięśni i kości twarzy i niczym wosk kapie w śnieg. Kulejąc i sycząc z bólu, ruszył w kierunku zapełniającej się gapiami ulicy. Kiedy ich mijał, patrzyli na niego z przerażeniem. Po chwili, z niesmakiem, odwracali głowy.

## 14 sierpnia 2004, sobota

Werens wrócił zmęczony. Były ksiądz czekał na niego w salonie. Jego żona, jak dzień wcześniej, gdzieś wybyła. Było jasne, że zrobiła to celowo, by nie spotkać się z gościem, którego chyba po prostu nie lubiła. Wprowadził zamieszanie w ich życie, przywiózł ze sobą tę paskudną sprawę, alkohol i papierosy, które, jak myślała, na zawsze wypędziła z tego domu. Dlatego nie chciała widzieć bratanka Mariusza. Zwyczajnie była zazdrosna o czas, jaki zabierał, o zainteresowanie jego osobą. Tak myślał Werens. Nie do końca była to prawda. Były jeszcze inne powody takiego zachowania. Ale o nich Werens miał się dowiedzieć znacznie później.

Teraz, po powrocie z całodniowej wyprawy, siedział ze stryjem w salonie i niszczył jego zdrowie kieliszkami fińskiej wódki, którą kupił w całodobowym sklepie. Stryj zapytał o rezultaty poszukiwań. Werens zaczął od radiowej informacji o planowanej na następny dzień konferencji prasowej w komendzie. Potem powrócił do swoich ustaleń.

- Jestem zdania, że klucz do rozwikłania sprawy leży w elbląskim hotelu. Ta kobieta... Recepcjonista, z którym rozmawiałem, dał do zrozumienia, że to, stryju wybaczy, nie była kobieta lekkich obyczajów. Spotykała się z prokuratorem w hotelowym pokoju. Byli kochankami. Tu nie ma przypadku. Tamtego dnia, kiedy został porwany, pojawiła się dopiero po tym zdarzeniu. Jakby go wystawiła.

- Co jeszcze znalazłeś? - Stryj słuchał w skupieniu słów bratanka. Prawą dłonią gładził poręcz wygodnego fotela, w lewej trzymał papierosa.

Werens pomyślał, że były duchowny w gruncie rzeczy nie jest zainteresowany sprawą, a wykorzystuje całą tę sytuację, aby móc sobie przez tych kilka godzin poużywać. Był jednak w błędzie.

- Rano byłem w domu tego policjanta Geslera.

- Rozmawiałeś z jego bliskimi?

- No właśnie. Ten człowiek nie ma rodziny. A raczej nie miał. To był typowy samotnik. Sąsiadka powiedziała, że nikt go nie odwiedzał. Wierzę jej, to osoba z gatunku wścibskich. Kamienica jest niewielka. Kobieta mieszka na parterze. Jej pasja to koty i podglądanie.

- To ciekawe.

- Zaglądniesz ludziom do ich sypialni?

- Nie o to mi chodzi. Myślę o samotniku Geslerze.

- Ale w styczniu stało się coś ciekawego. Naszego policjanta szukał pewien człowiek. Z opisu kobiety wynika, że przypominał poszukiwanego zabójcę.

- Myślisz, że go szukał? To by znaczyło, że mógł zabić już wtedy, w domu.

- No właśnie. Dlaczego wyciągnął go na stadion?

Zapadło długie milczenie. Potem stryj zapytał o ostatnią ofiarę. Pamiętał nawet nazwisko zamordowanego mężczyzny z willi. Tomasz Biernat.

- Wiem niewiele. To był lekarz. Starszy człowiek prowadził prywatną praktykę. Jutro jest konferencja. Również jutro będę wiedział coś więcej o tym motylu. Wybieram się do specjalisty od tych owadów. Mieszka w centrum.

- Widzę, że nie próżnujesz. To dobry pomysł.

- Prawda? Aż wierzyć się nie chce, że nikt na to nie wpadł.

Stryj wstał z fotela, dłuższą chwilę krążył w milczeniu po pokoju. Wreszcie powiedział:

- Ta cała sprawa... Długo nad nią myślałem... Jest coś, o czym powinieneś wiedzieć. Być może to nie ma nic wspólnego z tymi wydarzeniami, ale czuję się w obowiązku, by ci o tym powiedzieć. Ten pierwszy zamordowany... To



się stało zimą, prawda?

- Tak. W poniedziałek.

- To akurat jest mniej ważne. Tak myślę. Otóż cała ta sprawa dziwnie kojarzy mi się ze śmiercią pewnego świętego...

- Kogo?!

- Polikarpa ze Smyrny. To postać z początków istnienia Kościoła.

Werens patrzył na stryja z rozbawieniem. Najwyraźniej starszek sobie podpił i opowiada teraz jakieś baśnie. Ale, przez uprzejmość, nie chciał mu przerywać. Nalał sobie kolejny kieliszek i sięgnął po papierosa.

- Polikarp był biskupem Smyrny. Obecnie to miasto w Turcji. Według Acta martyrum...

- A co to takiego?

- Protokoły sądowe męczenników. Kościół wykorzystywał je od wieków do, że się tak wyrażę, kształtowania postaw moralnych. Inaczej rzecz ujmując, składają się na nie sprawozdania z procesów i egzekucji męczenników chrześcijańskich w cesarstwie rzymskim. Układano je według ustalonego porządku. Często były to listy wysyłane przez jedną gminę chrześcijańską do drugiej. Można je też traktować jako zaczątki literatury chrześcijańskiej, ale ja chcę powiedzieć o czym innym. Otóż jednym z pierwszych takich dokumentów jest spisane przez jakiegoś anonimowego autora męczeństwo wspomnianego Polikarpa.

- Stryj wybaczy, ale trudno jest mi znaleźć podobieństwa w śmierci starego gliny i świętego.

- Poczekaj! Daj powiedzieć do końca. Ten Polikarp był już starcem. Dwudziestego drugiego lutego został zdradzony przez jednego ze swoich służących. Aresztowano go pod Smyrną i zaprowadzono na stadion...

Werens zadławił się dymem. Odłożył papierosa i słuchał byłego księdza w skupieniu. Tamten mówił dalej.

- Na tym stadionie miały odbywać się igrzyska. Polikarp miał wyrzec się Chrystusa. To był człowiek niezwykle poważany. Podobno znał osobiście kilku apostołów. A Jan Ewangelista wyświęcił go na wspomnianego biskupa Smyrny. Takie wyrzeczenie się wiary mogło znacznie osłabić morale pierwszych wyznawców. Ale Polikarp tego nie zrobił. Został za to skazany na śmierć męczeńską. Wpierw wrzucono go do ognia. Ale podobno płomienie na stosie uformowały się w obręcz, która nie dotykała jego ciała. Wtedy...

- Obcięto mu głowę? Ścięto go mieczem?

- Właśnie. Zaczynasz rozumieć. Wraz z nim śmierć poniosło dwunastu innych ludzi.

- I z jego krwi utworzono okrąg...

- No, niestety, nie.

- Włożono mu w usta motyla?

- Też nie.

- No to cała ta opowieść stryja nie bardzo nam się przyda. Owszem, stadion, stary człowiek z odciętą głową, jakieś ognisko. Ale reszta już nie bardzo. Gdzie tych dwunastu pozostałych? Motyl, krew? No i data. Stryj mówi o lutym, a tego naszego zabito w styczniu.

Gospodarz podszedł do kredensu, z którego wydobył pękata butelkę wytrawnego wina. Ruszył z nią do stołu. Patrzył przez chwilę w oczy bratanka. Tamten uśmiechnął się z pobłażaniem, jakby chciał powiedzieć: "Stryju, jest jeszcze wódka. Na co nam to wino?". Były ksiądz wyciągnął z szyjki butelki lekko wciśnięty korek i przechylił szkło nad białym obrusem. Młody Werens tylko jęknął, kiedy stary wylał czerwony napój w ten sposób, że utworzył na wykrochmalonym materiale okrąg. Potem szybko wykonał dwa kolejne ruchy. Na śnieżnobiałym jeszcze przed chwilą płótnie pojawiło się koło, wewnątrz którego był krzyż. Stary spojrzał z błyskiem w oku na

gościa.

- Czy tak był ułożony ten człowiek bez głowy? - zapytał ponuro.

- Dokładnie tak - odpowiedział Werens.

- To jest krzyż gnostycki.

- A co to znaczy?

- Że mamy duży problem.

- Tak, tak, stryju. - Werens pokiwał głową, równocześnie ironicznie się uśmiechając. - A jutro na Fałata wylądują kosmici. Da stryj to wino. Chyba upiję się na smutno.

\*\*\*

Werens znowu tonął. Był zanurzony w gęstej cieczy, która paraliżowała jego ruchy. Gdzieś, w górze, widział kontury jakiegoś człowieka, rytmicznie pracujące bosc stopy, jasną poświatę okalającą nogi. Chciał coś powiedzieć, ale woda wypełniła mu usta, wdarła się do nosa i uszu. Czuł, jak zalewa gardło i płuca. Jego ciało stawało się coraz cięższe, z każdą sekundą opadało niżej. Ubranie krępowało ruchy. Chciał je zedrzeć, zamiast tego zaplątał się jeszcze mocniej w luźnej, jasnej koszuli. Sznurówki butów krępowały mu nogi - były niezwykle długie, oplatały kolana, biodra, potem związały niczym powróż ręce. Werens sztywniał, stawał się kokonem coraz słabiej walczącym o życie. Jego ciało ważyło tonę, opadało szybko na dno.

\*\*\*

Obudził się zlany potem. Rozejrzał wokół nieprzytomnym wzrokiem. Był na balkonie. Księżyc wisiał na środku gwieździstego nieba. Obok leżaka stała prawie pusta butelka. Pochwycił ją w dłonie i opróżnił do końca. Gardło wypełnił ciepły, ostry alkohol. Z kieszeni wyciągnął paczkę pomiętych papierosów, odnalazł na podłodze zapałki, zapalił. Dym lekko go zadławił. W oczach stanęły łzy. Werens zaciągnął się głęboko. Spokój wolno wracał.

## 14 sierpnia 2004, sobota

Blisko czterdziestoletni Jan poznał Elżbietę w stołówce ośrodka wczasowego Ministerstwa Sprawiedliwości usytuowanego nad brzegiem Jeziora Luterskiego. Elżbiecie spodobał się wysportowany mężczyzna z solidną opalenizną i uroczym uśmiechem trenowanym przez cały rok na taką okazję. Nie przeszkadzała jej złota obrączka na prawej dłoni Jana. Nie przejmowała się również jego żoną, która zalegała całymi dniami na leżaku ustawionym na molo z kolorową gazetą dla pań. Janowi Elżbieta spodobała się jeszcze bardziej. Szczupła blondynka w seksownym bikini, czasem przewiązana w talii plażowym ręcznikiem. Codziennie wymieniali uprzejmości w pobliskim sklepiku z drobiazgami. Nie znali swoich nazwisk, co wydawało im się ze wszech miar korzystne. Nie powodowało niepotrzebnych komplikacji. Jan coraz częściej pod pozorem zakupu papierosów, chusteczek higienicznych czy puszki coli wyruszał pod sklepik, by opowiadać kobiecie coraz śmielsze dowcipy erotyczne.

Tego dnia jego żona postanowiła zwiedzić barokowe sanktuarium maryjne w nieodległej Świętej Lipce. Potem miała nocować u starszej siostry w pobliskim Reszlu. Jan wymówił się bólem żołądka. Nie zniósłby podróży autobusem, a swojego auta z oczywistych względów nie mógł prowadzić. Żona wsiadła do autobusu i pomachała mu na pożegnanie słomkowym kapeluszem. Jan bez większego entuzjazmu uniósł rękę nad głowę.

O dwudziestej rozpromieniony, pachnący i elegancki czekał pod bramą ośrodka na Elżbietę. By nie ryzykować dekonspiracji w stosunkowo niewielkim ośrodku, wyruszyli pieszo dwa kilometry na wschód, do niewielkiej wioski z wieczorną dyskoteką. Szli, trzymając się za ręce, niczym para zakochanych nastolatków. Na miejscu zajęli stolik i zamówili zimne

piwo, potem drugie i trzecie. W międzyczasie długo tańczyli w coraz śmielszych objęciach. Około północy Jan zaproponował spacer na pobliską łąkę. Elżbieta zgodziła się bez chwili wahania. Noc była gorąca, trawa pod stopami nabierała wilgoci. Para kochanków skierowała się w stronę czarnego konturu opuszczonej stodoły. Kiedy do niej dotarli, zalegli w trawie obok zrujnowanego budynku.

Gdzieś, hen, za nimi, grała muzyka, do ich uszu dochodziły zniekształcone dźwięki i pokrzykiwania bawiących się ludzi. Jan zdjął jasną koszulę, z której zrobił prowizoryczne legowisko. Mężczyzna i kobieta rozebrali się do naga i oddali z zapalem miłosnym uniesieniom. Alkohol i świadomość występku podniecały ich jeszcze bardziej. Po jakimś czasie mężczyzna poczuł na plecach kroplę deszczu, po chwili kolejną. Niebo rozjaśniła błyskawica. Para kochanków zerwała się z legowiska i ruszyła do wnętrza stodoły. Nie było to szczególnie trudne, bo drzwi wejściowe były lekko rozwarte. Nadzy ludzie z gałganami ubrań w dłoniach w ciemności dotarli do umieszczonej po prawej stronie sterty siana i wrócili do przerwanych uścisków. W pewnej chwili kolejny błysk przeszył czarne niebo. Na sekundę rozświetlił wnętrze stodoły. W tej samej chwili kobieta głośno krzyknęła. Nie była to jednak oznaka rozkoszy, a powodowane strachem wołanie o pomoc.

Gdyby Jan z Elżbietą dotarli do stodoły nieco wcześniej, byliby świadkami następującej sceny. We wnętrzu rudery stało błyszczące, czarne bmw. Obok niego, przywiązany do drewnianej belki, leżał mężczyzna w sędziwym wieku. Mężczyzna był równie nagi jak para pijanych kochanków. On również krzyczał - z nieludzkiego bólu, jaki zadawał mu garbus ze spaloną prawą stroną twarzy. Morderca krążył wokół ofiary z długim, wojskowym nożem, co jakiś czas podchodząc do auta, gdzie stała naftowa lampa. Wypisywał ostrzem na masce kolejne słowo. Tym razem napisał: "Sewerian". Wreszcie zaczął mówić:

- Zwano ich Fulminata, co znaczyło Błyskawica. Było ich czterdziestu. Za czasów Licyniusza pojmał ich Agrykolaus. Pewnej nocy rozebrano ich do naga i zaprowadzono na oblodzony staw. Tam mieli zamarznąć.

Garbus otworzył drzwi do samochodu i powiedział:

- A obok znajdowała się ogrzewana łaźnia dla tych, co się Go wyrzekną.

Podszedł do maski i niszcząc lakier, napisał czubkiem stalowego ostrza: "Sisinus". Nagi mężczyzna w rozpaczy zaczął czytać wszystkie zapisane niezdarnie słowa: Akacius, Aetius, Aleksander, Angias, Atanazy, Chudio, Cyryl, Cyrius, Domicjan, Juwenalis, Ecditius, Eunoikus, Eutyches, Eutychiusz, Filoktimon, Flawiusz, Gorgoniusz, Helianus, Helias, Herakliusz, Hezychius, Julian, Kajus, Kandidus, Klaudiusz, Ksanteas, Leoncjusz, Lyzimach, Meliton, Mikołaj, Priskus, Sacerdon.

Garbus mówił dalej:

- I modlili się tymi słowy: "Oto czterdziestu wstąpiło nas na pole walki, racz nie dopuścić, żeby mniej niż czterdziestu osiągnęło wieniec zwycięstwa". Ich modlitwę słyszał odźwierny. Widział aniołów zstępujących z nieba i niosących męczennikom trzydzieści dziewięć koron, bowiem jeden z nich załamał się i pobiegł do ogrzewanej łaźni, aby tam ratować swoje życie.

Oprawca podniósł leżącego starca i zaprowadził go do wnętrza samochodu. Przypiął pasami, ale wcześniej przywiązał mu ręce do kierownicy. Zanim zamknął drzwi, opuścił nieznacznie boczną szybę. Wrócił do wypisywania imion. Pisał nożem i głośno powtarzał:

- Smaragdus, Teodul, Teofil, Walens, Walerian, Wibian.

Kiedy skończył, ruszył do bagażnika i wydobyl z niego dużą gaśnicę ze skręconym gumowym przewodem zakończonym dyszą. Przewód gaśnicy wsadził do wnętrza samochodu. Była to wysokociśnieniowa gaśnica śniegowa zawierająca skroplony dwutlenek węgla, który uwolniony z butli, w

kontakcie z powietrzem oziębia się do blisko osiemdziesięciu stopni i zamienia w suchy lód.

- A odźwierny otrzymał łaskę wiary, zdjął z siebie ubranie i dołączył do nich.

Garbus uruchomił gaśnicę, jej zawartość wystrzeliła do wnętrza samochodu, zakrywając całkowicie nagiego mężczyznę. Śnieg odciął dostęp tlenu, błyskawicznie wypełnił kabinę luksusowego samochodu, a po chwili wychłodził ciało nieszczęśnika. Po kilku minutach mężczyzna nie żył. Garbus wydobył go z auta i położył na klepisku. W wielkie dłonie wziął kij i biorąc zamach, połamał nogi martwego starca. Jak wcześniej innym ofiarom, wsadził mu do ust okrytego lodową pianą martwego włochatego motyla. Na koniec sięgnął po kanister z benzyną, którą zamierzał polać auto.

Nagle usłyszał wesołe głosy jakiejś pary, która komentując nadchodzącą burzę, wchodziła do środka stodoły. Szybko zgasił lampę. Skrył się za samochodem i czekał na rozwój wypadków. A kiedy kobieta podniosła krzyk, wyskoczył ze swojej kryjówki i pobiegł w pole, zostawiając za sobą przerażonych ludzi.

Po godzinie od tego zajścia pod stodołą zrobiło się znaczne zamieszanie. Ludzie komentowali wizytę dwóch radiowozów groźnie błyskających światłami. Po chwili dołączyła do nich karetka, do której wniesiono zupełnie nagą, omdlałą kobietę, teraz niezdarnie okrywaną kocem. Jej towarzysz - jak się okazało, to on zawiadomił policję - siedział na masce policyjnego wozu, z twarzą skrytą w dłoniach. Jego również okryto kocem. Przerażony mężczyzna w kółko powtarzał, aby o niczym nie informować jego żony. Gdybyż to było możliwe!

## 15 sierpnia 2004, niedziela

Eliza dotrzymała słowa, śniadania nie było. Werens w samotności wypił kubek jogurtu truskawkowego i pożarł twardego pomidora oraz dwie kromki razowego chleba posmarowane lekką margaryną o mdłym smaku. Stryj wymówił się bólem głowy. Wyminął go w drodze do łazienki. W niedzielny poranek emeryt nie wyglądał tak dobrze jak poprzedniego wieczora, gdy stał nad stołem z butelką wina w dłoni. Stary Werens ze zwieszoną głową potruchtał do toalety i ledwo wyjęczał słowa przeprosin. Jego bratanek zrozumiał zawołowany komunikat: podpadliśmy po raz kolejny, mój drogi!

\*\*\*

Opuścił dom i pojechał do Barczewa, niewielkiego miasteczka nad Pisą, w którym znajdowała się posiadłość zabitego lekarza. To była kolejna ofiara, w której znaleziono słynnego już motyla. Werens odnalazł ulicę Wiśniową i zatrzymał się przed domem, w którym doszło do tragedii. Dostępu do budynku broniły dwa wilczury, już nie tak wesołe jak ten ze stadionu-widma. Psy krążyły przy siatce będącej granicą posesji. Jeden z nich stanął w pewnej chwili na tylnych łapach, przednimi opierając się na metalowej furtce. Werens nacisnął przycisk domofonu, licząc na to, że w drzwiach pojawi się ktoś z domowników. A właściwie to żona zmarłego na atak serca mężczyzny. Zdawał sobie sprawę ze swojej bezczelności. Od tragicznych wydarzeń upłynęło zaledwie pięć dni. Ale Werens nie dbał o spokój ludzi, o których pisywał. W pracy był równie agresywny jak wiszące teraz na płocie psy. Tym razem jednak nie zanosilo się na sukces. Firanka w oknie zafalowała nieznacznie, po czym ktoś spuścił wewnątrz białe rolety. Werens ruszył zatem do sąsiedniego domu, by tam zasięgnąć informacji. Wcześniej wyciągnął aparat i obfotografował z kilku punktów dom. Zawsze to coś,



uznał.

Z domu obok po krótkiej chwili wyszedł starszy mężczyzna, jak się wkrótce okazało teść właściciela, aktualnie przebywającego na wakacjach w Grecji. Mężczyzna pilnował domostwa. Kiedy dowiedział się, kim jest Werens, chętnie zgodził się opowiedzieć o wydarzeniach sprzed kilku dni. Jerzy Walczak, bo tak się przedstawił, tamtego dnia siedział akurat na ławeczce przed domem. Ulica była pusta, ludzie wiercili się przed telewizorami, bo akurat szedł mecz. Ale Walczak nie był fanem piłki nożnej. Wolał ławkę. Była szósta, kiedy lekarz, ten, co robił w więzieniu, przyleciał do sąsiada. Z torbą był, znaczy leciał z wizytą. Takie rzeczy się zdarzają, szczególnie jak kto źle się prowadzi. A ten sąsiad, Adamus znaczy, źle się prowadził. Mówią, że zaszyty był. No, esperal mu w dupę wszyli, żeby wódki nie brał do gęby, bo chlał, że ho, ho! Wszyscy to wiedzą. I jak taki, co tyle pije, do pieniędzy doszedł? No, powiedz pan?! I tak koło siódmej krzyk się zrobił. Bili się strasznie. A potem nagle cisza. Znaczy się zatłukli go. Kto? No te motyle, bo to motyle były. Gang ze "Złodziejowa". Trzech było, na motory i hej! Tyle to trwało. Pół minuty.

Werens obserwował Walczaka z coraz mniej zadowoloną miną. W pewnej chwili schował trzymany w dłoni dyktafon. A kiedy nagle człowiek zza płotu przechylił się w jego kierunku, Werens wyczuł od niego silną woń alkoholu. Wszystko, co tu usłyszał, było bzdurą. Nie zgadzała się godzina pojawienia się lekarza. Biernat został wezwany o ósmej. Tak twierdziła żona zmarłego alkoholika Adamusa i potwierdził to spis połączeń telefonicznych znaleziony w aparacie lekarza. Nikt nie krzyczał, a to z tego powodu, że morderca zakleił usta tych ludzi. Być może krzyczał mordowany lekarz, ale i to nie mogło nastąpić o siódmej, bo wtedy jeszcze go nie było w tym domu. A już bajka o gangu motocyklistów rozzłościła go całkowicie. Jedyna informacja, którą uznał za istotną, by nie powiedzieć sensacyjną, to miejsce pracy

lekarza. Zabity miał etat w miejscowym więzieniu, a równocześnie dorabiał sobie, prowadząc prywatną praktykę. Dwa etaty to stosunkowo częsty sposób na dodatkowe pieniądze w tym środowisku. Ale policja o tym nie wspomniała. Coś mu mówiło, że wizyta w więzieniu może być interesująca.

Werens odwrócił się zatem na pięcie i ruszył w kierunku samochodu. Kiedy usłyszał bełkotliwe pytanie fałszywego świadka o datę publikacji reportażu, machnął wściekle ręką, czym rozdrażnił jeszcze bardziej ujadające na płocie psy. Roleta w domu zbrodni nadal była spuszczone. Werens opuścił osiedle i wyjechał na główną ulicę. Tam zapytał o budynek więzienny i po chwili był pod jego ponurymi murami przy ulicy Klasztornej.

\*\*\*

Zakład karny w Barczewie to potężny kompleks budynków będących przez wieki klasztorem braci mniejszych, zwanych franciszkanami, z prowincji saskiej św. Jana Chrzciciela. Zakonnicy, budując klasztor, w części frontowej umieścili duże cele, a na niskim parterze usytuowali jednoosobowe klitki. Przez to już od samego początku klasztor był zwany "Domem Karnym". Mocą Dekretu Rządu z 1812 roku państwo pruskie przejęło klasztor wraz z ziemią i łąkami, dobudowano kolejne budynki i utworzono tam Królewski Zakład Karny, w którym osadzono blisko tysiąc więźniów. Ludzi tych, w tym nieletnich, zatrudniono przy produkcji cygar i rur drenowych. Więzienie nazwano "Zuchthaus", co znaczyło, że zaliczono je do ciężkich. Wykonywano w nim wyroki śmierci, a ciała zakopywano na przywięziennym cmentarzu, który rozrósł się znacznie po roku 1945 za sprawą sowieckiego NKWD i polskiego UB - służby te przywoziły tu zwłoki z pobliskiego Allenstein. Jeńcy wojenni, zdrajcy, Volksdeutsche, Polacy niechętni władzy ludowej - wszyscy oni trafiali za mury tego kompleksu. Werens gdzieś wyczytał, że to w tym więzieniu zmarł nadprezydent Prus Wschodnich Erich Koch. Stosunkowo niedawno, w 1981 roku, osadzono tu

antykomunistycznych opozycjonistów z "Solidarności". Budynek wzbudzał respekt, a wysoki, zabezpieczony u góry drutem kolczastym mur przytłaczał. Werens pomyślał, że gdyby przyszło mu z jakiegoś powodu trafić do tego więzienia, to ten mur odebrałby mu całkowicie nadzieję na powrót do świata, w którym żyje. Ale teraz pragnął znaleźć się wewnątrz budynku i to bardzo.

Werens nacisnął guzik przy metalowych drzwiach wtopionych w mur. Po chwili w kwadratowym okienku wyciętym w drzwiach pokazała się surowa twarz strażnika. Mężczyzna patrzył na Werensa z nieukrywaną niechęcią. Prawdopodobnie kończył służbę i zwyczajnie był już zmęczony.

- Jestem dziennikarzem. Przyjechałem z Warszawy w związku z zabójstwem doktora Biernata. Czy mógłbym porozmawiać z kimś z dyrekcji?  
- zapytał uprzejmie, równocześnie pokazując legitymację służbową.

Strażnik bez słowa zamknął okienko. Werens stał pod drzwiami wzburzony, bo do żywego poruszyła go postawa mundurowego. Zastanawiał się, czy tamten w ogóle powiadomi przełożonych o jego wizycie. Po kilku minutach przy drzwiach pojawiła się zadbana brunetka w jasnym, płóciennym żakiecie. Delikatnie przesunęła Werensa na bok i szczupłą dłonią sięgnęła do dzwonka. Po chwili za kratą pojawił się znudzony strażnik, który widząc atrakcyjną kobietę, nagle odzyskał wigor i z szerokim uśmiechem powiedział:

- Dzień dobry, pani Ewo! Do pracy, dzisiaj?

- Nie, panie Janku. Wczoraj czegoś zapomniałam. Tylko na chwilkę wejść.

- Już otwieram!

W tej samej chwili otworzyły się metalowe drzwi i kobieta o imieniu Ewa przeszła przez nie, zostawiając za sobą przyjemny, rześki zapach perfum. Werens próbował wcisnąć się za nią, ale ciężki but strażnika zatrzymał go na miejscu.

- Pan musi poczekać. Aż zadzwonię. - Jego twarz wróciła do normy, stała się nieprzyzwoicie ponura.

- To jeszcze pan nie dzwonił?! - Werens był, oburzony. Prawie krzyczał.

- A kogo pan chce tu zastać w niedzielę?

- Po tym co się stało? Tu powinni być wszyscy!

- A co się stało?

- Niech pan nie udaje idioty! Dobrze pan wie, co się stało! Zginął wasz pracownik, doktor Biernat!

Drzwi zamknęły się z hukiem, a Werens zrozumiał, że nazywanie pracownika więzienia idiotą nie było najlepszym posunięciem. Był pewien, że strażnik nie zrobi nic w jego sprawie. Mimo wszystko postanowił czekać dalej pod bramą. Z kieszeni wyjął paczkę papierosów, zapalił jednego z kilku pozostałych westów. Odzyskiwał spokój. Zerknął na zegarek, była godzina dziesiąta. Werens zastanawiał się, co dalej. Czy zostawić temat do poniedziałku, kiedy to uśpiona machina więzienna rozkręci się na nowo? A może jednak zaczekać? Może ten wredny, wielki facet przetrzyma go jeszcze kwadrans, a potem drzwi się otworzą i pojawi się ktoś, kto udzieli mu informacji o zamordowanym lekarzu? Dziennikarz sięgnął po nowego papierosa.

Robi się coraz ciekawiej, pomyślał. Najpierw policjant, potem prokurator, a teraz więzienny lekarz. Wszyscy w jakiś sposób powiązani ze służbami mundurowymi. Do czego mnie to doprowadzi? Potem zapalił jeszcze jednego. W pewnej chwili otworzyły się drzwi i pojawiła się w nich atrakcyjna brunetka o imieniu Ewa. Kobieta trzymała na piersiach jakieś papierowe teczki. Pożegnała się ze strażnikiem i ruszyła w kierunku ulicy. Werens cisnął niedopałek pod nogi i podbiegł do niej.

- Dzień dobry! Nazywam się Paweł Werens. Jestem dziennikarzem z Warszawy...

- I chce pan napisać o doktorze Biernacie?

- Dokładnie.

- A jaka jest moja rola? Pan mnie przecież nie zna.

- To, co widziałem, mi w zupełności wystarczy. Na razie.

- A co pan takiego zobaczył, że szuka odpowiedzi na pytania u mnie?

- Co pani chce przez to powiedzieć?

- Że nawet pan nie wie, w jakim charakterze przebywam za tymi murami.

Być może byłam tam pierwszy raz...

- Niech pani nie żartuje! Ten paskudny strażnik nawet nie chciał od pani przepustki.

- Pan Jan to miły człowiek. Czy pan zawsze tak ocenia ludzi? Jeżeli tak, to nie chcę nawet wiedzieć, co pan wypisuje w swoich tekstach. To ten rodzaj dziennikarstwa, który polega na agresji i pisaniu pod tezę?

- Przepraszam panią. Źle zacząłem...

- Pan dopiero zaczyna? A ja uważam, że już skończyliśmy! - Brunetka, lekko odsuwając Werensa, ruszyła w górę ulicy.

Werens nie zamierzał się poddawać. Pobiegł do samochodu i skierował go w tym samym kierunku, w którym poszła kobieta. Wolno jechał za nią aż do przystanku. Tam zatrzymał auto. Najwyraźniej czekała na autobus. Werens wychylił się przez okno.

- Czy mogę panią podwieźć?

- Nie jedziemy w tym samym kierunku.

- A skąd pani wie, gdzie jadę?

- Na pewno nie tam gdzie ja.

- Jeszcze raz przepraszam! Niech pani nie myśli, że wszyscy z Warszawy są źli i niegrzeczni.

- Nie musi mi pan o tym mówić. Urodziłam się na Służewcu.

- Naprawdę? To co pani tutaj robi?

- A pan?

- Pracuję.

- Ja też. Miejsce jak każde inne. A może i lepsze. Takiego skupienia agresji nie znalazłabym nigdzie indziej.

- O czym pani mówi? Czy pani też jest dziennikarką?

- Niech pan nie żartuje. Za bardzo cenię prawdomówność i etykę.

- Ja też!

- Pan jest zabawny i uparty.

- I niegroźny. Proszę pozwolić się podwieźć. Da mi pani szansę na zatarcie złego wrażenia?

- Nawet potrafi być pan miły. Wybaczam. Ale innym razem. - Uśmiechnęła się do Werensa szeroko, po czym wstała z ławki i zgrabnie podbiegła do białego peugeota, który właśnie zatrzymał się tuż przed samochodem Werensa. Za jego kierownicą siedział jakiś mężczyzna, który otworzył drzwi do auta, a kiedy brunetka zajęła miejsce obok niego, pocałował ją w policzek. W następnej chwili odjechali.

Został sam. Siedział dłuższą chwilę prawie bez ruchu. Nie wiedział dlaczego, lecz ogarnęło go irracjonalne uczucie zazdrości o tę nieznaną, piękną kobietę, której zupełnie nie znał. Takie bzdury mogą się zdarzyć tylko tutaj, w tej dziczy, pomyślał i przekręcił kluczyk w stacyjce.

\*\*\*

Mówiąc, że nikt nie wpadł na pomysł sprawdzenia gatunku motyla umieszczonego w ustach zamordowanych mężczyzn, Werens był w błędzie. Zrozumiał to w olsztyńskim mieszkaniu przy Kopernika, do którego pojechał wprost z Barczewa. Posiadał tylko adres naukowca zajmującego się owadami, jego nowa przyjaciółka nie podała mu numeru telefonu. Werens zastanawiał się przez chwilę, czy ten cały lepidopterolog w ogóle posiada telefon. Zaparkował samochód na parkingu poczty i poszedł pod wskazany

adres. Zadzwoił do drzwi numer cztery, a po chwili ujrzał postać niewysokiego jegomościa po sześćdziesiątce, z gęstą, siwą brodą, dzięki której wydawał się nie taki chudy, jak był w istocie. Gospodarz, widząc go, uśmiechnął się delikatnie i wpuścił do wnętrza mieszkania.

Werens słyszał za sobą przekręcany zamek i szuranie kapci. Głos za plecami polecił mu skierować się na wprost, przez szeroki korytarz pełen jakichś drewnianych szafek pokrytych gazetami, do salonu.

Wszedł do pokoju równie zagraconego jak korytarz. Prawdopodobnie w podobny sposób wyglądały także inne pomieszczenia w tym dużym, widnym mieszkaniu. Gospodarz polecił mu usiąść. Był z tym problem, bo zarówno krzesła, jak i kanapa pokryte były tonami papierzysk. Brodacz jakby to dostrzegł, bo zepchnął z pierwszego z brzegu krzesła gazety i posadził na nim gościa. Werens był zaskoczony całą tą sytuacją. Przy wejściu nie powiedział ani słowa. Człowiek, który go wpuścił, nie wiedział, kim jest. Pomimo to zachował się tak, jakby go znał, jakby na niego czekał. Wszystko wyjaśniło się w chwili, gdy powiedział dziwnie jak na swą posturę mocnym, niskim głosem:

- Hanna dzwoniła do mnie wczoraj. Uprzedziła o pańskiej wizycie. Miło mi pana poznać. Nazywam się Glesk. Wiktor Glesk. Dziadek Hanny.

Zaskoczony Werens poderwał się z krzesła, uklonił z przesadną uprzejmością i wyciągnął dłoń na powitanie.

- Werens. Paweł Werens. Cieszę się bardzo, że znalazł pan dla mnie czas. Jest przecież niedziela... “ Świąto...

- O, zrobiłem to dla Hanny.

- Nie omieszkam jej podziękować.

- W to akurat nie wątpię. - Uśmiechnął się filuternie, pokazując sztuczne zęby. - Podoba się panu moja wnuczka, co? Jak to się mówi? Jest warta grzechu...

Po raz kolejny Werensowi odebrało mowę. Był kompletnie zaskoczony słowami rubasznego starca. Nie wiedząc, co powiedzieć, rzucił krótko:

- To ładna kobieta.

- Co?! - wrzasnął stary - Ładna?! Ładna to jest pawica gruszówka! Moja Hania jest piękna!

- Tak, ma pan rację... Jest piękna.

Werens liczył na zmianę tematu. W pewnym sensie się to udało, bo stary wariat zaczął mówić o tej całej pawicy, która, jak się okazało, jest największym motylem w Europie, ma siedmiocentymetrowe skrzydła, na których znajdują się niby-oczy. Naukowiec opowiedział o wyglądzie motyla, wspomniał o okresie występowania, rozmieszczeniu i odżywianiu. To był dobry moment, aby przejść do właściwego tematu. Werens spojrzał głęboko w oczy naukowca i zapytał:

- A biały motyl? No, taki motyl bielik? Co to za gatunek? Gdzie występuje?

- Jaki bielik? - Stary Glesk potrząsnął oburzony brodą. - Nie ma takiego motyla! Jest bielinek. Bielinek kapustnik! *Pieris brassicae*. O, to pospolity gatunek. Żyje w ogrodach, na polach, w sadach, a nawet w lasach.

- No to ten bielinek... - Werens był lekko zawiedziony - to nic szczególnego?

- Jak to nic szczególnego! - wrzasnął Glesk. - Każdy motyl to cud natury! Na ten przykład taka chociażby szcotechnica szarawka... *Calliteia pudibunda*...

- Tak, tak... Motyle są cudowne - przerwał mu w pół zdania dziennikarz. - Widzę, że nie bardzo może mi pan pomóc. Pożegnaj się zatem i przepraszam za zajęcie czasu w niedzielne południe.

- A kto powiedział, że pan marnuje mój czas?! Ja panu powiem nawet więcej, to dobrze, że się spotkaliśmy. Pan chce zapytać o pewnego



włochatego motyla, a ja panu chętnie o nim opowiem. Opowiadałem o nim już zresztą policji...

Werens zeszywniał.

- Policji?!

- A tak. Policji. Byli tu nie dalej jak wczoraj. Przynieśli mi zdjęcia tego motyla, o którego zapewne i pan chce zapytać. Ale w przeciwieństwie do policji pan zdjęcia nie przyniósł. I pyta mnie o pospolitego kapustnika, myśląc, że skoro jest biały, to to wystarczy. A on nawet nie jest całkowicie biały, bo na ten przykład samica ma na skrzydłach pierwszej pary dwie ciemne plamy.

- Panie profesorze. Niech mnie pan już nie dręczy. Co to za motyl?

- To jest z całą pewnością Bombyx mori.

- Czyli?

- Czyli jedwabnik morwowy. Motyl z rodziny prządkowatych. To był ładny okaz nawet. Duży, białawy, ze skrzydełkami pokrytymi delikatnymi żyłkami. Pięknie owłosiony. To ciekawy motyl. Jego kokony są zbudowane z sięgających trzech kilometrów, bardzo wytrzymałych nici. Samice jedwabnika wydzielają bombikol, to taki feromon płciowy. Potrafią przyciągnąć samca z odległości dziesięciu kilometrów! Tak... A pan przyjechał z...?

- Warszawy. - Werens uśmiechnął się, bo aluzja starca była aż nazbyt czytelna.

- Ze stolicy! O, to pan z wielkiego świata.

- Panie profesorze, niech pan już ze mnie nie drwi, dobrze? Liczę na pomoc w tej sprawie. I tylko pan może mi jej udzielić. Proszę zatem mi powiedzieć, skąd on się tu wziął?

- Z Himalajów.

- Skąd?! - Werens podniósł głos.

- No i oczywiście z Półwyspu Indyjskiego i Chin.

- I myśli pan, że ktoś przywiózł tego motyla do nas z Azji?

- Pan chyba żartuje! - Profesor pogrzebał palcami w grzywie. - Przecież ten motyl już nie występuje w naturze.

- Jak to? Zaginął?

- A gdzie tam. Został zwyczajnie udomowiony.

Profesor podszedł do jednego z niezliczonych szklanych pudeł i wskazał palcem na jasnego owada.

- O, tak wygląda nasz bohater. Kiedyś za jajeczka jedwabników zapłacono by panu fortunę. Albo by pana zamordowano, wcześniej poddając torturom. To był najściślej pilnowany sekret. Chińczycy przez dwa tysiące lat strzegli tajemnicy produkcji jedwabiu. Podobno któraś z cesarzowych przypadkowo wrzuciła kokon do wrzątku, a potem okazało się, że wychodzi z niego delikatna nić. I tak się to zaczęło. Powstał Jedwabny Szlak, blisko pięć tysięcy kilometrów drogi. Kupcy wozili jedwab na Zachód. Tajemnica produkcji ciągle była nieznana. Wreszcie w połowie dwunastego wieku król Sycylii porwał z Koryntu i Teb rzemieślników. A potem już poszło. Francja, Hiszpania, Włochy. Zagoniono naszego jedwabnika do roboty. Wsuwał liście morwy, czasem też dębu. Technicznie wygląda to tak. Motyl składa jaja. Przechowuje się je w niskiej temperaturze w oczekiwaniu na pierwsze liście morwy, czyli do wiosny. Gąsienice wsuwają te liście. Niech pan sobie wyobrazi, że przez cztery tygodnie masa ich ciała zwiększa się dziesięć tysięcy razy! Po kolejnym linieniu, dokładnie czwartym, jedwabniki zaczynają owijać się w kokon.

- To te trzy kilometry...

- Właśnie. A potem rozdziela się te jedwabniki na produkujące jedwab i...

- Na motyle?

- Właśnie.

- Czyli, że te motyle występują nie tylko w Azji.

- Właściwie są w całej Europie. Chociaż jedwabniki najbardziej lubią chińską białą morwę.

- Mogą żyć w Polsce?

- Jak najbardziej.

- A na tych terenach?

- Oczywiście! Muszą mieć tylko do tego odpowiednie warunki.

- Dziękuję bardzo, panie profesorze! Jestem pod wrażeniem pana wiedzy i zbiorów. Są ogromne! Nie będę zajmował pańskiego cennego czasu. - Werens ruszył do drzwi.

- O, z tymi zbiorami to bym nie przesadzał. W Drogoszach, w tamtejszym pałacu, to dopiero była kolekcja egzotycznych motyli! Tysiące! Ród Donhoffów przez wieki gromadził swe skarby. Podobno jeszcze po wojnie w specjalnym pokoju umieszczono cenny zbiór.

- Co się z nim stało?

- Któż to wie?

Werens był zadowolony. Uzyskał informację, która go w pełni zadowalała. Wiedział, że ma coś, czego nie mają inni. Miał motyla, który przeraża ludzi. Miał włochatego jedwabnika, którym morderca "karmił" swoje ofiary. Wiedział, że to zrobi wrażenie na ludziach w redakcji. Miał też już tytuł swojego reportażu.

- A wie pan, że już kiedyś pytano mnie o tego motyla? - powiedział profesor.

Werens puścił zimną kłankę. Odwrócił się w kierunku starego. Po jego kolejnych słowach powrócił do pokoju i grzecznie usiadł na krześle. Słuchał.

- To był rok... bo ja wiem? Siedemdziesiąty szósty? Nie, siedemdziesiąty siódmy. No tak! Boże Narodzenie. Hania miała pięć miesięcy, była przeziębiona. Mieszkaliśmy tu wszyscy. Ja z jej rodzicami. O, tam, przy

oknie, stało jej łóżeczko. W południe przyszło do mnie dwóch milicjantów po cywilnemu. Pokazali mi, tak jak ci teraz, zdjęcie motyla. O szczegóły nie pytałem. Ale oni sami mi powiedzieli, że znaleźli go w ustach jakiegoś człowieka. O, to musiał być ktoś ważny. Według mnie to był jeden z nich. Jakiś mundurowy.

- Skąd ta myśl? - Werens drżał. Nie mógł usiedzieć na krześle, wstał i zaczął krążyć po pokoju, co było bardzo nieeleganckie. Ale on nie dbał o to. Czekał na odpowiedź profesora.

- Zakazali mi mówić komukolwiek o tej sprawie. Ale już chyba teraz można? - Stary uśmiechnął się porcelanowymi zębami. - Minęło ćwierć wieku. Nie ma już milicji, jest policja.

- Tylko motyle te same.

- A te same. Identyczne!

- Jest pan tego pewien?

- Proszę mnie nie obrażać w moim własnym domu! Ja potrafię rozpoznać *Bombyx mori*\

- Nie to chciałem powiedzieć. Przepraszam! Panie profesorze, bardzo mi pan pomógł. Nie wiem, jak mam dziękować! \*

Stary usiadł na krześle. Patrzył w okno zalane słońcem. Nad czymś głęboko rozmyślał. Werens dostrzegł w jego oczach wilgoć.

- Tak, to były ciężkie czasy. Grażyna, moja żona, odeszła rok wcześniej. Teraz może lekarze by ją uratowali, daliby nowe serce, a wtedy... To był zły czas. Ponury czas. Żona pracowała w sądzie przy Dąbrowszczaków. Kiedy spłonął w siedemdziesiątym szóstym, zaczęła się nagonka na ludzi. O, wiele spraw przestało istnieć. Jak to się mówi, rozpląnęły się. Zalała je woda ze strażackich sikawek. Albo zwyczajnie spłonęły akta. Ludzie plotkowali, że celowe podpalenie, zamach... A ona, głupia, przejęła się tym. Po co, pytam? W imię czego? Powiadam panu, że jedynie to jest ważne, co dotyczy pana

bliskich. Cała reszta nie ma znaczenia. Władza się zmienia, poglądy, moda, ludzie, kraje całe się zmieniają. A rodzina zostaje na zawsze. Mnie została Haneczka. Tylko ona jedna, sierota... Jej rodzice wybrali życie za oceanem. To żadna tajemnica. Wybrali, jak to się mówi, wolny świat. Pewno sama to panu powiedziała. Jeżeli nie, to już pan wie. Zły to był czas. Czas złych wyborów.

- Nie znamy się aż tak dobrze... - Werens poczuł się nieswojo. Słowa o rodzinie profesora nieprzyjemnie podrażniły jego pamięć.

Dziennikarz ponownie ruszył do drzwi. Teraz nie zamierzał już powracać. Za to informacje, które uzyskał, dodały mu energii. Zbiegał po schodach kamienicy, biorąc po trzy stopnie naraz. Wsiadł do golfa i ruszył w kierunku Komendy Wojewódzkiej Policji. W południe miała się odbyć konferencja prasowa związana z serią morderstw. Miał zatem jeszcze pół godziny.

Na ulicy Partyzantów znalazł się po pięciu minutach. Miał sporo czasu, więc wyciągnął notes i zaczął sporządzać notatki. Zawsze tak robił. Wpierw luźne zapiski na papierze, a dopiero potem właściwy tekst do komputera. Zwykle przy przepisywaniu dodawał jakieś kolejne, istotne szczegóły. System działał od lat. Werens nie zamierzał go zmieniać. Na parkingu przy Partyzantów pod numerem sześć zebrała się w międzyczasie spora grupa ludzi. W przeważającej większości byli to dziennikarze, którzy przybyli na zapowiadaną konferencję prasową. Ludzie nie kryli swojego niezadowolenia. Wynikało ono z tego, że nie zaproszono ich do wnętrza i musieli stać na placu zalany palącymi promieniami słońca. Plac był po bokach osłonięty budynkami, przez co nie docierał nań najmniejszy powiew wiatru. Pomstujących dziennikarzy obserwowali przechodnie, głównie wierni idący do katedry na południowe nabożeństwo. Tego dnia szczególnie podniosłe, bo piętnasty sierpnia był świętem Wniebowzięcia Marii Panny, ustawowo wolnym od pracy. Tego roku jednakże pechowo wypadającym w niedzielę.

Być może wśród przechodniów byli też tacy, którzy szli na ulicę Saperską, gdzie zaplanowano uroczystości z okazji święta Wojska Polskiego. Tak więc zwyczajowo pusta każdej niedzieli ulica Partyzantów tym razem była wyjątkowo zatłoczona.

Wejście do Komendy Wojewódzkiej Policji zdobiło wygięte w łuk szklano-aluminiowe zadaszenie, podtrzymywane sześcioma betonowymi kolumnami. Na schodach stał młody mężczyzna w mundurze, jak się zaraz okazało - rzecznik prasowy komendanta w stopniu podkomisarza, o czym świadczyły dwie gwiazdki zdobiące jego czapkę oficerską. Policjant przeprosił zebranych dziennikarzy za niedogodności, tłumacząc je malowaniem komendy. Mężczyzna był opanowany, uprzejmy i wyjątkowo przystojny, czym zjednał sobie część zebranych, głównie płęć piękną. Zgrabnie przeszedł do właściwego tematu spotkania, jakby chciał jak najszybciej je zakończyć. Najwidoczniej on też miał dosyć upału, zwłaszcza że miał na sobie ciężki mundur zamiast letniej koszuli.

- Dzień dobry - zaczął uprzejmie. - Reprezentuję zespół prasowy przy Komendzie Wojewódzkiej. Nazywam się Wiśniewski. Odpowiem na państwa pytania w sposób możliwie pełny, o ile pozwoli mi na to posiadana wiedza i dobro śledztwa. Nie muszę robić zbędnego wprowadzenia w temat. Seria morderstw dokonanych na naszym terenie wzrosła do czterech. We wtorek, około godziny ósmej wieczorem nieznanymi sprawcami zakradł się do jednego z domów w miejscowości Barczewo. Z zeznań żony właściciela domu wynika, że podstępem sprowadził w to miejsce ofiarę. Tam też doszło do zabójstwa. Zamordowany to miejscowy lekarz Tomasz Biernat. Niestety, właściciel domu, w którym doszło do tej tragedii, zmarł. Przyczyną był atak serca. To nie wszystko. Dzisiejszej nocy odnaleziono kolejne ciało.

Przez tłum przeszedł szmer podniecenia.

- O godzinie zero trzydzieści - ciągnął rzecznik - oficer dyżurny Komendy

Wojewódzkiej w Olsztynie otrzymał informację o zwłokach. Na miejsce przyjechali policjanci i prokurator. Do zabójstwa doszło we wsi Lutry, nad pobliskim jeziorem. Zdarzenie miało miejsce w nocy z soboty na niedzielę. Ofiara to mężczyzna. Był nagi, miał połamane kończyny dolne. W jego ustach, tak jak i wcześniej, znaleziono motyla. Zwłoki odkryto w opuszczonej stodole. Dochodzenie w tej sprawie prowadzi olsztyńska prokuratura. Została już przeprowadzona sekcja zwłok.

Z tłumu padło pierwsze pytanie, które zadał dziennikarz komercyjnej stacji o ogólnokrajowym zasięgu:

- Chciałbym najpierw zapytać o wtorkowe zabójstwo. Kto odkrył zwłoki lekarza z Barczewa?

- Znalazła je sąsiadka zaniepokojona wyciem psa. Napastnik zamordował lekarza, wcześniej wdarł się na teren posesji państwa Adamusów, związał gospodarza domu i jego żonę. Jak już państwo wiecie, mąż tej kobiety zmarł przed przybyciem pogotowia ratunkowego.

- A co było bezpośrednią przyczyną śmierci tego lekarza?

Policjant zrobił niewyraźną minę, jakby sam nie wierzył w to, co za chwilę powie.

- Tomasz Biernat został porażony prądem, można też powiedzieć, że go spalono.

- Czy te ofiary są ze sobą w jakiś sposób powiązane? Prowadziły wspólne interesy? Są ze sobą skoligacone? Czy się znały?

- Nic na to nie wskazuje, ale badamy sprawę również i pod tym kątem.

- A ten drugi mężczyzna, ze stodoły? Co było przyczyną jego śmierci?

- Ten odnaleziony dzisiejszej nocy zamarzał.

- Jak to zamarzał? W sierpniu! - Dziennikarze zaczęli się przekrzykiwać, powstało spore zamieszanie.

Policjant prowadzący konferencję próbował zaprowadzić spokój.

- Dla dobra śledztwa nie mogę zdradzać szczegółów. Powiem tylko, że znaleziono go przy aucie z pokaleczonymi dłońmi. To znaczy, że wcześniej był skrępowany.

Takie wyjaśnienie nie usatysfakcjonowało jednak ludzi. Ktoś wykrzyknął:

- Panie podkomisarzu, co ukrywacie? Wszyscy już wiemy, że znaleziono tego człowieka przy czarnym bmw.

Chyba nie wszyscy, pomyślał Werens. Był wściekły. Ta sprawa staje się jakimś jednym wielkim koszmarem! Do czego doprowadzi? Cztery trupy w kilka miesięcy. A z tym alkoholikiem Adamusem to nawet pięć. Co przyniosą kolejne dni?

Padło kolejne pytanie:

- Czy to nie jest dziwne, że taki sam samochód zaginął zamordowanemu prokuratorowi z Elbląga? Moje pytanie brzmi: czy to ten sam samochód?

Dziennikarze w napięciu czekali na odpowiedź.

- Tak - powiedział wreszcie po chwili wahania policjant. - Wiele na to wskazuje.

Jakaś kobieta zapytała:

- Od kiedy to ludzie zamarzają w luksusowych samochodach?

Stojący obok rzecznika mężczyzna w średnim wieku ze znaczną opalenizną szepnął mu coś do ucha. Oficer zmieszał się wyraźnie i zamilkł. Wtedy ta sama dziennikarka zapytała:

- Czy może nam pan powiedzieć, kim jest ten pan, który stoi obok?

Po raz kolejny nastąpiła długa, nieprzyjemna cisza.

- Nazywam się Klaman. Jestem zastępcą komendanta. Nadzoruję służby kryminalne. - Oficer głos miał wysoki, prawie piskliwy. - Na to pytanie mogę udzielić państwu odpowiedzi. Mężczyzna został zamrożony środkiem z gaśnicy śniegowej. Był nagi... Sprawa jest rozwojowa, nic więcej nie możemy powiedzieć... Również o zabójstwie lekarza.



- To co mamy napisać naszym czytelnikom? Że w Polsce tego lata były mrozy, które nie dość, że zabiły człowieka, to jeszcze oszroniły samochód w ten sposób, że powstały napisy? Proszę nas traktować poważnie! Co to były za napisy na tym bmw? Jak powstały? Kto je zrobił?

Piskliwy policjant zrobił się purpurowy na twarzy. I nie miało to nic wspólnego z temperaturą otoczenia.

- Powtarzam, sprawa jest rozwojowa... Nie można robić paniki. Jest lato. Nad jeziorami są turyści... To stwarza niepotrzebne zamieszanie. Proszę pamiętać, że mieszkańcy tych terenów zarabiają głównie latem. Co im powiemy, kiedy turyści w panice rzucą się do ucieczki?

- A po dniu zwłoki tak się nie stanie? Czy policja przypadkiem nie chciała zataić tej informacji, ale nie udało się zachować jej w tajemnicy i stąd ta konferencja, na której nic nie chcecie powiedzieć?

Oficer nie odpowiedział.

- A kim był ten drugi zamordowany? Ten ze stodoły.

- Wiek około siedemdziesięciu lat. Nie znaleziono przy nim dokumentów. Trwa ustalanie tożsamości.

- Może to jakiś kolejny prokurator?

- Powtarzam, sprawa jest rozwojowa... - niczym mantrę powtarzał policjant.

- Nie po to jechaliśmy tu do państwa, aby wysłuchać historii, o której mówi już pół Polski. Co za bałagan! Tego lekarza zamordowano we wtorek, a wy organizujecie konferencję dopiero w niedzielę. Dlaczego tak późno?

Werens przebił się przez spocony tłum. Wiedział, że niczego więcej się tu nie dowie. Policja pilnie strzegła swoich sekretów. Wsiadł do nagrzanego golfu, uruchomił klimatyzację i wolno odjechał sprzed komendy. W lusterku widział gęsty, lepki tłum uparcie wypytujący niewzruszonych policjantów z zespołu prasowego. Naiwniacy, pomyślał o koleżankach i kolegach po fachu.

A kiedy ruszył, przez ulicę przetoczył się huk salwy z wojskowych koszar. Stado biało-szarych gołębi siedzących na dachach kamienic wzbiło się do lotu. Żołnierze zaczęli swoje święto. Wiedział, że powinien pojechać na miejsce zbrodni i popytać miejscowych o tamtą noc, Ktoś musiał widzieć elegancki samochód przejeżdżający przez niewielką wieś. Inna sprawa, że latem takich aut jest tam sporo. Mieszczuchy spędzające wakacje w swoich letnich posiadłościach, zagraniczni turyści w drodze do Krainy Wielkich Jezior Mazurskich. Mimo wszystko Werens liczył na jakieś ciekawe informacje.

\*\*\*

Był kwadrans po czternastej, kiedy ze schowka w aucie wydobył mapę podarowaną przez stryja. Rozłożył ją na masce i przez chwilę błędził wzrokiem po oznaczonych żółtym kolorem nazwach miejscowości, aż wreszcie znalazł to, czego szukał. Miejscowość Lutry leżała nad jeziorem o tej samej nazwie. Najłatwiej można tam było dojechać trasą numer 16, która biegła w kierunku Wielkich Jezior Mazurskich. Wiła się między lasami i za rezerwatem Zabrodzie łączyła z drogą numer 57, w którą należało skręcić, minąć miasteczko o nazwie Biskupiec i jadąc na północ, dojechać do miejsca kolejnej zbrodni. Wcześniej jednak musiał zająć się inną sprawą. Na szesnastą był umówiony z Hanną.

Okazało się to o wiele trudniejsze, niż myślał. Podarowana przez stryja mapa ukazywała tereny wokół miasta i w tej sytuacji była zupełnie nieprzydatna. Werens ulicą Partyzantów dojechał do wiaduktu. Pokonał popadający w coraz większą ruinę betonowo-metalowy most. Znalazł się na ulicy Wojska Polskiego. Podjechał do stacji benzynowej i tankując paliwem auto, rozglądał się za kimś, kto mógłby mu wskazać poszukiwaną ulicę. Niestety, plac przed stacją był zupełnie pusty. Święteczna, upalna niedziela skutecznie przegnała ludzi z ulic. Werens wszedł do kiosku, uregulował

należność i zapytał młodego sprzedawcę o ulicę Kruczą. Chłopak przez chwilę patrzył na niego tępym wzrokiem, by nagle uśmiechnąć się szeroko i podać mu mapę miasta, za którą zażądał dziesięciu złotych. Dziennikarz podał mu banknot, zabrał mapę i wrócił do samochodu. Skierował auto na ulicę Gietkowską, która łączyła się z Artyleryjską. Po chwili jechał na zachód ulicą Bałtycką, po prawej mijał kolejno Kanarkową, Bocianią, Jastrzębią. W pewnym momencie odbił w lewo, pokonał Szpakową, Gołębią i Pawią, by wreszcie dotrzeć do Kruczej. Cały ogród ornitologiczny, pomyślał. No ale gdzie indziej mogłaby mieszkać wnuczka stukniętego badacza motyli, jak nie wśród ptaków?

I uśmiechnął się szeroko, bo przypomniał sobie, że gdzieś widział tablicę; z ulicą Łąkową.

Hanna mieszkała w pięknym, piętrowym domu, do którego prowadziła kuta z żelaza bramka w kształcie rozpostartych ptasich skrzydeł. Nacisnął dzwonek domofonu i czekał na dziewczynę w towarzystwie małego kundelka, który oszcze kiwał go z pasją, a w pewnej chwili podjął nieudaną próbę ugryzienia intruza. Hałas wyciągnął dziewczynę z domu. Stała w progu z dłonią osłaniającą oczy przed promieniami palącego słońca. Ubrana była w krótką czerwoną spódniczkę i obcisłą czarną bluzkę, podkreślającą doskonałe, proporcjonalne, opalone ciało.

- Spóźniłeś się - rzuciła z naganą w głosie i ostentacyjnie obróciła głowę w kierunku długiego korytarza, z którego wyszła na ganek.

- Tylko kwadrans! - wykrzyknął i palcem wskazującym prawej dłoni zakreślił w powietrzu okrąg. - Ciężko tu trafić. Wszędzie kosy, jaskółki...

To ją najwyraźniej rozbawiło, bo ponownie spojrzała na niego i już z mniej obrażoną miną powiedziała:

- Jak nie ptaki, to motyle, prawda? Trafiłeś do dziadka?

- Tak. Bardzo ci dziękuję za pomoc. Dziadek...

- Co jest z dziadkiem nie tak? Czyżby ci się nie podobał?! - W teatralnym geście wzięła się pod boki i równocześnie zaczęła tupać w terakotę czerwonymi szpileczkami.

- O, dziadek jest wspaniały! Te jego zbiory! Przeogromne. I pomógł mi bardzo. Nawet nie wiesz, jak bardzo!

- W takim razie musisz się mocno postarać z tym obiadem.

- I ja też tak myślę. Wsiadaj!

- Zaczekaj, muszę zamienić tylko dwa słowa z Andrzejem.

- Andrzejem? - powtórzył zaskoczony.

- Tak. Z moim mężem. A właściwie to prawie byłym mężem.

- Prawie mężem? - Musiał wyglądać zabawnie z bladą twarzą i szeroko otwartymi oczami.

- Jesteśmy od roku w separacji. Poprosiłam Andrzeja, aby zajął się naszym dzieckiem. Mamy trzyletnią córeczkę.

Werens był tak zaskoczony, że stracił głos.

- Czy coś jest nie tak? - zapytała, patrząc na niego z uwagą.

- Nie - przemówił wreszcie. - Wszystko jest OK. Trochę mnie tylko zaskoczyłaś. Nie wiedziałem, że masz męża i dziecko. - Werens poczuł, jak zapala mu się w głowie czerwona lampka. Tego nie było w planach. Owszem, letni flirt, przyjemny seks, ale mąż i dziecko to już za wiele. Postanowił zakończyć tę znajomość możliwie szybko. Najpewniej wraz z powrotem do Warszawy. Ale jeszcze nie dzisiaj.

- Rozwiedzimy się. Czy to dla ciebie jakiś problem? - Hanna wyrwała go z zamyślenia. - Ludzie się schodzą i rozchodzą. Czasami owocem takich związków są dzieci. Czy to źle, że jesteśmy w dobrych relacjach? Andrzej zajmie się Agatką do naszego powrotu, no chyba że obiad jest już nieaktualny...

- Oczywiście, że jest! To dobrze, że wspólnie zajmujecie się

wychowaniem córki. - Uśmiechnął się nienaturalnie.

Hanna ruszyła do domu. Wróciła po pięciu minutach.

- Możemy jechać - krzyknęła, zbiegając po kamiennych schodach.

- Zabieram cię za miasto. Zrobimy sobie małą wycieczkę. - Otworzył drzwi po prawej stronie i zaprosił dziewczynę do samochodu. - Ale pies niech lepiej zostanie - dodał, zamykając drzwi golfa, którego wnętrze wraz z pojawieniem się Hanny wypełnił zapach lawendy. - Właśnie, a propos psa. Jak się ma mój rehabilitant?

- Pytasz o psa, którego mi przywiozłeś?

- Tak. O tego, którego potrąciłem. - W jego głosie słychać było poczucie winy.

- Już jest całkiem dobrze, jeszcze kilka dni...

- I do schroniska?

- Niestety.

Ruszyli. Werens zgrabnie lawirował między krótkimi uliczkami willowej dzielnicy i po chwili skierował auto w kierunku śródmieścia, które przejechali bez jednego postoju. Wkrótce wyskoczyli na krajową szesnastkę.

- To powiesz mi wreszcie, do czego potrzebna jest ci ta wiedza o motylach? - zapytała Hanna, kiedy mijali pędzącą w kierunku Wielkich Jezior kolumnę aut z lawetami, na których zamocowane były całkiem sporych rozmiarów łodzie.

Werens dłuższą chwilę zastanawiał się nad odpowiedzią.

- Piszę tekst o serii morderstw. W sobotę zabito kolejnego człowieka. Pewno słyszałaś. Facet wkłada swoim ofiarom w usta motyla. Twój dziadek pomógł mi w ustaleniu gatunku tego owada. Zdradził mi też coś jeszcze, ale o tym nie mogę w tej chwili powiedzieć nic konkretnego.

Dziewczyna milczała. Słowa Werensa najwyraźniej ją poruszyły. Patrzyła za okno, na przesuwane się żółte pola rzepaku, migotliwe rozlewiska,

zalesione wzgórza, zielone łąki, na których leniwie pasło się bydło. Wreszcie skierowała wzrok na Werensa i powiedziała:

- Wszyscy o tym mówią. W mieście panuje psychoza. Wczoraj podawali w lokalnej telewizji, że grupa wyrostków napadła jakiegoś człowieka. Podobno nieszczęśnik zachowywał się dziwnie. Tamci uznali, że to seryjny morderca. Dotkliwie go pobili. A jego jedyną winą było to, że obserwował z ławki ludzi w parku. Po prostu tak spędzał czas. Okropna historia! Jakby nie było innych rzeczy. Obiecuj mi, że nie powiesz na ten temat ani słowa. Przynajmniej dzisiaj.

Werens pokiwał głową na znak aprobaty. Uczynił to z pełną świadomością tego, że nie będzie w stanie dotrzymać umowy. Tym bardziej że właśnie skręcili w lewo i wjechali na drogę numer 57, prowadzącą na północ, do granicy z Rosją. Droga biegła przez środek turystycznej wsi Lutry. Kierowca i jego pasażerka kierowali się zatem na miejsce ostatniej z serii makabrycznych zbrodni.

Zatrzymali się przed niewielką knajpką. Werens znalazł wolny stolik na zewnątrz, a potem pod pozorem sprawdzenia jadłospisu ruszył do środka budynku. Bez zbędnych wstępów zapytał młodego barmana o miejsce zbrodni. Okazało się, że to zupełnie niedaleko. Zapamiętał drogę, podziękował za informację, płacąc za soki podwójną stawkę. Potem poprosił o kartę dań i wyszedł na zewnątrz. Hanna w niechlujnej, ale za to wygodnej pozie, z zamkniętymi oczami, grzała ciało w promieniach popołudniowego słońca. Werens dotknął jej ramienia zimną szklanką, co wyraźnie ją rozeźliło. Mimo wszystko podziękowała za napój i poprawiła pozycję w fotelu na bardziej elegancką. Wzięła w dłonie kartę i po krótkim namyśle zdecydowała się na jakieś jarskie danie. Mężczyzna zrozumiał, że dziewczyna nie jada mięsa. Nie chciał jej do siebie zrazić, więc zdecydował się zjeść to samo.

- Mam pomysł - powiedziała, obserwując z niechęcią młodą kelnerkę,

która przed chwilą szczyrzyła zęby do Werensa. - Po obiedzie pójdziemy się wykapać. To był świetny pomysł, aby tu przyjechać. Nie powiedziałam ci tego wcześniej, bo byłam zła za spóźnienie. Ale jest mi tu tak dobrze! Nie mogę tego więcej ukrywać. - Uśmiechnęła się szeroko i nakryła dłoń mężczyzny swoją dłonią. - Nigdy tu nie byłam. Tu jest tak pięknie! Te lasy, jeziora! I taki spokój! Cisza...

Na słowa o kąpielu Werens pobladł. Wysłuchał dziewczyny do końca, po czym wolno, matowym głosem powiedział:

- Nie mogę wejść do wody. Przykro mi.

- Nie wzięłaś kąpielówek? Nie przejmuj się. Ja też nie mam kostiumu. - Patrzyła mu w oczy, a jej źrenice błyszczały radośnie i prowokacyjnie. - Znajdziemy jakieś miejsce, gdzie będziemy tylko my dwoje. - Zacisnęła dłoń na jego palcach.

Werensa przeszedł dreszcz podniecenia.

- Chodźmy stąd - wydusił przez zaciśnięte gardło.

Na stole zostawił rachunek z napiwkiem i prawie nietknięte coś, co w menu nazywało się "wegetariańską fantazją z sojowymi kiełkami". Auto zostawili na żwirowym parkingu i ruszyli w kierunku jeziora. Hanna szła dwa kroki przed nim, syciła wzrok każdym krzakiem, przelatującą rybitwą, słońcem wolno zsuwającym się za wodę. Minęli molo z hałaśliwymi kąpielowiczami i ruszyli wąską ścieżką wijącą się między trzcunami. Szedł za nią, odsuwając przed oczu ostre kłacza tataraku. Patrzył na jej kształtne biodra, których z każdym krokiem pożądał coraz bardziej. Jej niewygodne szpilki zapadały się w grząskim gruncie. Zdjęła je i dalej szła boso. Wreszcie zatrzymali się na niewielkiej skarpie porośniętej kępami trawy. Hanna odwróciła się w jego stronę i jakby czytając w myślach mężczyzny, zsunęła z bioder krótką spódniczkę. Ruchem ręki zachęciła go do zdjęcia spodni. Uczynił to natychmiast, lecz nie bez problemu, bo zupełnie zapomniał o

sandałach, które teraz nerwowo odpinał. Dziewczyna w tym czasie zdjęła skąpą bieliznę i z radosnym krzykiem rzuciła się do wody. Werens stał na brzegu w pasiastych slipkach. Obserwował nagie ciało Hanny wolno zanurzające się w jeziorze. Pragnął tego ciała. Wiedział jednak, że nikt i nic nie będzie w stanie sprawić, aby wszedł do wody. Słyszał nawoływania dziewczyny, patrzył w milczeniu, jak zachęcająco macha do niego rękami. Hanna była doskonałą pływaczką. Błyskawicznie oddalała się od brzegu. Był o nią spokojny. Po kilku minutach sięgnął po spodnie i koszulę. Szybko się ubrał. Ruszył w kierunku miejsca, które wskazał mu barman.

Stodoła, w której bestialsko zamordowano w sobotnią noc człowieka, otoczona była barierą z biało-czerwonej taśmy. Stało za nią kilku umundurowanych policjantów. Trwała akcja usuwania samochodu. Przed stodołą zaparkowała ciężarówka z lawetą, na którą za chwilę miało trafić czarne bmw. Samo auto było zakryte brezentową plandeką. Werens trafił na miejsce zbrodni praktycznie w ostatniej chwili.

Akcję policji obserwowała grupka gapiów i dziennikarzy, których kilku zapamiętał z konferencji prasowej. Pracowały kamery telewizyjne, stodołę oświetlały mocne reflektory. Postanowił wypytać ludzi o zdarzenia sprzed doby. Zawsze mógł się znaleźć ktoś, kto widział coś niezwykłego, niepokojącego, zastanawiającego. Chodził zatem od jednego widza do drugiego i zadawał pytania. Niestety, nie dowiedział się niczego, co byłoby świeże, dawało jakąś wskazówkę, nowy ślad. Na wejście do stodoły nie było szans. Skupił się zatem na bmw. Wykorzystał chwilowe zamieszanie związane z wciąganiem auta na lawetę i przebiegając pod taśmą, dotarł do limuzyny. Zadarł nieznacznie plandekę, by w następnej sekundzie zostać brutalnie wypchniętym za strzeżoną strefę. Policjant, który go objął w tali i zwyczajnie wyrzucił za taśmę, chociaż był od niego o głowę niższy, spojrzał na Werensa w taki sposób, iż dziennikarz wnet pojął, że kolejna próba



przedarcia się w pobliże auta będzie go kosztowała utratę wolności. Na to nie mógł sobie pozwolić. Nad jeziorem czekała ponętna Hanna. Mogła przecież odkryć jego nieobecność. Co gorsza, mogła również zacząć go szukać. Nie wybaczyłaby mu, gdyby odkryła rzeczywisty powód niedzielnej wycieczki za miasto. Ruszył zatem w jej kierunku.

Zastał dziewczynę opalającą się na brzegu. Leżała na plecach zupełnie nago. Stał nad nią, przesłaniając słońce. Otworzyła oczy lekko zaniepokojona, a kiedy go rozpoznała, zapytała:

- Gdzie byłeś?

- Poszedłem do samochodu po papierosy - odpowiedział bez zająknięcia.

- Tajemniczy z pana mężczyzna, Pawle Werens. Ale mnie się to podoba. Jak tylko cię zobaczyłam, wiedziałam, że jesteś kobieciarzem. Ale wiesz co? To też mi nie przeszkadza. W tobie jest ukryty gdzieś głęboko jakiś wielki smutek. Masz obolałą duszę.

W następnej chwili wyciągnęła rękę w jego kierunku.

- Chodź! - powiedziała spokojnie i przyciągnęła go do siebie.

\*\*\*

Robiło się całkiem ciemno, kiedy dojeżdżali do granic miasta. Dziewczyna drzemała na jego ramieniu. Wraz z końcem weekendu ruch na drodze robił się większy. Ludzie wracali z letnich domków, z kilkudniowych wypadów nad jeziora. Dlatego ruch w mieście był całkiem spory. Werens odwiózł Hannę do domu na Kruczej i pożegnał się z nią czule. Dziewczyna podała mu swój numer telefonu i zniknęła za drzwiami. Ruszył w stronę willi na Fałata. Stryj nie wyszedł mu na powitanie. W drzwiach pokoju migotało światło. Eliza krzątała się po kuchni. Werens czuł zapach pieczarek i pomidorów w zalewie octowej. Był głodny, Nie na tyle jednak, aby stanąć oko w oko z żoną stryja. Ruszył zatem na piętro do swojego pokoju. Wyszedł zwyczajowo na balkon, usiadł w fotelu i sięgnął po niedopitą flaszkę z

wódką. Z każdym łykiem czuł się coraz lepiej. Rozmyślał o pięknej Hannie, przypominał sobie jej ciało, krzyki miłosnego uniesienia. Było też coś innego, co sprawiało, że młody dziennikarz wpadł w doskonały nastrój. Tym czymś były dwa słowa, które zdążył przeczytać, nim policjant odciągnął go od feralnego bmw. Te słowa brzmiały: Smaragdus i Teodol.

## 24 grudnia 1977, sobota

W oknach pałacu Donhoffów zapłonęły świece. Niedługo po tym na podjeździe zaczęły się pojawiać kolejne samochody, których numery rejestracyjne świadczyły o tym, że przybyły tu z różnych zakątków kraju. W kaplicy wokół stołu zasiedli milczący, ponurzy mężczyźni. Wkrótce dołączył do nich przywódca. Przywitał zebranych i sięgnął po leżącą na stole dużą kopertę. Obok niej leżał nóż do papieru. Brat Montalto wziął w dłonie oba przedmioty i ruszył z nimi wokół stołu. Idąc, mówił:

- Zbliża się dzień, o którym będą mówić: Oto ojciec ich, Kain, dał im siłę, by dokonali rzeczy wielkich. Nam, braciom Ezawa i Koraha. Ten dzień jest blisko. Nawet nie wiecie, jak blisko!

Montalto mijał kolejnych braci patrzących z uwagą i szacunkiem na swego przywódcę. Ten w pewnej chwili stanął za plecami otęłego człowieka ze znaczną łysiną i potem na skroniach.

- Ojciec nasz, Kain, ma byt od mocniejszej siły, a Abel od słabszej. Siły te połączywszy się z Ewą, zrodziły ich obu. I oto Kain i Abel pokłócili się ze sobą i zrodzony przez mocniejszą siłę zabił tego, który był z siły mniejszej i słabszej. Bracia moi, tak też będzie z nami! Bo to my jesteśmy z większej siły i pokonamy tych, co mieniają się silnymi, a słabość ich już poznaliśmy!

W tejże chwili Montalto szybkim ruchem zakrył kopertą twarz siedzącego przed nim mężczyzny, a sekundę później stojący dotychczas w cieniu młody garbus podbiegł do nich i trzymaną w wielkich rękach szarą taśmą do klejenia kartonowych pudeł owinał głowę szarpiącego się, zaskoczono grubasa. Teraz nie miał on twarzy, a w jej miejscu była papierowa maska, sztywno przylegająca do nosa, oczu i ust. Mężczyzna ledwo oddychał, widać było, że folia, szczelnie owinięta od szyi po czubek głowy, dusi go coraz

bardziej. Montalto przystawił do miejsca, w którym powinny znajdować się usta, nóż do papieru.

- Blisko dwa lata zajęło nam wytropienie zdrajcy. Spójrzcie na niego. Mienił się naszym bratem. O mały włos nasze Wielkie Dzieło przypadłoby bezpowrotnie. Zdradziła go chciwość. Tyle że doniósł nie temu, komu trzeba. Czy chcecie usłyszeć, co ma na swoją obronę?

Mężczyźni siedzący wokół stołu milczeli. Montalto tarł ostrzem noża o papierową maskę. Patrzył uważnie po twarzach braci, widział w ich oczach przerażenie. Nagle zacisnął dłoń na rękojeści i wbił ostrze w papier. Z miejsca, gdzie znajdowały się usta zdrajcy, wypłynęła krew.

- Tak też myślałem. - Wyciągnął nóż z gardła zabitego. Zdrajca osunął się na podłogę. Montalto przyklęknął i oczyścił nóż z brunatnej cieczy płaszczem tamtego.

Wrócił do stołu i usiadł na swoim miejscu. W następnej chwili polecił garbusowi ze spaloną połową twarzy wynieść zwłoki z kaplicy i je ukryć. Ten bez słowa podszedł do trupa, chwycił go za rękę i wolno wyciągnął z sali. Został po nim jedynie zygzakowaty krwawy ślad na podłodze.

Montalto uśmiechnął się szeroko i powiedział:

- Bracia moi! To już wkrótce. Dziewiąty miesiąc roku najbliższego przyniesie wielkie zmiany! To już postanowione! Plan jest dopięty i jak najbardziej realny. Znane jest już miejsce i dokładny czas. Uderzymy z wielką mocą! O jakiej dawno ten kraj nie słyszał! Zanim jednak zaczniemy omawiać szczegóły, chciałbym wtrącić małą dygresję. Po naszym ostatnim spotkaniu doszły mnie słuchy, że niektórych z was rozczarowała oferta, hm... nazwijmy ją tak, artystyczna. Konkretnie chodziło o wiek naszych młodych gości. Zaręczam wam, że dzisiejszej nocy towarzystwo będzie znacznie młodsze. No, chyba że nie lubicie dzieci.

Uśmiechnął się lubieżnie, a w następnej chwili otworzył kolejną z teczek,

które miał przygotowane na to spotkanie. Mężczyźni patrzyli na nie z przerażeniem. Jeszcze większe wzbudzał w nich leżący obok nóż do papieru, który, jak się okazało, mógł mieć i inne zastosowania. Uspokajała ich nieco jedynie perspektywa całonocnej orgii.

## 16 sierpnia 2004, poniedziałek

Rankiem Werens zadzwonił do redakcji gazety. Przedstawił w wielkim skrócie sytuację. Nie omieszkał zrobić niewielkiej awantury asystentce. Jej powodem, oczywiście, była zła rezerwacja hotelu. Potem odbył rozmowę z szefem. Przedstawił dotychczasowe ustalenia, które jednak nie zrobiły na przełożonym większego wrażenia. Werens wyczuł, że oczekiwania w tej sprawie były ogromne. Zakończył obietnicą dostarczenia reportażu do końca tygodnia. Jego deklaracja była na wyrost. Zdawał sobie z tego sprawę. Wydarzenia następowały po sobie w niezwykłym tempie i trudno było określić, w jakim kierunku pójda.

Potem rozmawiał ze stryjem. Siedzieli przy śniadaniu podanym przez Elizę. O dziwo, żona stryja była w zupełnie dobrym nastroju. Werens łączył ten stan kobiety ze swoją całodzienną nieobecnością. Po prostu stryj, zamiast po kątach palić z nim papierosy i pociągać z flaszki, spędził świąteczną niedzielę z nią. Tak to sobie tłumaczył, chociaż mogło być zupełnie inaczej. Ale teraz nie to dla niego było najważniejsze. Jedli omlet, rozmawiając o jego wczorajszej wyprawie na miejsce najnowszej zbrodni. Werens zakończył opowieść pytaniem o Smaragdusa i Teodola. Chciał wiedzieć, czy te słowa z czymś się nie kojarzą byłemu duchownemu. Starzec w milczeniu kiwał głową. Najwyraźniej już gdzieś o nich słyszał. Tylko gdzie? Obiecał bratankowi, że zaraz po śniadaniu uda się do swojej biblioteki i poszuka informacji o tych dwóch tajemniczych osobach.

\*\*\*

Werens pojechał do czytelni biblioteki wojewódzkiej, która znajdowała się w budynku czternastowiecznego Starego Ratusza. Świeżo odrestaurowany gmach przez wieki służył za miejsce handlowe. W jego piwnicach

rozbrzmiewał gwar, słycać było brzęk monet. Po wojnie piwnice zasypano żużlem. Werens zastanawiał się, co było tego przyczyną. Poprosił o gazety z końca lat siedemdziesiątych. Postanowił przejrzeć notatki prasowe z lat 1976-1977, a także z roku 1978. Zasiadł za stertą starych, cuchnących, pożółkłych gazet, których wydawcą była partia robotnicza - jedyna słuszna siła, prowadząca naród w kierunku komunistycznego raj.

Po kilku godzinach rozboleła go głowa. Werens odłożył wreszcie gazetę datowaną na ostatni dzień 1978 roku. Nic. Kompletnie nic nie znalazł. Czego właściwie szukał? Po rozmowie z szalonym badaczem motyli wiedział już, że blisko trzydzieści lat temu doszło do podobnej zbrodni. Stary wyraźnie mówił o motylu, którego przynieśli mu milicjanci. Werens rozumował następująco: skoro doszło do zbrodni, to musi gdzieś być jakaś notatka. Nie liczył na informację o motylu w ustach ofiary. To by było zbyt proste. Liczył na to, że skoro młody wtedy naukowiec był nachodzony w święta, to dowodzi, że ofiarą był ktoś znaczny. Ktoś, kogo śmierć postawiła na nogi cały aparat kryminalny. Dalej, rozumował Werens, skoro zginął ktoś ważny, to w takiej sytuacji media powinny to nagłośnić. Tak by się to odbyło teraz. No właśnie, teraz... Ale wtedy mogło być odwrotnie. Komunistyczna władza pilnie strzegła swych tajemnic, grzechów... Mimo wszystko odwrócił plik gazet i zaczął przeglądać je na nowo.

Lektura była monotematyczna. Sukcesy władzy, spotkania, wiece, obrady, przemówienia. Otwarcie nowej fabryki, kawałka drogi... Ale na pierwszy plan z każdą nową kartką coraz bardziej wychodziły przygotowania do centralnych dożynek. Uroczystość zaplanowano na wrzesień 1978 roku. Zwykle takie uroczystości odbywały się w Warszawie na stutysięcznym Stadionie Dziesięciolecia. Ale nowy wódz przeniósł uroczystości poza stolicę. Odtąd każdego roku inne miasto stawało się gospodarzem najważniejszych uroczystości w państwie. To była nagroda od władz dla

mieszkańców regionu. Werens z rosnącą uwagą czytał o przygotowaniach do uroczystości. Znalazł materiały o roboczych wizytach premiera. Zapamiętał to nazwisko. Jaroszewicz. To była jedna z najgłośniejszych spraw w 1992 roku. Premiera wraz z żoną brutalnie zamordowano w ich willi w Aninie. Mordercy wiele godzin torturowali premiera, by na koniec go udusić. Jego żonę związali i zamknęli w łazience. Potem zastrzelili kobietę ze sztucera męża. Po kilku latach odbył się proces rzekomych morderców, którzy mieli się kierować chęcią zysku. Sugerowano motyw rabunkowy. Ale w 2000 roku tych ludzi uniewinniono. Werens był przekonany, że była to zbrodnia polityczna. Jego zdaniem chodziło o archiwum premiera, które obciążało wielu prominentnych komunistów. Dowodem na to było zaginięcie z akt sprawy kluczowych dowodów. Zginęły odciski palców znalezione na narzędziach zbrodni i w domu premiera.

Werens czytał kolejne numery gazety. Znalazł informacje o budowie nowego stadionu, na którym miały się odbywać główne uroczystości. To miała być największa propagandowa impreza w kraju. Transmisję na żywo przeprowadzały radio i telewizja. Na płycie stadionu miało wystąpić pięć tysięcy wykonawców, kilkanaście orkiestr, akredytowano setki dziennikarzy. Impreza miała się odbyć 10 września. Dzień wcześniej do miasta miał przybyć Przywódca Narodu. Miejsce jego pobytu było jedną z najbardziej strzeżonych tajemnic. Nie ujawniano jej w mediach. Werens roześmiał się całkiem głośno, kiedy przeczytał artykuł o "gościach orderowych". Młoda bibliotekarka w grubych okularach spojrzała na niego karcąco. Zakrył usta dłonią i czytał dalej: "Dzień przed, uroczystościami goście orderowi zostaną zakwaterowani w dopiero co oddanym do użytku hotelu. Zapewniono im maksymalny komfort. Zostało zabezpieczonych kilka samochodów, które odbiorą ich z dworca PKP. Zarezerwowano im dwudniowe wyżywienie, dostaną dożynkowe upominki, utworzono specjalnie dla nich punkt



fryzjerski. Każdy z gości otrzyma specjalny, drobiazgowy harmonogram. Pobudka przewidziana jest na godzinę szóstą. Śniadanie będzie spożyte do siódmej piętnaście, a pieszy przemarsz do komitetu trwać będzie do godziny ósmej. Po wręczeniu odznaczeń goście orderowi pojedą autokarami wprost na stadion". Główna impreza na płycie stadionu zaplanowana była na godzinę dziesiątą.

Werens przeglądał kolejne numery z coraz większym rozbawieniem, które powodowało, że jego lektura stawała się coraz mniej uważna. Nagle wyraz jego twarzy uległ zmianie. Dziennikarz znieruchomiał. Ze sterty gazet na podłogę zsunęła się jedna, z końca grudnia 1977 roku. Dwa razy trzymał ją wcześniej w dłoniach i nie dostrzegł tych kilku zdań umieszczonych w wąskiej kolumnie. Co za fart! Teraz z wyraźnym poruszeniem kopiował niewielką notatkę zamieszczoną w rubryce wydarzeń lokalnych.

Przepisał zdanie po zdaniu, a na koniec jeszcze raz przeczytał: "W okolicach wsi Drogosze znaleziono ciało Edwarda Molaka, lat czterdzieści. Jest to już piąta ofiara tegorocznych mrozów". To nie może być przypadek, pomyślał Werens. Drogosze. To o tym miejscu stary naukowiec mówił, że znajdował się tam największy zbiór motyli. Był pewien, że notatka nie zawiera całej prawdy. Nie miał zresztą innego tropu. To nie przypadek, że kilka dni po śmierci tego Molaka do drzwi profesora zapukali kryminalni z żądaniem ekspertyzy. Kim był ten Molak? Dlaczego zatajono morderstwo? Bo to było morderstwo. Werens był tego pewien. Nie ma takich zbiegów okoliczności. Najwyraźniej szczęście mu sprzyjało. Ta informacja prasowa nie miała prawa się ukazać. Widocznie ktoś, może jakiś lekarz, powiadomił gazetę wcześniej, niż dotarła do zabitego milicja. Tylko dlaczego napisano, że ofiara zamarzła? I po chwili sam sobie odpowiedział na to pytanie. Bo w Polsce Ludowej nikt nikogo nie zabijał. Ludzie co najwyżej ginęli w nieszczęśliwych wypadkach lub zapadali na choroby. Jak by to wyglądało?

Tu nikt nikomu celowo nie robił krzywdy. Władza kochała naród, a ten odwzajemniał to uczucie. Przynajmniej na papierze.

\*\*\*

Kwadrans po dwunastej Werens opuścił budynek biblioteki. Latem Starówka była zamknięta dla samochodów, więc dziennikarz zostawił auto na parkingu przy moście Jana. Ruszył wąskimi ulicami wprost na ulicę Pieniężnego. Minął katedrę, przeszedł na drugą stronę ulicy i znalazł się w budynku poczty. Poprosił o książkę telefoniczną miasta i okolic. Kartkując opasy tom, dotarł do litery M. Molaków znalazł pięciu. Przepisał do notesu ich numery i wyszedł na zewnątrz. Wyjął telefon komórkowy i po kolei dzwonił do każdego z nich. Na co liczył? O co chciał zapytać? Werens szukał kogoś, kto mógł znać Edwarda Molaka. To stosunkowo rzadkie nazwisko, była więc duża szansa, że trafi na właściwą osobę. Niestety, w dwóch przypadkach nikt o tym nazwisku pod wybranym numerem nie mieszkał. To się często zdarzało. Ludzie sprzedawali mieszkania, nowi właściciele nie dbali o umieszczenie swoich nazwisk w książce telefonicznej. Zresztą, same książki też były już wiekowe, nieaktualne. Kolejną osobą był już Molak, ale Zygmunt, i nie przypominał sobie, aby miał w rodzinie kogoś o imieniu Edward. Czwarty numer milczał. Werens postanowił zadzwonić ponownie wieczorem. Być może właściciel telefonu był w pracy. Ostatni, piąty numer wystukał już mocno zrezygnowany. Odebrało jakieś dziecko, raczej dziewczynka, które piskliwym głosem oświadczyło, że rodziców nie ma w domu, a babcia śpi. Dziecko było bardzo rezolutne. Poprosiło Werensa o numer telefonu i śmiertelnie poważnym tonem oznajmiło, że przekaże wiadomość starszym i na pewno ktoś do niego oddzwoni. Rozbawiła go ta krótka rozmowa.

Stał dłuższą chwilę niezdecydowany, a potem ruszył w dół ulicy, na parking nad rzeką Łyną. Mijając mostek przy budynku uniwersytetu, wpadł

na młodego człowieka, który zapytał go o ulicę Mickiewicza. Werens chwilę milczał, a potem objaśnił mężczyźnie trasę, która była całkiem prosta. Młodzieniec podziękował mu i ruszył w górę ulicy. Patrzył za nim długo i, sam nie rozumiejąc dlaczego, skierował kroki w tym samym kierunku. Minął ratusz, szedł dalej, w górę, po lewej miał teatr. Przeszedł na drugą stronę ulicy 1 Maja i mijając nowo otwarty bank, znalazł się na Placu Konsulatu Polskiego. Przeszedł go niespiesznie i znalazł się na Mickiewicza. Stał pod oknami mieszkania rodziców. Sięgnął do kieszeni i wyjął z niej pęk kluczy. Pomimo upływu wielu lat był przekonany, że ojciec nie zmienił zamków. Wystarczyło wejść do klatki schodowej. Ich mieszkanie było pod trójką... Stał tak dobry kwadrans, by wreszcie obrócić się na pięcie i ruszyć z powrotem, w dół miasta, na parking. Wsiadł do samochodu i lawirując między autami, opuścił plac.

\*\*\*

Postanowił ponowić wizytę w więzieniu. Podczas ostatniej niewiele się dowiedział o doktorze Tomaszu Biernacie. Ten człowiek i jego śmierć znaczyły w tej łamigłówce bardzo wiele. Musiał tylko ustalić jak wiele. Droga do barczewskiego więzienia zajęły mu czterdzieści minut. Tak jak w niedzielę długo stał przed stalowymi drzwiami, za którymi kiwał się znudzony strażnik. Po kwadransie wreszcie wpuszczono go na teren więzienia. Szedł za wielkim mężczyzną w mundurze, po bokach mijał potężne budynki dawnego zakonu, teraz okratowane, zimne i ponure. Zaprowadzono go do surowego biura, gdzie powitał go młody oficer z grymasem bólu na twarzy. Od początku nie wzbudził sympatii Werensa. Biły od niego chłód i fałsz.

- Pan wybaczy - zaczął strażnik. - Od wczoraj nie daje mi spokoju. - Wskazał na policzek, a raczej na to, co było za nim ukryte. Młodego oficera zwyczajnie bolały zęby. - W czym mogę pomóc?

- Interesuje mnie śmierć doktora Biernata. Jestem dziennikarzem z Warszawy.

- O, to nie do nas. To by trzeba na policję. - Pracownik więzienia uśmiechnął się nienaturalnie.

- Biernat pracował u was. Jak długo?

- Doktor Biernat był wspaniałym człowiekiem i fachowcem.

- Nie wątpię w to. Mnie interesuje to, ile lat tu przepracował.

- Jego staż jest, a raczej był, wzorowy. Żadnego spóźnienia... Nagany... Wpisu do akt...

- Czy może mi pan odpowiedzieć na moje pytanie? Ile lat doktor pracował za tymi murami?

- Trzydzieści dwa lata.

Werens był zaskoczony.

- Czy doktor miał stopień służbowy?

- Oczywiście. Był kapitanem.

- A czy to nie jest tak, że w służbach mundurowych przechodzi się na emeryturę już po piętnastu latach pracy?

- Zgadza się.

- Więc dlaczego doktor przepracował tu tyle lat?

- Nie wiem, może nas bardzo lubił.

- Niech pan nie żartuje.

- Może miałby niską emeryturę.

- Doktor prowadził prywatną praktykę. Widziałem jego dom. To był zamożny człowiek.

- No właśnie. Widocznie miał duże potrzeby. Pan wybaczy, ale nie mam już dla pana więcej czasu. Och, ten mój ząb!

- Proszę iść do dentysty. Macie tu chyba dentystę?

- Oczywiście!

- No, to niech pan do niego idzie jak najszybciej. Dentysta też tu pewno pracuje pół wieku? Też was bardzo lubi.

- Dentysta jest nowy. Pracuje od miesiąca.

- O, to ciekawe. A co się stało z poprzednim? Żyje?

- Wyjechał za granicę.

Werens był wściekły. Nie dowiedział się praktycznie niczego od tego paskudnego człowieczka z czarnym wąsikiem i chytrymi oczkami. Niech go szlag! Nic tu po mnie, pomyślał dziennikarz. W domu Biernata nikt ze mną nie będzie rozmawiał. To pewne. Świadców morderstwa brak. Nie ma co tu więcej przyjeżdżać. Mylił się po raz kolejny.

Na korytarzu wpadł na młodą kobietę. Odruchowo wyrzucił z siebie krótkie przeprosiny, a w następnej chwili przyjrzał się jej uważniej. Skądś ją znał. No tak! Przecież to była ta sama brunetka, którą w sobotę spotkał pod murami więzienia.

- My się już znamy, prawda? - powiedział uprzejmie.

Ona błędziła gdzieś myślami, widocznie próbowała go sobie przypomnieć. Wreszcie powiedziała:

- A, tak. To pan mnie śledził z samochodu wczoraj. Pan dziennikarz z Warszawy. Prawda? Dobrze zapamiętałam?

- Jeszcze raz przepraszam. - Dopiero teraz dostrzegł, że kobieta jest cięży.

- Wreszcie udało się panu dotrzeć za mury.

- No tak. Nie było to łatwe, ale rzeczywiście tu trafiłem. Na bramie stał ten sam strażnik co ostatnio.

- Pan Janek, którego nie darzy pan jakąś szczególną sympatią?

- Ten sam. Dzisiaj był bardziej gościnny.

- Musi pan wiedzieć, że ten człowiek jest wielkim znawcą historii tego kompleksu. To jego hobby. Nikt tak dobrze jak on nie zna więzienia.

- O, to ciekawe.

- Często pozory mylą, panie...

- Werens. Paweł Werens. Już to mówiłem.

- Ewa Szulc. - Wyciągnęła w jego kierunku rękę. On uczynił to samo.

- I co, dowiedział się pan czegoś?

- Niestety, oficer, z którym rozmawiałem, a raczej próbowałem rozmawiać, zwyczajnie mnie zbył.

- A o co pan pytał, jeśli można wiedzieć?

- Pytałem o doktora Biernata, o to, jakim był człowiekiem.

- I tego nie chcieli panu powiedzieć? A cóż to za tajemnica. Według Hipokratesa Biernat był typowym cholerykiem. Posiadał nadmierną ilość żółci. Bardzo aktywny życiowo, z dużą energią. Nastawiony na osiągnięcie celu, ze skłonnościami do kierowania innymi. Pracoholik. Niezależny i samowystarczalny. Lubił manipulować i wykorzystywać innych. W jego wypadku cel uświęcał środki. Niewielu przez to miał przyjaciół. Zresztą szybko pozbywał się konkurencji.

Werens zrozumiał, że kobieta jest więziennym psychologiem. Powoli zaczął też pojmować, dlaczego Biernat pracował w więzieniu tyle lat. Po prostu każdego, kto chciał zająć jego miejsce, wykańczał. Pewno donosił, podkładał przysłowiową świnie. Może sięgał po szantaż?

- Nie był osobą lubianą - ciągnęła pani psycholog - próbował decydować za innych, każdego chciał zdominować. Zgrywał wszechwiedzącego. Nie tolerował słabości i błędów. Prawdopodobnie robił wszystko najlepiej. Tak zapewne myślał o sobie.

Werens wysłuchał tego miniwykładu z pełnym uznaniem. Zapytał kobietę o jej zdanie na temat śmierci lekarza. Odpowiedź, którą usłyszał, wielce go zaskoczyła.

- Lepiej nie mówić o pewnych sprawach - powiedziała brunetka bardzo cicho. - Niech pan na siebie uważa.

Werens dłuższą chwilę milczał. Potem sięgnął do torby po wizytówkę.

- Gdyby chciała pani ze mną o tym porozmawiać, tu jest do mnie telefon.

Wzięła od niego wizytówkę, a kiedy ją chowała do kieszeni, obok nich przeszedł ponury oficer, z którym Werens rozmawiał przed kwadransem. Obrzucił ich wścibskim wzrokiem i zniknął za rogiem. Werens dostrzegł na twarzy kobiety niechęć pomieszaną z lękiem. Potem podziękował i pożegnał się. Za murami ponurego gmaszyska odetchnął z ulgą.

\*\*\*

Z więzienia postanowił pojechać do Elbląga. Chciał porozmawiać z żoną zamordowanego prokuratora Markowskiego. Był przekonany, że nie powiedziano mu wszystkiego podczas poprzedniej wyprawy. Znał już drogę i po niecałych dwóch godzinach był przed bramą strzegącą posiadłości. Chociaż trafniejsze byłoby stwierdzenie, że domu strzegł potężny doberman, którego Werens już dokładnie sobie obejrzał podczas poprzedniej wizyty. Zadzwoił. Po chwili wyszła ku niemu ta sama piękna, ruda dziewczyna, z którą rozmawiał poprzednio. I tak jak poprzednio uśmiechała się do niego figlarnie, poprawiała śliczne włosy, z którymi najwyraźniej miała jakiś problem. Dotarła do bramy. Werens wyczuł zapach dobrych, drogich perfum.

- Czy przyniósł mi pan moje zdjęcie? - zapytała wesoło.

Zapomniał! Rzeczywiście, dziewczyna poprzednio mówiła coś o zdjęciu, które jej zrobił, myśląc, że tego nie zauważy. Zrobił dobrą minę do złej gry i powiedział:

- Tak, zrobiłem je. Ale zupełnie nie wyszło. Poproszę o uśmiech! - Wyciągnął trzymany w torbie aparat. Błyskawicznie zrobił ślicznotce kilka zdjęć, a dziewczyna na widok jego cyber shota odruchowo przybrała pozę modelki. Mogłaby nią być. Ale dziewczyny z takich domów nie zostają modelkami. One wzorem rodziców idą na prawo, by potem bez problemu wejść w środowisko palestry.

- Cieszę się na pani widok, ale tym razem chciałbym porozmawiać z pani mamą. Czy można?

Dziewczyna patrzyła na niego nic nierozumiejącym wzrokiem. Nagle zaczęła się głośno śmiać. Werens nie wiedział, o co chodzi. Czyżby powiedział coś niestosownego?

- Pan chce rozmawiać z moją matką? To może być problem. Mama mieszka w Krakowie.

- Ale przecież ostatnio... Wybierały się gdzieś panie razem... Mama miała na sobie wieczorową suknię... - dukał wyraźnie zdenerwowany.

- To nie była moja matka. To była moja starsza siostra.

- Naprawdę? - Był całkowicie zaskoczony.

- Niech mi pan wierzy.

- Czyli żona pana prokuratora Markowskiego? Czy tak? - odzyskiwał pewność siebie.

- Tak. Żona Stefana. Od jego śmierci mieszkamy razem.

- Rozumiem.

- Siostra wolno dochodzi do siebie.

- Czy mógłbym z nią zamienić słowo?

- Niestety, wyjechała do Krakowa.

- Do matki?

- Tak, do matki. Jej i mojej.

- Jeszcze raz przepraszam za nieporozumienie. - Znowu poczuł się nieswojo.

- Czy coś jeszcze? - Dziewczyna już nie była tak uprzejma i wesoła. Dawała mu do zrozumienia, że ma dosyć tej rozmowy.

Nie miał wyjścia. Ukłonił się delikatnie, uniósł do góry aparat, jakby coś w ten sposób chciał wytłumaczyć. Burknął pod nosem krótkie "do widzenia" i ruszył do samochodu. Był zły. Czuł się podle. Do tego zaczęło go ssać z



głodu w żołądku.

\*\*\*

Postanowił pojechać do "Młyna" na obiad. Przy wejściu natrafił na tego samego młodego recepcjonistę, którego nazwisko brzmiało Janas. Lekko się skłonił i ruszył do sali jadalnej. Zamówił kaczkę z buraczkami i, wbrew zasadom, kieliszek wódki. Nigdy wcześniej mu się to nie zdarzyło. Kiedy prowadził wóz, nie pił. Dopiero gdy zimna wódka znalazła się na jego stole, odkrył, że robi coś złego, wbrew sobie. Czekał na obiad, wyciągnął z torby aparat. Przeglądał dotychczas zrobione zdjęcia. Szukał jakiejś wskazówki, znaku, szczegółu, sam nie wiedział czego.

Wszystko szło źle. W więzieniu nie dowiedział się niczego. Biernat całe życie przepracował w zakładzie karnym. Widocznie był dobrym lekarzem, a może nikt inny nie chciał pracować wśród blisko tysiąca kryminalistów. O zamordowanym w siedemdziesiątym siódmym Molaku nie wiedział nic. Telefony, które wykonał do ludzi o tym nazwisku, nic nie dały. Nie liczył też na sukces po wykonaniu kolejnych, do dwóch pozostałych osób. W Lutrach, nad jeziorem, nie znalazł świadków morderstwa w bmw. Żona Markowskiego wyjechała, a jej siostra, tu uśmiechnął się gorzko, potraktowała go jak smarkacza. Spojrzał na jej zdjęcie. Za tą piękną twarzą kryła się zimna jak lód kobieta. Szkoda. W pewnej chwili poczuł na sobie czyjś wzrok. Spojrzał w kierunku recepcji. To młody Janas dawał mu znaki, aby do niego podszedł. Wziął aparat do ręki i ruszył w jego stronę. Janas konspiracyjnie przechylił się do niego i wyszeptał:

- Ona tutaj była. Wczoraj. Z jakimś facetem.

- Kto? - Werens zadrżał. W następnej chwili usłyszał słowa, na które tak bardzo czekał.

- Ona. Ta blondyna. Od Kowalskiego.

- Markowskiego.

- Kogo?

- Nieważne. Mówisz, że to była ona? Ta od zabitego prokuratora?

- Jak tu stoję!

- Przyszła sama?

- No, nie. - Uśmiechnął się figlarnie. - Z takim jednym. On tu czasem sobie przyprowadza...

- Kogo przyprowadza?

- Co pan, dziecko? Panienci sobie przyprowadza. Na godziny.

- I ona przyszła z tym...

- To taki miejscowy playboy. Ma parę złotych, dobry samochód. Nieźle nawija. Babkom się podoba. Dla mnie to bardziej dziwkarz.

- I co było potem?

- Normalnie, poszli na piętro. Numerek, drugi i ona sobie poszła.

- I nie wiesz, kim była?

- No nie, ale jest coś, co chcę panu powiedzieć. Jak wchodziła, to była blond. A jak wracała z piętra, to zrobiła się ruda.

Werens pobladł.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Że normalnie w peruce była. Dla niepoznaki. Widocznie tak jej dogodził, że jak schodziła, to zapomniała. Mnie się zdaje, że ona bardzo lubi te sprawy.

Dziennikarzowi przyszła do głowy pewna myśl. Uniósł do góry trzymany w dłoni aparat. Uruchomił go i skierował cyfrowy ekran w stronę recepcjonisty.

- Czy to mogła być ona? - zapytał, z uwagą czekając na odpowiedź.

- Czy mogła? - Janas uśmiechnął się szeroko, zdradzając brak lewej górnej szóstki. - To była ona! Jak tu stoję!

Werens wrócił do stolika i jednym wprawnym ruchem przechylił kieliszek wódki. Kolejny trop trafił szlag! Ruda Beata nie była kierunkiem, w który

miał dalej iść. Ta śliczna dziewczyna była kochanką męża swojej siostry. To wszystko. Spotykała się z nim potajemnie w hotelu. Zakładała jasną perukę, by nikt jej nie rozpoznał. Werens rozwiązał paskudną rodzinną tajemnicę, nic ponadto. Co najwyżej mógłby być z tego skandal obyczajowy. Ale nie sprawa kryminalna. Dlatego opuszczał restaurację z miną pełną niezadowolenia. I nie mogła zmienić tego nawet pyszna kaczką w buraczkach.

\*\*\*

Do domu przy Fałata wracał przygnębiony. Znalazł się pod ścianą. Po czterech dniach rozmów i podróży po regionie nie wiedział wiele więcej niż w ostatni piątek. Co miał robić dalej? Mijał kolejne miejscowości, nie przekraczając pięćdziesiątki. Wyprzedzający go kierowcy uśmiechali się z pobłażaniem. Jak zwykle nie śpieszyło mu się do rodzinnego miasta. W południe stał pod oknami mieszkania rodziców. Po wielkim czteropokojowym mieszkaniu od lat samotnie krążył jego ojciec. Dzisiaj mógł do niego zajść. Usiąść przy stole i wreszcie z nim porozmawiać. Dlaczego znowu stchórzył?

Wreszcie dotarł do granic miasta. Słońce wolno zachodziło za dachy domów. Wmieszał się w miejski ruch i bezmyślnie jechał za jakimś mercedesem. Minął ratusz i wdrapywał się wolno po 1 Maja. Luksusowy samochód skręcił w lewo. Werens odruchowo wykonał podobny manewr. Przejechał wiadukt i znalazł się na Wojska Polskiego. Po lewej minął budynki telewizji, dom kultury, plac manewrowy miejskich autobusów. Wjechał w miejski las, największy tego typu obszar w Europie. Faktycznie, po obu stronach miał gęsty drzewostan. Werens zostawił samochód na niewielkim leśnym parkingu. Przebiegł drogę i kamienną ścieżką wolno zszedł w dół. Po jakimś czasie znalazł się na wielkiej polanie, będącej kiedyś pięknym stadionem. Wieczór sprzyjał spacerom, Werens mijał pojedynczych

ludzi i całe grupy krążące po leśnym kompleksie. Właściciele wszelakich ras psów, zakochane pary, miłośnicy fotografii, całe rodziny, wszyscy oni jak na złość wybrali to samo miejsce. Werens był zły. Liczył na spokój i samotność. Niestety, gdzieś w oddali, za ścianą lasu dudniły wystrzały z broni palnej. Ktoś urządzał sobie zawody strzeleckie, bo cóż innego? Ruszył zatem w kierunku łagodnej skarpy, która stanowiła granicę lasu. Usiadł na pniu między drzewami, które dawały cień i nieznaczny, ale jednak chłód. Z torby trzymanej na ramieniu wydobyl puskę zakupionej rano coli. Pił łapczywie, aż zakrztusił się mocno gazowanym napojem.

W pewnej chwili jego ponurą twarz rozjaśnił uśmiech. Jakiś starszy człowiek w krótkich gaciach i z nagim, wątłym torsem przeszedł obok niego, ciągnąc za sobą na sznurze kozę. Niezdarnie zsunął się ze skarpy. Począł szarpać prowizoryczną uprząż, bo wystraszone zwierzę najwyraźniej bało się stromizny. Werens zastanawiał się, gdzie starzec ciągnie nieszczęsną kozę. Odpowiedź była banalnie prosta. Właściciel kozy zrobił sobie z dawnej płyty stadionu pastwisko. Włochaty zwierzak z apetytem pożerał kępy trawy, a jego opiekun rozsiadł się obok i grzał twarz w zachodzącym słońcu. Jaki żalony koniec pewnej historii, pomyślał Werens. Kiedyś w tym miejscu lądowały oszczepy, padały rekordy, a teraz pasą się kozy. Cóż, jakie czasy, takie igrzyska. Po kwadransie staruszek wstał z ziemi, strzepnął dłonią z piersi źdźbła trawy, które cały czas żuł. Ruszył w kierunku Werensa. Stanął nad nim w rozkroku i zapytał:

- Masz pan zapałki?

Werens zauważył, że staruszek nie ma przednich zębów. Podał tamtemu zapalniczkę, a przy okazji wyciągnął również paczkę z westami. Stary wydobyl z kieszeni złamanego papierosa, rozdzielił go i jedną z części schował ponownie do kieszeni, a drugą wcisnął w usta, po czym zapalił. Werens odebrał zapalniczkę, którą tamten oblepił nieprzyjemnym potem.

Wykrzesał ogień i wyciągnął rękę z jednorazówką w kierunku starca. Wiedział, że jeżeli tamten nie przyjmie podarunku, on zwyczajnie ją wyrzuci w krzaki. Ale staruszek ucieszył się z niespodziewanego prezentu. Obejrzał go dokładnie, kilkakrotnie zapalił i schował do kieszeni. Podziękował skinieniem głowy, po czym pokazał Werensowi resztki czarnych zębów.

- Ale gorąco! Mimo wieczora.

- Rzeczywiście.

- Lato.

- Końcówka. Zaraz jesień, zima... - Werens rzucał słowa mechanicznie, nie był zainteresowany rozmową z pasterzem kóz.

- O, zimo to tu lato było! Ogień!

Dziennikarz zadławił się dymem. Błyskawicznie zapytał:

- Jaki ogień? Ten ze stycznia?

- O, drzewa mało nie poszli. W styczniu.

- Kto je palił? Widział pan kogoś?

- A skąd!

- Szkoda.

- A szkoda. Najbardziej tych tarczy.

- Tarczy? Jakich tarczy?

- No jakich? Ze szczelnicy.

- Ze strzelnicy? Jakiej strzelnicy?

- No jakiej? Żołnierskiej. O, tam! - Wskazał palcem w kierunku wielkiej polany, która w pewnym miejscu, niczym wąskie gardło, łączyła się ze stadionem. - Tarcze popalili. Wszystkie, dwanaście.

Werens znieruchomiał. Czoło zrosił mu pot, chciał sięgnąć po puszkę stojącą na pniu, ale ta wywróciła się i płyn w postaci ciemnej, spienionej plamy rozlał się po słojach.

- Resztki tych tarczy zabrała policja. Na co im resztki? A tarcze loków.

- Kogo?

- Loków. Tych, co strzelają tutaj.

Werens chwycił za torbę, odsunął starego na bok i ruszył w kierunku strzelnicy. Zsunął się ze skarpy, zaklął głośno, bo zaplątał się sandałem w sznur, z którym koza spacerowała po stadionie-łące. Zwierzę patrzyło na niego z obojętnością, machnął ręką i przyśpieszył kroku. Prawie biegł. Pokonał kilkaset metrów dzielących go od strzelnicy. Wyminął stanowiska strzeleckie. Zatrzymał się dopiero przy kulochwycie. To przed taką skarparą stawiano tarcze z ludzkimi sylwetkami, do których oddawano strzały. Teraz nie było śladu po tarczach, a Werens po chwili zauważył wbity w ziemię słup, na którym umieszczono napis: "Strzelnica. Własność Ligi Obrony Kraju". Faktycznie, lokowie. Członkowie koła strzeleckiego.

Werens ponownie usiadł. Tym razem posadził tyłek na ciepłym piachu. Myślał o rozmowie ze stryjem. O tajemniczych Acta martyrum, o dwunastu zabitych na stadionie w Smyrnie. Właśnie ich znalazł. Byli resztkami drewnianych tarczy, które płonęły w styczniową noc na środku nieistniejącej lekkoatletycznej areny. Wyobraził sobie Rajmunda Geslera przypalanego w ognisku, jego krzyki, błagania o ratunek, o litość. Nie zdając sobie sprawy, że nie jest sam wśród ton piachu, krzyknął z przerażenia. Ocknął się, widząc parę zakochanych nastolatków stojących nad nim, komentujących jego zachowanie, a potem jawnie z niego kpiących. Poderwał się z ziemi i ruszył w kierunku parkingu, na którym zostawił samochód. Chciał jak najszybciej dotrzeć na ulicę Fałata, znaleźć się w ocienionej willi. Przed wszystkim jednak pragnął porozmawiać ze stryjem. Nawet nie przypuszczał, że jego krewny od dłuższego czasu nie myśli o niczym innym.

\*\*\*

Stryj siedział za stołem z matowym wzrokiem utkwionym w oknie. Na widok bratanka ocknął się z głębokiego zamyślenia. Ruchem ręki nakazał mu

zajęcie miejsca po przeciwnej stronie stołu. Werens natychmiast wykonał polecenie. Jego twarz i drzenie rąk zdradzały zdenerwowanie. Siedzieli w milczeniu, patrząc jeden na drugiego całą niemożliwie długą minutę. Jakby to, co mieli sobie za chwilę powiedzieć, było na tyle niewiarygodne, że żaden nie potrafił jako pierwszy rozpocząć rozmowy. Wreszcie stary wolno wycedził:

- Na tym stadionie nie zgadzała się tylko jedna rzecz. Acta martyrum mówią o śmierci Polikarpa dnia dwudziestego drugiego lutego. Nie dawało mi to spokoju. Myślałem o tym długo. Aż do dzisiaj... Przypadek. Głupi przypadek. Wiesz, że lubię sport. No, nie czynny, ale... Lubię sobie popatrzeć w telewizor. Wczoraj wieczorem chciałem obejrzeć ligę światową siatkarzy. Graliśmy z Brazylią w Rio. Mecz zaczął się o północy. Ale u nich dopiero była dwudziesta.

- Nie bardzo rozumiem związek. Co to ma do daty mordu?

- Właśnie! Człowiek czasem ma dziwaczne skojarzenia.

- Jak rozumiem, stryj miał takie skojarzenie.

Stary Werens uśmiechnął się szeroko, ukazując pożółkłe zęby.

- Dwudziesty drugi lutego z kalendarza prawosławnego to dokładnie...

- Dwudziesty szósty stycznia?

- Tak, mój drogi! To dwudziesty szósty stycznia w naszym kalendarzu!

Dziennikarz poderwał się od stołu. Ruszył w kierunku gospodarza.

- Stryju! Jesteś wielki!

- To nie ja. To siatkówka. Szkoda tylko, że przegraliśmy.

- Innym razem się odegramy. Teraz co innego jest ważne. Nie wierzyłem w te opowieści o aktach. Ale odszczekuję wszystko. Stryju, ja odnalazłem tych dwunastu zabitych. To są tarcze imitujące ludzi. Teraz cała ta historia nabiera sensu. Układa się w jakąś mroczną opowieść. Ktoś zabił tego starego człowieka w taki sposób, że odtworzył historię sprzed wieków. Tylko w

jakim celu to zrobił? I dlaczego wsadził mu w usta motyla? Już wiem, co to za motyl. Nie wiem tylko nic o tych tajemniczych znakach.

- O znakach gnostyckich?

- Właśnie. O tych znakach. O ich twórcach, o gnostykach. Proszę cię, stryju, o pomoc. Opowiedz mi o tych ludziach. Co to za jedni? Czuję, że to może być mój życiowy materiał.

- Chcesz o tym napisać w poważnej gazecie? O jakichś znakach? Męczennikach? Toż jeszcze wczoraj drwiłeś ze mnie.

- Stryju, nie żartuj! Odszczekuję wszystko! Mów! Mów jak najwięcej! Chcę znać każdy szczegół!

- O, to coś nowego. - Stary Werens poprawił ułożenie łokci na stole i uśmiechnął się z pobłażaniem. - No to posłuchaj. Ale wpierw sięgnij do kredensu po kieliszki.

Werens natychmiast wykonał polecenie, co jak nic oznaczało kolejne kłopoty i eskalację konfliktu z Elizą. Teraz to ona dokona na nich mord. Niewykluczone, że rytualnego...

- Od pewnego czasu jestem zdania, że chrześcijaństwo zawłaszczyło sobie obraz Boga - zaczął stryj. - Od początku przeceniano nadmiernie rolę Jezusa. Jakim sposobem przywódca religijny zamienia się w mesjasza? Dlaczego? Bo nie docenia się społecznych i kulturowych wydarzeń wtedy następujących. Chrześcijanie ze swoją wizją Jezusa jako mesjasza a uboga wiejska ludność Galilei to dwie różne grupy. Ci pierwsi głoszą ideę, wedle której Jezus staje się Bogiem. Przez wieki wtłaczano ludziom do głów taki obraz i on się utrwalił. Ale byli i tacy, którzy myśleli zupełnie inaczej. W pierwszym i drugim wieku naszej ery na wschodzie cesarstwa rzymskiego, głównie w Egipcie i Syrii, zaczęły powstawać ruchy religijne i nowe doktryny.

- Czy stryj ma na myśli gnozę?



- Sama gnoza ma oznaczać wiedzę, która da człowiekowi zbawienie, no i wyzwolenie.

- Czy ta wiedza dotyczy powstania świata? - zapytał Werens, co wyraźnie ucieszyło byłego duchownego. Spojrzał na niego z uśmiechem i po chwili kontynuował:

- Oczywiście. Ale z tym powstaniem świata to różnie bywa. Każdy system gnostycki przedstawia inną wersję. Ale zawsze takiemu powstaniu towarzyszył lęk, błąd lub też lekkomyślność. Czasem mówi się, że świat został stworzony za plecami Boga. Tak to bywa, Pawle, kiedy brakuje umiejętności i wiedzy dostępnych jedynie Najwyższemu. Materia, z której świat stworzono, też pozostawia wiele do życzenia. "Świat powstał z fałszywego kroku", twierdzą niektórzy gnostycy. A co za tym idzie - jest chaotyczny, zły i nieuporządkowany. Pochodzi zatem od złego Boga. Ten Bóg w dziele stworzenia kierował się pychą i gniewem. A Chrystus przyszedł na świat, żeby tego złego Boga pokonać. Gnoza jest zatem przepojona wizją walki bogów. To też dziesiątki, jeśli nie setki sekt i herezji, każda z inną wizją świata.

- Mówił stryj o zbawieniu. Jak je osiągnąć?

- Gdybym to ja teraz wiedział! Jak wiesz, zostałem wyrzucony ze wspólnoty... to znaczy odszedłem. Ale teoretycznie, gdybym był gnostykiem, jedyną drogą do zbawienia mojej marnej osoby byłoby zdobycie tajemnej wiedzy zwanej gnosis. Chociaż z tym zbawieniem to jest różnie...

- Nie rozumiem?

- Tacy na przykład nietowcy, kiedy dochodzili do wniosku, że osiągnęli doskonałość duchową, ścinali się nawzajem toporami. Pomorcy z kolei zakopywali się w ziemi całymi gminami. Skopcy kastrowali się nawzajem, a kobietom usuwali piersi. Morielszczycy zawijali się w całuny i sypiali w trumnach. Niepojęte, mój drogi, są sposoby dochodzenia do doskonałości...

- To jakiś żart!

- Ależ skąd! Mówię tu o sektach z Kościoła Wschodniego, ale i na Zachodzie działy się ciekawe rzeczy. Orleańczycy w jedenastym wieku na ten przykład uznali stworzenie świata, narodziny Chrystusa i zmartwychwstanie za jedną wielką bzdurę. Cudów nie ma, świat jest wieczny, a świętych nie należy czcić. Podobno na swoich zebraniach nieźle się zabawiali. Domyślasz się, co mam na myśli? I jak to często bywało, za te swoje pomysły zostali wszyscy spaleni.

- A kto posiada w takim razie tajemną wiedzę?

- Zdaje się, że tylko wybraniec boży.

- A kto nim może być?

- O, to trudne pytanie. Taki ktoś ma kontakt z Bogiem. Posiada wiedzę boskiego pochodzenia. Nie może ona być przekazana człowiekowi przez nauczycieli albo tekst, a jedynie przez bezpośredni kontakt z boskością.

- Jaki to rodzaj kontaktu?

- Kolejne pytanie bez odpowiedzi. Ja tego nie wiem.

- A jaki stosunek gnostycy mają do ciała? Co sądzą o morderstwie?

- Pytasz ze względu na te krwawe zdarzenia, jak rozumiem? O, to jeszcze trudniejsza sprawa. Gnostycy, w przeciwieństwie do mnie, uważają, że ciało jest czymś złym. Nie uznają jego zmartwychwstania. Głoszą teorię wędrówki dusz, zwaną metempsychozą.

- Czyli inaczej mówiąc, ciało jest czymś złym i Bóg też jest zły.

- Jakaż smutna refleksja. - Mariusz uśmiechnął się ironicznie. - Człowiek stoi w obliczu absurdu. Tylko się upić!

Młody Werens sięgnął po butelkę. Wypili równocześnie po kieliszku.

- Pamiętam ze szkoły, że Platon i pitagorejczycy głosili, że ciało jest więzieniem dla duszy...

- U gnostyków dusza, pragnąc rozkoszy, upadła na ziemię. Człowiek to

upadły Bóg. Jesteśmy bogami, Pawle. Upadłymi, bo upadłymi, ale zawsze bogami!

- Co się dzieje z tą duszą?

- Na ziemi spotkała się ze złym ciałem. Brrrr!

- Chyba nie lubili swoich ciał...

- Głosili skrajny antyseksualizm. Głosili wyzwolenie. Wyobrażasz sobie?! Skrajny antyseksualizm! - Stryj Pawła lekko już zaciągał. Alkohol robił swoje.

- Dlaczego mówimy o nich w czasie przeszłym? Co się stało z tymi doktrynami?

- Jak to w życiu. Większy pożera mniejszego. Z większością rozprawiono się mieczem i ogniem. Inne zeszły do głębokiego podziemia. Niektóre zaś w szóstym wieku wchłonął manicheizm ze swoim dualizmem. Ten z kolei głosił, że w świecie toczy się nieustanna walka dobra ze złem. Światła z ciemnością. W człowieku są dwie dusze. Jedna związana z dobrem, druga ze złem. Zło jest wszędzie i jest wieczne. W kosmosie pierwiastki dobra i zła nieustannie walczą ze sobą. Przeszłość była złotym wiekiem, kiedy te pierwiastki wzajemnie współistniały. Potem przyszedł czas wymieszania pierwiastków dobra i zła, ich walka o dominację. Przyszłość przyniesie oczyszczenie, rozdzielenie wyznawców światła i ciemności. Dobra i zła.

- Jak pokonać zło?

Teraz stryj spoważniał. Jakby ostatnie słowa bardzo go poruszyły. Długo się zastanawiał, by wreszcie powiedzieć:

- Jediną drogą do pokonania zła jest poznanie. Zbawienie można osiągnąć tylko poprzez rozum. Historia świata polega na ciągłym uwalnianiu duszy z ciemności ku światłości.

- Gdzie przebywa dusza?

- W ciemności.

- Czy ciemnością może być ciało człowieka?

Młody Werens nie otrzymał odpowiedzi. Wszystko, co usłyszał, było jakieś niepojęte, mroczne i tajemnicze. Dotychczasowy czarny humor stryja i jego nagła powaga wcale nie sprawiły, że Paweł poczuł się lepiej. Próbował tę wiedzę zestawić ze śmiercią Gestera. Czy w taki okrutny sposób dokonało się jego zbawienie? Stryj mówił o tym, że grzechem był dla tych ludzi kontakt z materią. Co to mogło oznaczać? Że nie przepadali za swoimi ciałami i je niszczyli?

- Skąd to wszystko wiadomo? - zapytał po dłuższej chwili, w której trakcie stryj patrzył za okno.

- Z pism natchnionych, mój drogi bratanku. Z apokryfów. Ewangelii. W większości nieuznawanych przez Kościół.

- Słowem, to są herezje?

- Twórcy doktryn gnostyckich często tworzyli sekty. Enkratyci, antytakci, kainici i wiele innych... Pisali własne ewangelie. Judasza, Marii Magdaleny, Filipa, Tomasza...

- A Biblia? Kto ją zebrał? Jak to się stało, że jedne teksty uznano za natchnione, a inne głosiły herezję?

- Powstała Wulgata.

- A co to takiego?

- Wulgata albo Verso Wulgata to przekład Biblii z greckiego i hebrajskiego na łacinę. Papież Damazy Pierwszy zlecił wykonanie przekładu Hieronimowi ze Strydonu. To był pracowity człowiek. Dokonał tego po ponad dwudziestu latach pracy. Zakończył swe dzieło w czterysta szóstym roku naszej ery. Przez wieki był to powszechnie używany tekst Pisma Świętego.

- Był?

- Potem pojawiły się problemy, ale to temat na osobną rozmowę.

- A jaki związek z morderstwem, które zostało popełnione na stadionie, ma gnostycki znak krzyża? - Werens powrócił do sprawy zabójstwa starego policjanta.

- Tego nie wiem. Wiem za to, że podobna zbrodnia wydarzyła się wiele wieków temu. I jeszcze coś ci powiem. Ten mord na lekarzu, o którym mi mówiłeś...

- W domu jednego z pacjentów, w sypialni.

- Tak, w sypialni. To spalenie prądem na rozpalonych drutach też mi się z czymś kojarzy. Z pewnym mordem dokonany w trzecim wieku.

Werens wstrzymał oddech.

- Ten mord - ciągnął stary ksiądz - został dokonany na świętym Wawrzyńcu. W Rzymie został on umęczony na rozżarzonej do czerwoności kracie przypominającej ruszt.

- Co?! To niemożliwe! - Werens poderwał się z siedzenia, a w następnej chwili rozlał zawartość pełnego kieliszka. - Czy to się stało latem?

- Tak, w sierpniu. W roku dwieście pięćdziesiątym ósmym naszej ery.

- Niech mi stryj nie mówi, że...

- Dziesiątego sierpnia. Tego samego dnia, ale nieco później zamordowano na drutach od materaca twojego lekarza.

## 6 lutego 1978, poniedziałek

W tajnej celi barczewskiego więzienia, zwanej przez oprawców "kantówką", było trzech ludzi. Karcer zawdzięczał swą nazwę zaostrzonym cegłom na podłodze, na którą z góry lała się lodowata woda. Na środku niewielkiego pomieszczenia stał drewniany, ciężki stół, przy którym siedział szczupły mężczyzna z delikatnymi palcami, teraz rytmicznie ostukującymi podniszczony blat. Drugi z mężczyzn, garbus ze zniszczoną prawą stroną twarzy, odpoczywał. Stał przy otwartym oknie z papierosem w ustach. Trzeci mężczyzna leżał zwinięty w embriion w kałuży wody zmieszanej z krwią i moczem. Kiedy garbus skończył palić, spojrział pytającym wzrokiem na mężczyznę siedzącego za stołem. Tamten nieznacznie skinął głową, a wtedy oprawca ruszył z niedopałkiem do leżącego i zagasił papierosa na jego wardze. Pomieszczenie wypełnił swąd palonej skóry. Garbus podszedł do rozwartej na całą szerokość szafy, w której stały w stelażach cztery karabiny. Z jednego z nich wyciągnął długi, sztywny drut, zwany wyciorem. Przedmiot ten służył do czyszczenia lufy karabinu. Garbus znalazł jednak inne zastosowanie dla metalowej witki. Wziął potężny zamach i uderzył leżącego w boscie stopy. Tamten zawył z bólu i podkurczył kolana do brody. Garbus uderzył go ponownie i jeszcze raz. Ze stóp popłynęła krew. Oszalały z bólu człowiek zawył przeraźliwie, ale nie zadowoliło to oprawców. Oni oczekiwali szczegółowej odpowiedzi na zadane na początku przesłuchania pytanie. Zanim garbus zabrał się za cięcie bosych stóp katowanego, bił go pięściami po twarzy, powybił mu zęby, kopał po żebrach, głowie i brzuchu. Miażdżył ofierze palce u nóg i rąk podkutymi buciorami. Tłukł jego głowę o ścianę, a gdy i to nie dało rezultatu, z krawędzi stołu odciął nożem długą drzazgę, którą wbijał pod paznokcie przesłuchiwanego. Kiedy tamten mdlał,

wylewał na niego kubek zimnej wody i nakazywał, żeby wstawał. Zmuszał go do wykonywania niezliczonej liczby przysiadów. Był to kolejny dzień przesłuchań. Wcześniej bliski śmierci mężczyzna był bity po głowie ciężkimi kluczami. Wzywano go na "konwejer" - wielogodzinne, nocne przesłuchania. Stawiano go twarzą do ściany i w tej pozycji trzymano przez całą noc. Kiedy mdlał, polewano go lodowatą wodą. Prowadzono go do celi, w której garbus wyciągał rewolwer i przystawiał mu go do potylicy. Odbezpieczał broń i pociągał za spust. Rewolwer nie był nabity, ale na torturowanym robiło to przerażające wrażenie. Mocz płynął po jego nogawkach i bosych stopach. Kat nakazywał mu go zlizywać wraz z pokruszoną cegłą. Wszystko po to, aby bity zdradził informację niezbędną do zrealizowania planu.

- Bracie - powiedział zmęczony garbus - on nic nie wie. Nikt by tego nie wytrzymał. Znam się na tej robocie.

- Na to wygląda. - Mężczyzna za stołem podniósł się z krzesła i ruszył w kierunku ciężkich drzwi.

- To co z nim robimy?

- A za okno z nim - powiedział ze spokojem ten, który stał już przy drzwiach.

Przerażony i półprzytomny człowiek próbował podnieść się z klepiska. Rozpaczliwie machał połamanymi kończynami. Garbus pochwycił go pod pachy i pociągnął w kierunku okna. Tamten jakby odzyskał siły do walki, wyszarpnął się oprawcy i zrobił krok w kierunku wyjścia. Szczupły człowiek przy drzwiach pokręcił z dezaprobatą głową, cofnął się i precyzyjnym kopniakiem w brzuch powalił katowanego. Potem z garbusem przełożyli ciało ofiary przez parapet.

- W życiu, Szulc, trzeba spróbować wszystkiego, jak mówi Pismo. Nie chcesz nic powiedzieć? Nie to nie. Powie kto inny. Ja się nazywam Gesler. Rajmund Gesler. Mówię ci to dlatego, że nikomu tej wiedzy nie zdradzisz.

Chyba powinieneś wiedzieć, kto cię zabije. A teraz, przyjacielu, zobaczmy, jak daleko polecisz.

Ofiara ostatni raz rozwarła napuchnięte, zalane krwią oczy. Gesler dostrzegł w nich pogardę. "To ci bohater", pomyślał i wypchnął z okna okaleczonego człowieka. Po sekundzie przez betonowy dziedziniec przetoczył się huk roztrzaskiwanego ciała.



## 17 sierpnia 2004, wtorek

Werensa obudził dzwonek telefonu komórkowego. Zakrył głowę poduszką, ale natarczywy dźwięk nie dawał za wygraną. Wstał zatem z łóżka, w którym spał pierwszy raz od chwili przyjazdu. Poprzednie noce spędził na balkonowym fotelu. Ale wczorajsza rozmowa wprawiła go w tak dobry nastrój, że podarował sobie wieczorne uzalanie się nad sobą. Było mu dobrze. Czuł, że wyjaśnienie sprawy staje się coraz bliższe. Utwierdził go w tym telefon, który wreszcie odebrał.

- Halo - usłyszał starczy głos. Mówiła kobieta. - Czy pan Werens?

- Tak, to ja. Słucham?

- Pan dzwonił do nas wczoraj...

- Nie bardzo rozumiem...

- Wnuczka odebrała...

Teraz już wiedział, o co chodzi. To jeden z tych telefonów, które wykonał w sprawie Molaka. Prawdopodobnie zamordowanego w 1977 roku w okolicach Drogoszy.

- A, już wiem. To ta miła dziewczynka... Proszę pani - rozbudził się na dobre - czy jest pani w jakiś sposób spokrewniona z Edwardem Molakiem? Szukam jego krewnych. Jestem dziennikarzem, piszę materiał o sprawie jego śmierci.

W tym momencie kobieta się rozłączyła. Werens zrozumiał, że trafił pod właściwy adres. Już miał do niej dzwonić, kiedy usłyszał dzwonek swojego telefonu. Kobieta odezwała się ponownie. Jej głos był smutny, jakby zawstydzony.

- Proszę pana, to nie jest rozmowa na telefon.

- Ja bardzo chętnie się z panią spotkam. Proszę tylko podać godzinę i

miejsce.

Wahała się chwilę, by wreszcie powiedzieć:

- Zatem dobrze. Za dwie godziny, w kawiarni "Staromiejskiej". Czy wie pan, gdzie to jest?

- Tak, wiem. Dziękuję! Będę na pewno!

Śniadanie zjadł w pędzie. Stryj patrzył na niego nic nierozumiejącym wzrokiem. Nawet zwyczajowo chłodna Eliza zapytała go o nadzwyczajny pośpiech. O dziwo, ich kolejny wieczór z alkoholem nie zrobił na niej wrażenia. Ale może był to pozór? Czyżby szykowała się do decydującego natarcia? Teraz ucieszyła go jej troska, ale nie miał czasu na wyjaśnienia. Przed wyjściem przypomniał sobie sprawę, o którą nie zdążył zapytać stryja wczorajszego wieczoru. Stojąc w progu, zwrócił się do niego z pytaniem:

- Czy może mi już stryj powiedzieć, co znaczą słowa: Smaragdus albo Teodol?

Nie otrzymał odpowiedzi.

Pognał do samochodu i po chwili jechał w kierunku Starówki, na której znajdowała się "Staromiejska". Z tego wszystkiego zapomniał zapytać kobietę, jak się rozpoznają. To mógł być problem. Co wtedy zrobi? Nie zadzwoni przecież do niej, będąc już na miejscu. Ona też jest w drodze. Miał jeszcze kwadrans do umówionej godziny spotkania, kiedy zajął miejsce przy ustawionym na zewnątrz stoliku. Pomimo wczesnej pory większość stolików była zajęta, a to za sprawą wycieczki niemieckich turystów, których latem w mieście są tysiące. Pomyślał, że teraz nie ma szans, aby wyłowić z tłumu starców tę właściwą osobę. Ale mylił się. Po pięciu minutach podeszła do niego elegancka starsza pani w jasnym, bawełnianym kapeluszu i białej sukni do kostek. Stała naprzeciwko i zapytała przelęknionym głosem:

- Czy pan Werens?

- Tak. - Paweł odetchnął. - Jak mnie pani poznała? - Poderwał się z krzesła

i podsunął jej stojące obok. W następnej chwili zawołał młodziutką kelnerkę.  
- Czego się pani napije? - zapytał starszą panią.

Kobieta poprosiła o sok porzeczkowy.

- Nazywam się Zofia Molak. Jestem wdową po Edwardzie Molaku.

Werens był wyraźnie poruszony. Czuł, że za chwilę dowie się czegoś, co nada jego dziennikarskiemu śledztwu rozpędu. Wcześniej bronił się przed tego typu określeniami. Dziennikarskie śledztwo... Miał napisać reportaż o panice wśród plażowych ręczników. O serii tajemniczych mordów i działających na wyobraźnię motylach znajdujących w ustach ofiar psychopatycznego mordercy. Ale stało się inaczej. Werens nieświadomie zaczął prowadzić śledztwo. Po nitce wędrował do kłębka. Rozwijał kokon, w którym siedział morderczy jedwabnik.

- Paweł Werens. Dziennikarz z Warszawy. Pracuję dla "Wieści".

- Jak na kogoś z zewnątrz łatwo pan odnalazł tę restaurację. - Werens poczuł, że kobieta się czegoś wyraźnie boi. Sprawdza go. Dlatego uśmiechnął się najszczerzej, jak potrafił, i powiedział:

- Pochodzę stąd. Maturę zdawałem w "Dwójce", na Małków.

- Znam to liceum - sondowała go dalej. - Mój ojciec zdawał tam maturę w tysiąc dziewięćset dwudziestym piątym roku...

- Tak? - Werens nie dał się podejść. Jak każdy absolwent "Dwójki", szkoły z najwyższym współczynnikiem uczniów dostających się na studia, znał historię swojej szkoły. Dlatego powiedział: - To chyba mało prawdopodobne. W roku tysiąc dziewięćset dwudziestym piątym szkoła była żeńskim Städtische Oberlizeum, czyli Miejskim Wyższym Liceum, po którym przyznawano "małą maturę". Pani ojciec nie mógł zatem do niej chodzić. No, chyba że w charakterze nauczyciela. - Wiedział, że zdał egzamin. Potwierdzał to wyraz twarzy starszej pani. Uśmiechnęła się delikatnie i powiedziała:

- Rzeczywiście, ojciec pracował tam jako młodziutki nauczyciel niemieckiego.

Po tym krótkim badaniu uczciwości Werensa kobieta przeszła do istoty sprawy, czyli śmierci męża. Nie robiąc zbędnych wstępów, powiedziała:

- Proszę pana, ta sprawa ciąży mi od blisko trzydziestu lat. Mój mąż, Edward, był bardzo niebezpiecznym i złym człowiekiem. Tak, nie przesłyszał się pan. Dlaczego to panu mówię? Zaraz dojdę i do tego. Poznałam go w sześćdziesiątym pierwszym. Był już wtedy wysokim rangą oficerem wojska. Ale nie takiego normalnego wojska. Edward był majorem kontrwywiadu. Nazywało się to Wojskowa Służba Wewnętrzna. Czy pan wie, co to jest kontrwywiad?

- To przeciwdziałanie szpiegostwu?

- Tak. To tropienie szpiegów, ochrona przed dywersją i sabotażem.

- Proszę mówić dalej. - Werens w skupieniu słuchał słów kobiety. Uprzejmie podał jej chusteczkę, którą wytarła spoconą szyję.

- Teraz mamy inny ustrój, demokrację. Mogę o tym mówić, chociaż nie bez obaw. To, co chcę panu powiedzieć, ciąży mi na duszy. Nie zdradzę tu żadnych tajemnic wojskowych. Bo ich nawet nie znam.

- Co pani mi chce powiedzieć? I w jakim celu?

- Chcę, aby pan wiedział, że mojego męża zamordowali ludzie, z którymi się zadawał.

- Wojskowi?

- Nie tylko. Różni ludzie. Z pierwszych stron ówczesnych gazet. Dygnitarze. Mogę przypuszczać, dlaczego to zrobili. Jedno wiem na pewno, to byli oni.

Werens wiedział, że teraz, po tym wstępie, usłyszy to, co najważniejsze. Tak też się stało, bo stara kobieta spojrzała mu głęboko w oczy i powiedziała cicho:

- Czasami znikał na dzień, a właściwie na noc. Myślałam, że to sprawy służbowe, i nie protestowałam, chociaż moje serce, serce młodej mężatki, krwawiło. To się stało w roku siedemdziesiątym siódmym. Wrócił rano zupełnie nieprzytomny. Śmierdział wódką i papierosami. Pomyślałam, że wykonywał jakieś trudne zadanie. Spał, a ja postanowiłam wyprać jego rzeczy. Wtedy znalazłam w torbie jakiś dziwny kostium z kapturem. To nie był strój do łapania szpiegów. A najgorsze dopiero miałam odkryć. To były zdjęcia. Teraz mówi się w mediach o takich zdjęciach, że to dziecięca pornografia. To był szok. Te zdjęcia były obrzydliwe. Straszne. - Kobieta wypila łyk soku, jej dłonie drżały. Werens chwycił ją za rękę i uścisnął. - Dziewczęta i chłopcy, nadzy. Na podłodze, stołach, krzesłach. I ci zboczeńcy... Wszędzie! I wie pan co? Według mnie te dzieci też były pijane. Wtedy tak myślałam. Teraz wiem, że były pod wpływem jakichś narkotyków... Nie powiedziałam mu niczego. Czekałam cierpliwie. Po miesiącu powiedział mi, że ma ważny wyjazd i nie wróci na noc. Zniknął też ten kostium, który schował do pawlacza. Wiedziałam, że znowu jedzie, by to robić. Mieliśmy fiata. Wsiadłam do samochodu i pojechałam za jego służbową wołgą. Jechałam dosyć długo, może dwie godziny. Za Kętrzynem wyjechałam na jakąś wąską, mało uczęszczaną drogę. Przemieszczałam się na północ. Minęłam jakąś wieś i zatrzymałam się przed wielkim pałacem. Nie myliłam się. Zostawiłam auto w parku i pieszo dotarłam do okien.

- I co? Co pani tam zobaczyła? - Werens czuł, że jego tętno bije zdecydowanie szybciej niż zwykle.

- Najpierw rozmawiali. Siedzieli za długim stołem. Kilkunastu mężczyzn w kapturach. To była stara kaplica. Już myślałam, że to się nie stanie, ale wtedy jeden z nich, taki siedzący u szczytu, zwracali się do niego Montalto, klasnął w dłonie i do sali wbiegły nagie dzieci. Dziewczynki i chłopcy. Nie mogę mówić dalej, pan wybaczy...

Werens jeszcze mocniej zacisnął dłoń kobiety w swojej. A kiedy to robił, spostrzegł, że przy sąsiednim stoliku siedzi człowiek, który wyraźnie ich obserwuje. Czyni to wyjątkowo nieudolnie. Niby czyta gazetę, ale Werens nie dostrzegł, aby przez całą jego rozmowę z majorową ten mężczyzna przełożył stronę, nawet jego wzrok tkwił stale w tym samym miejscu. Ten człowiek ich śledził. Mimo wszystko dziennikarz nie dał po sobie poznać, że to widzi. Kiwał głową, słuchając słów kobiety. Starał się zapamiętać każde jej zdanie. Niczego nie zapisywał, również nie nagrywał. Kobieta ze łzami w oczach mówiła dalej.

- Uciekłam stamtąd. Nie pamiętam, jak dojechałam do domu. Nie wiedziałam, co zrobię, kiedy rano stanie w drzwiach. Chciałam go zabić. Chciałam, żeby już nigdy się nie pojawił. Stało się inaczej. Wrócił. Znowu śmierdział wódką. Właściwie to ciągle był pijany. Odczekałam, aż zaśnie, i poszłam do znajomego prawnika. Tak jak on w tajemnicy przede mną robił te wszystkie świństwa, tak i ja w sekrecie postanowiłam przygotować pozew rozwodowy. Nie mogłam z nim być pod jednym dachem nawet chwili dłużej. Umówiłam się z tym adwokatem na następny tydzień. Wróciłam po rzeczy i córkę. On ciągle spał. Zamieszkałyśmy u mojej matki. Nachodził mnie wielokrotnie. Pytał, dlaczego odeszłam. Drań. Dobrze wiedział. Nie mogłam mu odpowiedzieć. Mówienie o tym było bólem nie do zniesienia. I wciąż tylko o tym myślałam... Te niewinne, nieprzytomne, nagie dzieci... Panie Werens, ta rozmowa to moja spowiedź. Już dłużej nie mogę tego dusić w sobie. Kiedy wnuczka powiedziała mi o pańskim telefonie, czułam, że to może chodzić o Edwarda. A kiedy dzisiaj powiedział mi pan, że pisze o tej sprawie, wpiersz się przestraszyłam i rozłączyłam połączenie. Ale zaraz potem pomyślałam: jeżeli nie teraz, to chyba nigdy! Nawet ksiądz, u którego się spowiadam, nie zna tej tajemnicy... Dzisiaj wyrzucam ją z siebie. Miesiąc po mojej wyprowadzce wyczytałam informację w gazecie o jego śmierci.

Zdziwiło mnie to bardzo, bo tajne służby pilnie strzegą swych tajemnic. Dotarłam nawet do tego dziennikarza, który zamieścił notatkę, bo to była ledwo notatka. Kilka zdań. Powiedział mi, że potem miał wiele kłopotów. Tę informację otrzymał ze szpitala w Kętrzynie, gdzie zawieźli ciało Edwarda. Pojechałam też do tego szpitala. Nawet mi go nie pokazali. Na pogrzebie trumna była szczelnie zamknięta. Nie wiem, w jakim stanie było ciało. Jako przyczynę śmierci podali wychłodzenie organizmu... Jego służbowy kierowca twierdził, że tamtego dnia miał wolne... kłamał jak oni wszyscy. Dobrze wiem, gdzie go zawiózł.

Werens patrzył na nią smutnym wzrokiem. Żał mu było zdradzonej kobiety. Tyle lat ukrywała straszną tajemnicę. Nie mogła nikomu o niej powiedzieć.

- Pani w dalszym ciągu nazywa się Molak...

- Nie zdążyłam się rozwieść. Mam po nim dobrą emeryturę wojskową... Chociaż tak mi wynagradza zło, którego się dopuścił za życia...

- Rozumiem.

Werens wstał od stolika, kobieta uczyniła to samo. Pocałował ją w rękę.

- Dziękuję panu, że mnie pan wysłuchał. Blisko trzydzieści lat dusiłam to w sobie.

- To ja pani dziękuję.

Patrzył, jak bierze torebkę, poprawia kapelusz, wcześniej ocierając z policzków łzy. Majorowa ruszyła w kierunku katedry. W chwili gdy wstawała, mężczyzna za nimi również uniósł się z krzeselka. Werens kątem oka widział, jak daje jakieś znaki kierowcy ciężarówki z meblami wolno sunącej od strony Starego Ratusza. Kobieta truchtała przed siebie, w pewnej chwili przystanęła na środku wybrukowanej uliczki, poprawiała zapięcie torebki. Ciężki samochód nabierał prędkości. Człowiek z gazetą teraz już wyraźnie wskazywał na kobietę, która wciąż stała nieruchomo na bruku.

Werens zaczął biec w jej kierunku. Zdążył tylko krzyknąć: "Niech pani uważa!", kiedy pięciotonowa ciężarówka zmiotła ją z ulicy i cisnęła o szybę wystawową jubilera. Uniesione w powietrzu ciało z wielką siłą przebiło szkło i bezwładnie runęło na zasypaną biżuterią i złotymi zegarkami podłogę. Dziennikarz odruchowo skierował wzrok w kierunku mężczyzny z gazetą. Zniknął, nie było po nim śladu. Podobnie jak i po ciężarówce, która z wielką szybkością przejechała obok Wysokiej Bramy, rozbiła ozdobne bariery i skręciła w lewo, po czym pognęła w dół ulicą Nowowiejskiego. Zostawiła za sobą ślady krwi i zdumionych gapiów, którymi w większości byli niemieccy turyści w wieku zabitej majorowej.

Roztrzęsiony Werens podbiegł do leżącej w sklepie martwej kobiety. Nic już nie mógł pomóc.

Powoli zbiegali się gapie. Szczelnym kręgiem otoczyli bladego mężczyznę, którego kolor skóry ponuro kontrastował z czerwienią ramion zabitej. Klęczał obok niej dłuższą chwilę. Potem odsunięto go na bok. Pojawiła się karetka pogotowia, a wraz z nią patrol policji.

- Czy ktoś z państwa widział całe zajście? - zapytał policjant.

Zgłosiło się kilka osób, w tym Werens. Poproszono go o zajęcie miejsca w radiowozie. Spisano jego dane osobowe i numer telefonu. Miał otrzymać wezwanie do złożenia zeznania. Kiedy wysiadł z samochodu, ciało kobiety okrywało płótno. Pojawili się też kolejni policjanci i technik z aparatem. Werens nie czekał, aż zabiorą ciało. Ruszył w dół, w kierunku mostu Jana. Potem skręcił w lewo, na parking. Kiedy dotarł wreszcie do auta, wyrzucił w niebo ciąg paskudnych przekleństw. Ktoś wybił mu przednią boczną szybę. Odkrył brak torby z notatkami i aparatu. Dlaczego jej nie zabrał ze sobą? Nigdy się z nią nie rozstawał. Do dzisiejszego dnia... Nie wierzył w przypadkową kradzież. Był środek dnia. Plac zapełniały dziesiątki aut. Żaden złodziej, nawet najgłupszy, nie ryzykowałby wpadki. Werensa utwierdził w



tym przekonaniu fakt, że złodziej nie ruszył dobrej klasy radia, które zostało na swoim miejscu. Coś mu mówiło, że kradzieży dokonali ci sami ludzie, którzy pół godziny wcześniej śledzili ich, a potem zamordowali majorową.

Rozejrzał się dookoła. Czuł, że jest uważnie obserwowany. Może to ten człowiek, który teraz patrzy na niego z czerwonego subaru? A może mężczyzna stojący przy kiosku z gazetami? Wpadł w panikę. A jeżeli to on będzie następny? Dowiedział się o rzeczach, które nigdy nie miały ujrzeć światła dziennego. Molakowa zginęła w chwili, gdy zdradziła mu swą tajemnicę. Gdyby milczała, pewno by żyła. Werens czuł się winny. Po co do niej dzwonił? Ta tajemnica prowadziła do pałacu w Drogoszach. To tam spotykali się w latach siedemdziesiątych tajemniczy ludzie w kapturach. Ci sami, którzy zamordowali męża Molakowej. A jeśli to oni zabili dzisiaj tę kobietę? To by znaczyło, że działają dalej. Spotykają się w dalszym ciągu. Tylko jak to sprawdzić? Musiał pozbierać myśli. Z kimś o tej sprawie porozmawiać. Jediną osobą, której ufał, był stryj. Werens ruszył zatem do willi przy Fałata.

\*\*\*

Stryja zastał w salonie, zadumanego nad jakimiś papierzyskami. Prawie na niego wpadł. Za ramię pociągnął do domowej biblioteki, zamknął drzwi od środka. W możliwie pełny sposób opowiedział mu o porannych wydarzeniach. O rozmowie z majorową, jej wielkiej tajemnicy i brutalnym zabójstwie. Bo to była egzekucja, nie ulegało wątpliwości. Te informacje poruszyły starego księdza. Długo milczał, by wreszcie powiedzieć:

- Niestety, nie mogę powiedzieć ci niczego dobrego. Wygląda na to, że morderca bądź mordercy dokonali kolejnej zbrodni nawiązującej do męczeńskich śmierci przyszłych świętych. Smaragdus i Teodol należeli do słynnego dwunastego legionu rzymskiego, zwanego Fulminata, czyli Błyskawica. Wyznawali oni, podobnie jak blisko czterdziestu innych, wiarę

w Chrystusa. Bardzo mocno musieli podpaść, bo aresztowano ich z rozkazu samego cesarza Licyniusza. Agrykolaus, tamtejszy namiestnik, wtrącił ich do więzienia. Tu zaczyna się typowy spektakl przemocy i okrucieństwa. Na początek żołnierze byli bici po twarzach kamieniami. Krew lała się po ich twarzach, sypały się zęby. Sadyzm jakich mało. Ale to nie wszystko. W zimową noc rozebrano ich do naga i zaprowadzono na oblodzony staw. Mieli tam zamarznąć. Oczywiście, była też szansa na przeżycie. Tuż obok stała ogrzewana łaźnia. Mieli wybór. Wyrzekną się wiary, zostaną uwolnieni i przeprowadzeni do tej łaźni. Ale żołnierze byli zdeterminowani. Tylko jeden z nich nie wytrzymał mrozu i pobiegł do łaźni. Natychmiast w jego miejsce zgłosił się odźwierny. Bo ważna w tym wszystkim jest liczba czterdzieści. Oznacza ona czterdziestodniowy post Chrystusa.

- Co się stało z tymi żołnierzami?

- A jak myślisz? Zaproszono ich na grzane wino? Zrobiono to co zwykle. Połamano im nogi kijami. Tak poumierali. Zwłoki załadowano na wozy. Ciała miały zostać spalone...

- Człowiek znaleziony w bmw zamarzł. Zamrożono go gaśnicą... Ludzie zeznali, że wszędzie czuć było zapach benzyny... Morderca nie zdążył widocznie spalić ciała. Wóz zastąpił elegancki samochód...

- Nie trzeba być wielkim detektywem, by odkryć, że to wygląda jak współczesne odtworzenie wydarzeń z Sebastii.

- Skąd?

- To tam doszło do tego mordu. Obecnie to miasto nazywa się Sivas, leży w środkowej Turcji.

- Jest kolejna ważna rzecz, którą całkowicie pominąłem w swym śledztwie. Samochód, w którym zginął ten człowiek, należał do zabitego nad rzeką prokuratora.

- Albo ja źle usłyszałem, albo mówiłeś, że zginął w ruinach?

- Tak, ale został przeniesiony nad rzekę. Przywiązany za nogę do gałęzi i wrzucony do wody. To ustaliła policja.

- A czy nie myślisz, że to również ma znaczenie? - Stary Werens uśmiechnął się łobuzersko.

- Stryju! Jesteś niesamowity! Dlaczego nie skupiłem się na tym tropie?! Przecież to musi być bardzo ważne!

- Naprawdę? A to ci dopiero sensacja! - Stary ciągle szydził. - Zdaje się, że dochodzimy do wspólnego wniosku. A jest on następujący. Jeżeli morderca bądź mordercy są konsekwentni, a przecież są, to musi to być jakaś zbrodnia, która nawiązuje do wydarzenia z historii. Czyż nie tak?

- Tak zapewne jest! Ciągłe to powtarzam: stryju, jesteś wielki!

- Nie czaruj, lepiej powiedz, czego chcesz?

- Twoja rola stryju polega na znalezieniu jej pierwowzoru. Pomożesz?

- A czy mam inne wyjście?

## 18 sierpnia 2004, środa

Jak dzień wcześniej, tak i w środowy rano Werensa obudził telefon. I tak jak dzień wcześniej dzwoniła kobieta. Ale tym razem głos był zdecydowanie młodszy.

- Halo, czy to Paweł Werens?
- Tak. A kto mówi?
- Tu Ewa.
- Jaka Ewa? - Był ciągle zaspany.
- Z barczewskiego więzienia.

Werens błyskawicznie odzyskał zdolność jasnego widzenia spraw.

- Muszę z panem porozmawiać. To bardzo ważne. - Jej głos był podniecony, ale też wyraźnie przestraszony. - Chodzi o pewnego więźnia...

- Proszę nic więcej nie mówić! - powiedział ostro. - To w pani interesie. Gdzie pani teraz przebywa?

- Jestem w pracy. Za godzinę mogę wyjść. Proszę czekać na mnie pod bramą.

- Będę czekał!

Zerwał się z łóżka, wziął szybki prysznic, ubrał się i zbiegł na dół. Na pytania poruszonego stryja zamachał rękoma, czyniąc w powietrzu jakieś nieokreślone znaki. Z lodówki pochwycił jogurt i pobiegł do auta. Ku jego rozpaczy, ktoś poprzebijał wszystkie opony. Wczoraj szyba i kradzież, a dzisiaj opony. Był przekonany, że zrobił to ten sam człowiek. Pomyślał o facecie podsłuchującym jego rozmowę z majorową. Czyżby to on? Zrozpaczony wbiegł do domu. Poprosił o kluczyki do auta stryja i pognął z nimi do garażu. Wyjechał po chwili z piskiem opon przed dom. Stryj był właścicielem wiekowego już, bo wyprodukowanego w osiemdziesiątym

drugim roku, terenowego mercedesa klasy G. Był to model W 460, z silnikiem benzynowym o pojemności 2,3 i mocy stu dwu koni mechanicznych. Mimo upływu lat prowadziło się go znakomicie. Werens wyskoczył na krajową "szesnastkę" i pędził na północ w kierunku barczewskiego zakładu karnego. Wiedział, że kobieta nie dzwoniła do niego wczesnym rankiem z jakiegoś błahego powodu. Musiało się stać coś ważnego. Bał się tylko jednego. Telefon do niego oznaczał ostatnio wyłącznie kłopoty dla osoby dzwoniącej. Ewa Szulc była w ciąży. Należało ją chronić zatem podwójnie.

Na miejsce dojechał przed czasem. Niecierpliwie czekał na pojawienie się kobiety. Nie mógł myśleć o niczym innym. Ale należało poskładać ostatnie wydarzenia w całość, w zbiór faktów, z którego wyłoni się rozwiązanie. Trzeba zacząć od początku. Trzy trupy starszych mężczyzn. Prokurator, emerytowany glina i lekarz więzienny. Zakładał, że się znali. Skąd? Z pałacu Donhoffów, gdzie spotykali się, by uczestniczyć w orgiach. Zaraz, było przecież jeszcze dwóch, to już pięciu. Czwartym był zamarznięty w bmw nagus. On także, jako ofiara tajemniczego mordercy, musiał być bywalcem tego pałacu. Skąd pewność, że należał do grupy? To proste. Miał tak jak i oni w ustach motyla. Kim był ten człowiek? Werens wiedział, że jego tożsamość wkrótce zostanie ustalona. Policja ma swoje sposoby. Ale on chciał wiedzieć już, natychmiast. Orgie odbywały się blisko trzydzieści lat temu, dzieci uczestniczące w nich to już dorośli ludzie. Może któreś z nich, po latach, dokonuje zemsty? No i piąty. Major kontrwywiadu, znaleziony w roku siedemdziesiątym siódmym, zimą. Majorowa mówiła, że te dzieci były czymś otumanione. W grę musiały wchodzić narkotyki. Jeżeli przyjąć takie rozwiązanie, to dlaczego mściciel zabija starych zbrojczyków na wzór mordów pierwszych wyznawców Chrystusa? Co robić dalej?

Nie musiał odpowiadać sobie na to pytanie, bo odpowiedzi wnet udzieliła

mu Ewa Szulc, którą dostrzegł wychodzącą z więzienia. Stanął przed autem i czekał na nią z miną, która zdradzała stan jego duszy.

- Jest pan - powiedziała, podając mu dłoń. - To dobrze. Musimy natychmiast o czymś, a może raczej o kimś porozmawiać.

- Niech pani wsiada - rzucił krótko. Skierował mercedesa w kierunku drogi, którą przyjechał, ale przy wjeździe na nią skręcił w prawo. Pojechali dalej, na wschód. Leśna droga mocno się wiała. Werens zatrzymał auto na leśnym parkingu. Wysiedli i skierowali kroki do stojącej na placu przyczepy kempingowej, z której starsza kobieta sprzedawała hot-dogi. Zamówili po kawie i usiedli przy drewnianym stole z bali.

- Wczoraj miałam rozmowę z jednym z moich pacjentów. To był młody więzień odsiadujący wyrok za pobicie z kradzieżą - zaczęła bez zbędnego wstępu. - Ma szansę na wcześniejsze zwolnienie za dobre sprawowanie. Ale nie to jest ważne. Po zwyczajowych pytaniach rozmowa zeszła na jego zainteresowania. Chłopak pięknie rysuje, ma autentyczny talent. W pewnej chwili powiedział, że rysować nauczył go współwięzień. Zaczynał naukę od rysowania motyli...

Werens zadławił się kawą. Przeprosił kobietę, otarł usta chusteczką i słuchał z uwagą tego, co powie.

- Uznałam, że to może być ważne. Poprosiłam go, aby opowiedział mi coś więcej o tym współwięźniu. To, co usłyszałam, wydało mi się na tyle ciekawe, że zadzwoniłam do pana. Ten mój rysownik powiedział, że motyle były obsesją jego sąsiada z celi. Opowiadał o nich godzinami. Podobno miał nawet ich okazałą kolekcję. Jest jeszcze jedna sprawa. Ten więzień był fanatykiem religijnym. Bez przerwy czytał Pismo Święte. Mówił o sędzie, jaki się wkrótce dokona na grzesznikach. Poza tym to samotnik. Nie utrzymywał kontaktów ze współwięźniami. Wyjątek zrobił dla naszego rysownika.

- To on - rzucił krótko rozpalony Werens. - To nasz morderca.

- Tak pan myśli?

- Ja jestem tego pewien! Tylko jak on dokonywał zbrodni, będąc za kratami?

- Proszę pozwolić mi skończyć! Ten człowiek odsiedział wyrok dwudziestu pięciu lat. Wyszedł na początku roku.

- Pierwszego morderstwa dokonano w styczniu... Dwudziestego szóstego.

- Już - wtedy był wolny.

Majorowa mówiła, że jej mąż jeździł do pałacu w roku siedemdziesiątym szóstym i siódmym. Jego ciało znaleziono w tym roku. Skoro ten więzień siedział dwadzieścia pięć lat, to zamknięto go w... siedemdziesiątym dziewiątym. Czyli, że mógł to zrobić. Był wtedy jeszcze na wolności.

Werens wstał od stołu i zaczął wokół niego krążyć.

- Czy coś więcej wiadomo o tym człowieku? Jak się nazywa? Gdzie mieszkał przed wyrokiem? Czym się zajmował? Jak może teraz wyglądać?

Ewa uśmiechnęła się do niego triumfalnie.

- Czy zapomniał pan, że to ja jestem ulubienicą pana Jana? Wchodzę do budynku bez problemu? Wieczorem zajrzałam do archiwum. Mam prawo do niego zaglądać. Ten nasz świętoszek od motyli nazywa się Korbiel. Adam Korbiel, rocznik tysiąc dziewięćset pięćdziesiąty trzeci. Przed wyrokiem zajmował się niewielkim gospodarstwem rolnym we wsi Drogosze...

- Gdzie?! - Werens wykrzyknął tak głośno, że kobieta z przyczepy kempingowej wybiegła na plac. W następnej chwili patrzyła, jak para ludzi, kobieta w wyraźnej ciąży i mężczyzna, pewno jej mąż, wsiadają do terenowego auta i z piskiem opon odjeżdżają w kierunku Mrągowa. Pomyślała, że dobrze zrobiła, biorąc od nich wcześniej pieniądze za kawę.

\*\*\*

Mercedes z Ewą Szulc i Pawłem Werensem gnał z dużą prędkością w

kierunku Mrągowa. W Sorkwicach skręcił na północ w drogę numer 590. Przejechał przez Reszel i gnał dalej na Korsze. Tą samą drogą dojechali do Drogoszy. Była to niewielka wieś, nieróżniącą się specjalnie od setek innych na Mazurach. Zatrzymali się przed sklepem spożywczo-przemysłowym i oboje weszli do jego wnętrza. Werens był niecierpliwy, chciał natychmiast dowiedzieć się, gdzie znajduje się dom Korbiela. Prawie krzyżąc, zwrócił się z pytaniem o adres do kobiety za ladą. Zwyczajnie ją wystraszył, bo uciekła na zaplecze. Sytuację uratowała Ewa. Z uśmiechem podeszła do kobiety z małym dzieckiem. Rozczuliła się nad jego urodą, by po chwili zapytać o dom Adama Korbiela. Okazało się, że jej rozmówczyni była zbyt młoda, by znać starego kryminalistę. Za to stojący za nią w kolejce starszy mężczyzna z papierosem zamocowanym w szklanej lufce otworzył bezzębne usta i wolno powiedział:

- Toć to mruk ten Korbiel. Z nikim słowa nie zamieni. Dzieci się go boją, bo gębę se za młodego popalił. Jak diabeł wygląda, garbus jeden. Wrócił z tego więzienia i nigdzie nie wychodzi. No, czasem to do miasta pojedzie. Do Korsz. Mówią, że babę tam jaką ma. Ale która by go chciała z taką gębą? Może bardzo potrzebująca. Ha, ha! I ślepa chyba. Za młodego to ciągle do pałacu latał, jak tam ośrodek pegeer miał. Państwo pałac wzięło po wojnie od książętów. Tych całych Dynchofów. Rolników tam szkolili. Ale szkołę zlikwidowali w dziewięćdziesiątym. Dokładnie to w dziewięćdziesiątym pierwszym. Prywatne ludzie go kupiły. I tyle. Cała sprawa z tym pałacem. A młody Korbiel to tam latał, jakby go magnes jaki ciągnął. Mówili niektórzy, że jak młodzież na niedzielę wyjeżdżała, to kurestwo się tam szerzyło. Że niby pod okiem kierownika. Ja tam nic nie widziałem. No, może raz. Auto piękne pod pałac zajechało, a w nim chłop w kapturze. Deszcz padał, to i w kapturze. Cała rzecz. Tylko głupi kaptura nie nałoży. No, chyba że parasol ma,.. A garbusa Korbiela to szukajcie na skraju wsi. Czerwony dom z cegły,



parterowy. Łatwo dojść, bo zapuszczony. Kto niby miał robić, jak matka zmarła?

- Korbiel to bękart - rzuciła stojąca za nim kobiecina w kwiecistej chuście.

- Wszystkie to wiedzą. Jego matka się gziła z tymi z pałacu. Z generałem.

- Jakim generałem, głupia babo?! Kto tu widział generała? - bezzębny starzec zamachał w powietrzu pustą lufką od papierosa.

- A generał! - nie ustępowała kobiecina. - Sama się kiedyś wygadała, że z generałem się gziła. Dlatego zawsze potem taka dumna chodziła. W pałacu się gziła. Nie powiem, ładna była, chłopcy się za nią śliniły... A ten brzuch to kto jej niby zrobił? Ty, capie stary? Ona by na ciebie nawet nie spojrzała. Wyniosła taka była. Na raka zmarła w osiemdziesiątym. Zaraz jak jej Adama do więzienia zamknęli.

- Zamknęli, bo się głupi dał. Ja tam bym się wyparł.

- Do czego się przyznał? - zapytał milczący do tej pory Werens.

- A za co tyle lat dają? Za kradzież paczki papierosów?! Toż wiadomo, że musiał ostro narozrabiać. Może i kogo ukatrupił?

- Może? To nie wiecie, za co siedział?

- Nikt tego nie wie, a i on sam nigdy się nie przyzna.

Ewa z Pawłem opuścili sklep i ruszyli w kierunku wskazanej przez chłopów chałupy. Rzeczywiście, starzy ludzie nie kłamali, mówiąc o ruinie, w jaką popadło gospodarstwo. Płot oddzielający zagrodę od ulicy rozpadł się prawie zupełnie. W obejściu nie było żadnych zwierząt. Para ludzi dotarła wolno do drewnianych drzwi. Werens zapukał. Raz, a potem drugi. Nikt mu nie odpowiedział. Nacisnął zatem klamkę i wszedł do środka. W chałupie panował mrok. Nie to było jednak najgorsze. Szybko zakrył dłonią usta i nos, bo powietrze przesiąknięte było trudnym do wytrzymania smrodem. Mimo wszystko nie wyszli. Werens zdarł z szyby starą gazetę i pchnął skrzydło okna, które rozwarło się z piskiem i wpuściło świeże powietrze. W chałupie

zrobiło się widniej.

Na środku izby stał zniszczony stół z resztkami jedzenia, po którym łąziło stado tłustych much. Po kątach wisiały pajęczyny, a w rogu podłogi rozlana była jakaś niezidentyfikowana ciecz ciemnej barwy. Przeszli izbę i ruszyli do niewielkiej kuchni. Werens rozejrzał się po sprzętach. Ktoś tu jeszcze przed chwilą jadł posiłek, bo woda w garnkach nie zdążyła całkiem wystygnąć. Widocznie Korbiel tylko w tym pomieszczeniu przebywał. Ale gdzieś przecież spał? Werens ruszył po wąskich drewnianych szczeblach drabiny na piętro. Szczebel za szczeblem piał się w górę. Pchnął barkiem kłapę stanowiącą wejście i wsadził głowę na strych. Szybko ją cofnął. W jego oczach błysnęły łzy. Ewa patrzyła na niego w skupieniu. Ruchem ręki nakazał jej wycofać się z izby. Sam nabrał w usta powietrza i podciągnął się do góry. Po chwili był na strychu. Jego usta drżały. By nie krzyczeć, zakrył je dłonią. Widok, jaki zastał, sprawił, że zrobiło mu się słabo. Puste pomieszczenie wypełniały porozbijane gabloty z wysypanymi na podłogę zeschniętymi motylami. Owady były wszędzie. Jakby ktoś ciskał szklanymi pułkami o ściany. Werens zadarł głowę. Pod sufitem dostrzegł napięty skórzany pasek. Na nim, z pętlą zakończoną metalową klamrą wbity w gardło, wisiało ciało człowieka. Wyglądało nienaturalnie za sprawą sporych rozmiarów garbu. Werens wiedział już, że wisielcem jest Adam Korbiel. Były więzień, sprawca serii morderstw dokonanych w ciągu ostatnich miesięcy. Nie musiał oglądać jego twarzy. Wyglądało na to, że morderca zakończył swój szatański plan i popełnił samobójstwo. Tylko dlaczego to zrobił? Kim były dla niego ofiary?

Werens nie zdążył odpowiedzieć sobie na te pytania, bo usłyszał na dole jakieś podniesione głosy. Wyrzwał przez niewielkie okienko. Na podwórku stały policyjne radiowozy. Werens zsunął się po drabinie na dół. Wybiegł z chałupy. Widok, jaki zastał, wprowadził go w osłupienie. Przed samochodem

stał Klaman - oficer, którego już zdążył poznać na konferencji prasowej. We wnętrzu radiowozu siedziało dwóch policjantów. Werens dalej patrzył nic nierozumiejącym wzrokiem. Pośrodku, skuta kajdankami, siedziała wystraszona psycholog Ewa Szulc. Patrzyła na niego z przerażeniem. W następnej chwili podobny los spotkał i jego, bo Klaman bez słowa zacisnął mu na nadgarstkach stalowe obręcze i poprowadził do drugiego samochodu.

Jechali w milczeniu. Po dwóch godzinach dotarli do Olsztyna. Podjechali do komisariatu policji przy ulicy Partyzantów.

Korytarzami poprowadzono go do jakiegoś niewielkiego pomieszczenia. Posadzono na niewygodnym krześle, a obok niego usiadł milczący posterunkowy. Trwało to może kwadrans. Potem wszedł inny policjant i w dwóch wyprowadzili Werensa do pokoju, który musiał być salą do przesłuchań. Zasiadł za stołem. Po drugiej stronie rozsiadł się już Klaman.

- Co zrobiliście z Ewą Szulc? - zapytał Werens.

- Zdaje się, że coś panu umknęło. Tutaj to my zadajemy pytania - Klaman rzucił ostro swoim piskliwym głosem. Po chwili dodał: - Pani Szulc została zwolniona. Jej stan nie pozwala, aby przebywała w areszcie. Zresztą nie mamy podstaw, aby podejrzewać ją o udział w tej sprawie. Cieszy się nieposzlakowaną opinią. Pracuje od lat w więziennictwie...

Werens odetchnął z ulgą.

- To pan nas interesuje, to pan ją wciągnął w tę sprawę. To pan jest podejrzany.

- Co! Ja podejrzany?! Czy wyście powariowali! To ja odnalazłem tego całego Korbiela! To mnie wybito szybę, poprzebijano opony i ukradziono notatki! I ja jestem podejrzany! Toż to czyste szaleństwo!

Oficer patrzył na niego w skupieniu. Jego wzrok był zimny, podobnie jak pytanie, które zadał:

- Obserwujemy pana od chwili pojawienia się w Lutrach. Po co pan

próbował dostać się do samochodu, w którym zabito dyrektora domu dziecka z Barcian?

A więc to był ten, który dostarczał do pałacu dzieci, pomyślał Werens, ale nie powiedział tego głośno. Kolejny z listy garbusa. Milicjant, prokurator, lekarz, wojskowy, a na koniec opiekun dzieci... Cóż za zestaw. Sam bym ich chętnie ukatrupił.

- To pan skontaktował się z Molakową, która zaraz potem uległa wypadkowi.

Werens poderwał się z krzesła i krzyknął:

- Co?! Uległa wypadkowi! Przecież ją zamordowano! Widziałem to na własne oczy! Dlaczego nikt nie rozmawia ze mną o tej sprawie? To skandal! Jestem naocznym świadkiem!

Ale policjant jakby go nie słuchał, bo twardo rzucił:

- A w dniu dzisiejszym znaleźliśmy pana w domu martwego Adama Korbiela. Czego pan tam szukał?

- Prowadzę dziennikarskie śledztwo.

- Ciekawe. Dlaczego zaraz po pańskim przyjeździe do miasta ginie kolejny człowiek? Czy tak nie było? Przyjechał pan trzynastego. Następnej nocy w bmw zostaje znaleziony emerytowany dyrektor domu dziecka. Dlaczego pan nie zamieszkał u ojca w domu przy Mickiewicza, a u stryja, w wielkiej willi na Fałata? Z takiej willi łatwo wysliznąć się nocą, nie wzbudzając niczyjej uwagi. Prawda?

- Czy wyście powariowali?! - wykrzyknął ponownie Werens i zerwał się z krzesła.

Stojący tuż za nim młody policjant pochwycił go za barki i usadził na miejsce.

- Za panem, panie Werens, kroczy śmierć. Czego pan szukał za murami więzienia? Co pan robił w elbląskim hotelu "Młyn"? Z zeznań recepcjonisty

wynika, że wypytywał pan o zmarłego prokuratora.

- Przecież to normalne w dziennikarskiej pracy! - jęknął rozpaczliwie.

Wychodziło na to, że śledzili go od dawna. Może zatem mu powiedzą, kto zniszczył jego samochód? Ale nie on był teraz najważniejszy. Werens autentycznie się przestraszył. Ktoś chciał zrobić z niego kozła ofiarnego.

- Znaleźliśmy pana w domu Korbiela zaraz po jego śmierci.

- Ja go nie zabiłem! - wykrzyknął.

- I to się zgadza, panie Werens. Adam Korbiel popełnił samobójstwo.

- No to o co chodzi?

- Cały czas o to samo. O ustalenie prawdy.

- Korbiel po wyjściu z więzienia zabijał ludzi, którzy przyjeżdżali do pałacu w latach siedemdziesiątych niezdrowo się zabawiać. - Werens wyrzucił te słowa błyskawicznie. Niczego nie chciał ukrywać. Zresztą oni i tak już to pewno wiedzieli.

- Dużo pan wie. Moim zdaniem zbyt dużo. Niech mi pan powie, dlaczego Molakowa tuż przed śmiercią rozmawiała z panem?

- Nie wiem, chciała wyrzucić z siebie pewne sprawy.

- Co konkretnie powiedziała?

Werens drgnął. Coś mu się tu nie zgadzało. Skoro go wtedy podsłuchiwali przy stoliku, to dokładnie wiedzieli, co powiedziała. Werens zrobił się czujny. Przymknął oczy i przypomniał sobie wiszącego na skórzanym pasku garbusa. Nie widział jego twarzy. Policjant powiedział, że Korbiel się powiesił. Werens wyteżył pamięć. Nie potrafił znaleźć na poddaszu żadnego stołka ani innego sprzętu, na który mógłby wejść samobójca. Teraz jego pamięć powędrowała na dół, do izby, w której kącie zobaczył nieokreśloną kałużę. Wyteżył węch. Poczował słodysz. Przecież to była krew! Werensowi zrobiło się zimno. Skąd nagle w obejściu wziął się Klaman ze swoimi ludźmi? To nie był przypadek. A jeżeli Klaman był już tam, kiedy on wraz z

Ewą dopiero przybyli?

Werens postanowił coś sprawdzić. Powiedział zatem z udawanym spokojem:

- Odchodząc, przekazała mi niewielki pamiętnik, w którym opisywała dokładnie to, co zobaczyła w pałacu.

Policjant wyraźnie był poruszony.

- I pan ma ten pamiętnik?

- Tak, mam.

- I oczywiście może nam pan go pokazać?

- Oczywiście. Dla dobra śledztwa.

- A gdzie go pan trzyma?

- Ukryłem go w samochodzie. Auto stoi przed domem stryja. Jak już mówiłem, ma przebite opony, nikt go nie weźmie. Oddam go zaraz po tym, jak dotrę do domu.

- Będę wdzięczny. Nie mam do pana więcej pytań.

- Czyli że jestem wolny?

- Tego nie powiedziałem. Nie lubię pana, panie Werens. Zatrzymamy pana tu, u nas, do rana.

Werens nie protestował. Wiedział, że nic to nie da. Może tylko pogorszyć sytuację.

## 19 sierpnia 2004, czwartek

Werensowi było zimno. Obudził się w więziennej celi. Za okratowanym oknem wstawał świt. Roztarł dłońmi zmarznięte ramiona i stopy, ciasniej okrył się szarym, wełnianym kocem. W nocy obawiał się najgorszego. Strach nie pozwalał mu zasnąć. Nie chciał "popełnić samobójstwa" jak garbus. Chciał żyć. Z drugiej strony była duża szansa, że tej nocy jeszcze nie zginie. Był dziennikarzem. To stanowiło jego atut. Policja nie chciałaby się tłumaczyć mediom z jego śmierci w komisariacie. Werens nie miał jednak złudzeń. Odkrył prawdę o rzekomym samobójstwie Korbiela. Ci, którzy ją upozorowali, nie pozwolą, aby ta prawda wyszła na jaw. Nie podejmą takiego ryzyka. Nie istnieje żaden tajemniczy pamiętnik. Jeżeli dane mu będzie wyjść na wolność, będzie miał całkowitą pewność, kto zabił wczoraj w Drogoszach. Dlatego siedział na pryczy przestraszony wiele godzin, nim zmorzył go wreszcie sen.

Śniły mu się koszarne wizje, w których, jak zwykle, szedł na dno jakiegoś zbiornika z wodą.

Z komisariatu wyszedł o dziewiątej. Był przerażony. Całą drogę do postoju taksówek oglądał się za siebie. W każdym przechodniu widział zabójcę i wciąż miał wrażenie, że samochody mijają go podejrzanie blisko. Wreszcie dotarł do postoju. Zamówił kurs na Fałata. Po drodze zmienił zdanie. Zatrzymał się ulicę wcześniej, w kiosku kupił kartę telefoniczną i z budki zadzwonił do Hanny. Była w domu. Zapytał, czy może do niej przyjechać. Zgodziła się, a zatem poprosił czekającego na niego taksówkarza o zawiezenie na Kruczą. Po dwudziestu minutach był na miejscu. Umówił się z taksówkarzem, że przyjedzie w to miejsce o trzynastej.

Wszedł do domu, nie zwracając najmniejszej uwagi na gryzącego mu buty

małego pieska. Hanna, widząc, w jakim jest stanie, chwyciła go za rękę i zaciągnęła pod prysznic. Skulony siedział pod nim dobry kwadrans. Poczuci się lepiej. Kiedy wyszedł, dostał szlafrok, zapewne po eksmężu Hanny. Usiadł w fotelu i pił gorącą kawę.

Patrzyła na niego w milczeniu. Wiedziała, że nie musi go o nic pytać. I tak jej wszystko opowie. Tak też się stało. Werens opowiedział o morderstwie garbusa i o aresztowaniu. O nocy spędzonej za kratami. Nie wspomniał jednak o swoich obawach i podejrzeniach. Bał się o bezpieczeństwo Hanny. W pewnej chwili przeraził się tego, co zrobił. Przecież właśnie naraża ją na śmiertelne niebezpieczeństwo! Ją i jej bliskich! Chyba oszalałem, pomyślał. Z drugiej strony, przecież nie zabiją wszystkich ludzi w tym mieście. Hanna wysłuchiwała go z uwagą. Potem zadała mu pytanie:

- Dlaczego właściwie ten człowiek zabijał? Jaki miał powód?

To proste pytanie sprawiło, że musiał na świeżo spojrzeć na całą tę sprawę. Garbus musiał mieć inny powód dokonywania makabrycznych zbrodni niż widok zabawiających się z naćpanymi dzieciakami zbrojeńców. No i po co odtwarzał te dawne mordy? Mógł przecież tych wszystkich starych facetów zwyczajnie po kolei zadźgać nożem. Dwadzieścia pięć lat to sporo czasu, aby zapomnieć. Właśnie. Za co trafił na tak wiele lat do więzienia? To było najważniejsze. Rozwiązanie tej zagadki da odpowiedź na wiele pytań. Nie miał jednak teraz siły, by się tym zajmować. Kawa, zamiast go wzmocnić, usypiała. Hanna przykryła go ciepłym kocem. Czuł, jak odpływa. Zasnął.

\*\*\*

Obudził się w południe. Hanny nie było w domu. Zostawiła mu kartkę, na której narysowała chrapiącego misia. Uśmiechnął się pod nosem. Zrozumiał aluzję. Ubrał się i wyszedł z domu. Kluczy nie potrzebował - zamek był zatraskowy. Zaczekał do trzynastej. O umówionej godzinie przyjechała



taksówka.

Werens zamówił kurs do Drogoszy. Całą drogę przejechali w milczeniu, chociaż taksówkarz wykazywał chęć do rozmowy. Wreszcie zajechali pod dom zamordowanego Korbiela. Samochód stryja stał w nienaruszonym stanie. Werens zapłacił kierowcy umówioną kwotę i się pożegnał. Do domu nie wchodził. Wiedział, że wszelkie ślady zostały fachowo zatarte. Nie chciał też kolejnych kłopotów z policją.

Wsiadł do mercedesa i ruszył w drogę powrotną. W domu był pod wieczór. Wstawił auto do garażu. Lecz zanim wszedł do willi, obejrzał swój samochód. Zimny pot zrosił mu czoło. Jego golf miał rozprute siedzenia, ktoś go dokładnie przeszukał. Najpewniej wczorajszej nocy. Wiedział, kto to zrobił. Wiedział już na pewno, że mordercą garbusa był oficer policji Klamana. Ilu jeszcze ludzi jest wplątanych w tę sprawę? Werens nie miał złudzeń. Za dużo wiedział, a zatem następnym na liście Klamana będzie on.

## 20 sierpnia 1978, sobota

Na podjeździe pałacu Donhoffów znowu pojawiły się tajemnicze auta. Przyjezdni, jeden po drugim, opuszczali ich wnętrza i przemykali do środka budynku. Kierowali się wprost do sali obrad. W milczeniu czekali na pojawienie się mistrza ceremonii, brata Montalto. Wreszcie wszedł do sali. Pozdrowił zebranych i zasiadł u szczytu długiego, dębowego stołu. Bez zbędnych wstępów poprosił o zabranie głosu siedzącego po jego prawej stronie barczystego mężczyznę. Ten sięgnął po skórzaną teczkę z jakimiś dokumentami. Niskim, chropawym głosem zaczął wolno czytać:

- Nasza operacja wchodzi w decydującą fazę. Jej termin został wyznaczony na dziesiątego września. Tego dnia cel będzie przebywał na głównych uroczystościach, które są zaplanowane na stadionie miejskim. Wiemy już, że przygotowania do imprezy rozpoczęto w styczniu. Bardzo trudno było nam wprowadzić swoich ludzi. Wszyscy są sprawdzani. W lutym zawiązał się komitet obchodów. W jego skład weszło kilkadziesiąt osób. Są to ekonomiści, kierownicy wszystkich wydziałów, sekretarze, zastępcy ministrów, inspektorzy, wojewoda, prezydent miasta. Jak już wspomniałem, mimo trudności udało nam się umieścić w tym gronie naszego agenta. Uczestniczył on we wszystkich roboczych zebraniach, zna końcowe ustalenia. Dzięki temu wiemy już, jak zaplanowane są uroczystości i gdzie są ich słabe punkty. Nasz człowiek ustalił, że cel przekroczy granicę województwa już dzień wcześniej i spotka się z premierem. Będzie to miało miejsce w jednym z gospodarstw rolnych. Cel obejrzy krótki program artystyczny przygotowany przez miejscowy zespół tańca ludowego, zje obiad u jednego z chłopów, przewidziana jest wizytacja gospodarstwa i specjalnie przygotowanej wystawy rolniczej. Potem cel wraz z żoną przybędzie do

miasta. Ma zwiedzić wybrane dzielnice, nową halę sportową, kolejne wystawy. Wieczorem uda się na spacer po Starówce. Obejrzy zamek i amfiteatr. Niestety, miejsce noclegu celu jest pilnie strzeżoną tajemnicą. Nie znamy go. Być może będzie nocował w ośrodku rządowym w Łańsku. Przeprowadzenie zamachu w tym miejscu byłoby szaleństwem. To pilnie strzeżony teren. Pilnuje go wojsko. A przecież chodzi nam o efekt propagandowy. Tam byłby on niemożliwy do osiągnięcia. Dlatego od początku planowaliśmy akcję na terenie miasta. A teraz powiem o dniu samego zamachu. Rano cel uda się do siedziby władz partyjnych. Tam wręczy odznaczenia starannie wyselekcjonowanym działaczom. Uroczystość jest przewidziana na czterdzieści minut. Weźmie w niej udział ponad stu ludzi. Nasz człowiek zdobył drobiazgowy plan sali z rozmieszczeniem wszystkich uczestników. Wiemy, gdzie będą stały stoły, mikrofony, nawet kwiaty. To byłoby dobre miejsce na przeprowadzenie akcji, ale... Z komitetu cel przemieści się limuzyną na teren stadionu. Będzie jechał Aleją Zwycięstwa. Uroczystości są zaplanowane na godzinę dziesiątą zero zero. Cel wraz z towarzyszącymi mu oficjelami zajmie miejsce na trybunie honorowej. To kryta trybuna. Warto to podkreślić.

Mężczyzna zakończył swoją wypowiedź. Usiadł na krześle i rozglądał się z ciekawością po zebranych. Bracia przez chwilę szeptali między sobą, ale na znak dany przez Montalto zamilkli.

- Bracie, dziękujemy ci za ten krótki referat. To było bardzo interesujące - powiedział ten ostatni z powagą. - W dalszym jednak ciągu nie wiemy, gdzie ma nastąpić nasz atak.

- Na stadionie - rzucił krótko barczysty sąsiad przywódcy zgromadzenia.

- Dlaczego właśnie tam?

- Powodów jest kilka. Najważniejszy to, jak już mówiłem, propagandowy wymiar naszego zamachu. Ruchy celu będą cały czas pokazywane na żywo

przez telewizję. Nie będzie możliwości, aby fakt zamachu na pierwszą osobę w państwie zatuszować. Drugi powód to zamieszanie związane z przybyciem tysięcy ludzi na uroczystości. Tylko na samym stadionie będzie trzydzieści tysięcy widzów. Tego dnia miasto zamieni się w jeden wielki plac festynowy.

- Może lepiej w komitecie? - rzucił ktoś z głębi sali.

- Rozważaliśmy to. Niestety, zaproszenia są imienne. Przy wejściu każdy jest dokładnie sprawdzany. Wcześniej sala będzie dokładnie zbadana przez pirotechników z psami. Nie ma szans.

- Czy na tym stadionie nie będzie podobnie?

- To prawda.

- Więc jak to zrobić?

Brat Montalto wstał od stołu i ruszył do drzwi wyjściowych. Otworzył je nieznacznie i wpuścił czekającego za nimi niewielkiego człowieka. Ten przerażonym wzrokiem rozejrzał się po zebranych, by wreszcie podejść do stołu. Zachęcił go do tego Montalto, który poklepał go po ramieniu, objął serdecznie i wskazał wolne krzesło. Człowieczek skinął głową, niezdarnie zajął miejsce przy stole i zaczął wreszcie mówić:

- Nasz człowiek wszedł w znajomość z niejakim Wysockim. Ten Wysocki ma skłonności do alkoholu i młodych chłopców. Wygadał się po kilku głębszych, że jest z zawodu choreografem. Dwa dni temu przyjechał na zgrupowanie kadry artystycznej do miasteczka studenckiego. Jest ich tam dwudziestu jeden. Od wczoraj przygotowują przedstawienie, które ma się odbyć na stadionie. W kluczowym momencie na murawie ma się pojawić pięć tysięcy tancerzy i muzyków. Kieruje nimi reżyserka, niejaka Bagińska. Tancerzy ściągnięto z całej Polski. Mieszkają w domach akademickich... Niewielki szantaż wystarczył, aby ów Wysocki zdradził szczegóły przedstawienia. Znaleźliśmy ciekawy punkt, który stwarza dla nas pewne możliwości... W pewnej chwili cel wraz ze świtą schodzi na płytę stadionu. Z

rąk gospodarzy odbiera podarki. To kluczowa scena widowiska.

- Przecież te prezenty będą dokładnie oglądane! - rzucił ktoś ze złością w głosie.

- To nie koniec. Motywem wiodącym tych uroczystości jest koń z kłosem żyta.

- To prawda. Całe miasto jest oklejone planszami, malowidłami i transparentami z tym koniem.

- Ale... nasz Wysocki wygadał się, że taki koń, tyle że dużo większy od naturalnego, z tektury, będzie jednym z elementów spektaklu.

- Przecież on też zostanie sprawdzony!

- To też prawda. Tyle tylko, że my zamienimy człowieka obsługującego atrapę. Nasz będzie miał przy sobie niewielką paczkę...

- Jak to zrobimy?

- W drodze na stadion. Pan Wysocki chętnie nam w tym pomoże. Nasz człowiek pokazał mu wczoraj kilka zdjęć, przez które może mieć kłopoty. Jego żona nie będzie zachwycona.

- No to mamy naszego konia trojańskiego - rzucił wesoło jeden z braci.

- Tak. Trojańskiego z kłosem żyta za uchem.

## 20 sierpnia 2004, piątek

Wczesnym rankiem Werens zadzwonił do mieszkania zamordowanej Molakowej. Telefon odebrała kobieta, która przedstawiła się jako jej córka. Chciał dowiedzieć się czegoś więcej o wtorkowej tragedii. Ale rozmówczyni łamiącym się głosem poinformowała go, że ciało jej mamy znajduje się w domu przedpogrzebowym. Uroczystości pożegnalne zaplanowane są na godzinę trzynastą. Werens był w szoku. A więc uznano, że śmierć majorowej nastąpiła w wyniku nieszczęśliwego wypadku! Cóż za skandal! Byli przecież świadkowie! Chciał opowiedzieć o tym, co widział, ale powstrzymał się i ograniczył rozmowę do złożenia kondolencji. To nie był czas na tego typu wyznania. Krewni zmarłej nie byli na to przygotowani. Zaraz potem poczuł smutek. Chociaż nie znał prawie wcale tej kobiety, z jakiegoś powodu jej śmierć nim wstrząsnęła. Werens wiedział, że jeżeli uda mu się zdemaskować sprawców zabójstw, w naturalny sposób sprawa śmierci pani Molak powróci.

Werens ostatni raz na pogrzebie był w dzieciństwie. Wpadł wówczas w histerię i ciężko się rozchorował. Od tamtej pory unikał takich ceremonii. Ale przed trzynastą pojechał na ulicę Poprzeczną pod dom pogrzebowy. Nie wszedł jednak do środka, tylko z zewnątrz obserwował zgromadzonych żałobników. Wśród nich, a jakże, dostrzegł tego samego człowieka, który śledził ich we wtorek. Zacisnął palce na bukietach kwiatów, aż zgniół łodygi. Nic więcej nie mógł zrobić. Po wyprowadzeniu trumny z budynku ruszył za konduktem, który wszedł między aleje. Zmarła nie miała zbyt wielu krewnych i znajomych. Żałobnicy doszli do dołu przygotowanego na złożenie trumny. Otyły ksiądz odmówił ostatnią modlitwę, a później trębacz zagrał smutną melodię, w czasie której trumnę z ciałem kobiety wolno na linach spuszczano w głąb ziemi. Grabarze chwycili za łopaty, pracowali

błyskawicznie, bez wytchnienia. Szybko usypali kopiec, na który ludzie po kolei składali wieńce i kwiaty. Werens ruszył ze swoją wiązką prawie na końcu. Ukłonił się ubranym w czerń najbliższym zmarłej i zasmucony skierował się do bramy cmentarnej. Ostatni raz obejrzał się za siebie. Mężczyzna, który ich śledził tamtego dnia, właśnie składał niewielki bukiet. Paweł poczuł, jak krew odpływa mu z twarzy. Chciał rzucić się w jego kierunku z pięściami, ale na szczęście się opanował. Cóż by zyskał? Zakłócić przebieg uroczystości? Trafił znowu za kraty? Czy tak by pomógł w wyjaśnieniu tej ponurej sprawy? Wrócił zatem do domu przy Fałata.

\*\*\*

Werens ze stryjem siedzieli w salonie już dwunastą godzinę. Nie przespali nocy. Rozmawiali o ostatnich wydarzeniach. Zrezygnowali nawet z picia alkoholu. Chcieli mieć sprawne umysły. Eliza zdawała sobie sprawę z powagi sytuacji, więc nie sprzeciwiała się, kiedy wyciągnęli w pewnej chwili papierosy i otwarcie zaczęli zadymiać wewnątrz domu. Czy zbrodnie garbusa to czysta zemsta? A może coś więcej? Może to jakaś wskazówka? Naznaczenie przeciwnika? Po co w ustach ofiar te motyle? Przecież nie dla ozdoby. Może to znak firmowy mordercy? Podpis? A może zupełnie coś innego? Kto stoi za Klamanem? Bo to raczej nie on pociąga za sznurki. Jest zbyt młody, aby mieć coś wspólnego z wydarzeniami sprzed ćwierć wieku. Komu zależało na śmierci garbusa? Kto chciał go uciszyć? I co garbus wiedział? Czy wyznał to podczas przedśmiertnych tortur? Bo był torturowany, to pewne.

- Coś nam umknęło. Coś przeoczyliśmy - powiedział dziennikarz.

- Całe życie coś przeoczamy, mój drogi. Ja na ten przykład przeoczyłem fakt, że stałem się złym księdzem. Na szczęście w porę się opamiętałem.

- Może warto pójść innym tropem? - młody Werens jakby nie słuchał. Głośno zastanawiał się nad dalszym działaniem.

- Jakim tropem chcesz iść?

- A chociażby tych męczenników Kościoła.

- Tak myślisz? - Stryj spojrział na niego uważnie.

- A niby dlaczego nie? Garbus zadał sobie wiele trudu, aby odtworzyć historię sprzed wieków.

- To prawda. Nie wyjaśniliśmy zbrodni dokonanej nad rzeką. Dotychczas te mordy wpisywały się w jakiś logiczny klucz. Rzeka... Zbrodnia dokonana nad rzeką...

- Nie do końca. Zbrodnia miała miejsce w ruinach. Dopiero potem ciało przewieziono nad rzekę. Tam je znaleziono przywiązane za nogę do gałęzi.

- Nic mi nie przychodzi do głowy, a wierz mi, że myślałem nad tym długo. Dokumenty Kościoła były często zmieniane...

- No właśnie, mówił stryj, że istniała ta cała Wulgata.

- O, to poważna lektura.

- Jak się nazywał ten, co ją napisał?

- Hieronim ze Strydonu. To była niezwykła postać. Kobiety za nim przepadały. Prawie jak za mną, ha, ha! Niestety, jak to często bywa, patrz przykład twojego krewnego, naraził się klerowi.

- Zabili go?

- Na szczęście nie. Po śmierci jego protektora, papieża Damazego, musiał uciekać z Rzymu. Oskarżono go o zażyłe relacje z pewną bogatą wdową o imieniu Paula. Czy jego historia ci kogoś nie przypomina? - Stryj puścił oko do bratanka. - Hieronim dużo podróżował. Długo by o tym mówić. Koniec końców znalazł się w Palestynie, zmarł w Betlejem, a u jego boku była wspomniana wdowa. Podobno Hieronim prowadził życie pustelnicze...

- A co z tą Wulgatą?

- Od siódmego wieku Wulgata była powszechnie używana w Kościele. Hieronim bardzo się napracował przy tworzeniu tego tekstu. Urodził się w



roku trzysta trzydziestym pierwszym naszej ery. Ale ochrzczony został dopiero trzydzieści lat później. To wtedy wybrał się na studia do Rzymu i tam nauczył się greki. Po kilku latach wyruszył do Galii i zamieszkał w Trewirze. W tym mieście rozpoczął kolejne studia, tym razem teologiczne. Kiedy miał czterdzieści dwa lata, wyruszył w podróż do Syrii. Tam doznał wizji i postanowił zająć się studiowaniem Pisma Świętego. Udał się na pustynię i natrafił na Ewangelię Hebrajczyków, która miała być pierwowzorem Ewangelii świętego Mateusza. Przez następne lata wędrował, przyjął święcenia kapłańskie, aż wreszcie wrócił do Rzymu. Został bliskim współpracownikiem wspomnianego papieża Damazego.

- I wtedy podjął się stworzenia łacińskiej wersji Pisma Świętego?

- Dokładnie. Tak było.

- A wcześniej nie było łacińskiego tłumaczenia Biblii? - zapytał skupiony Werens.

- Było wiele wersji. Ale na przykład Stary Testament zamiast z hebrajskiego oryginału tłumaczono z napisanej po grecku Septuaginty.

- Z czego?

- Z tłumaczenia Biblii hebrajskiej na grekę. Septuaginta oznacza liczbę siedemdziesiąt. Tylu bowiem tłumaczy brało udział w pracy nad przekładem. Nowatorstwo pracy Hieronima polegało na tym, że oparł on swe tłumaczenie Starego Testamentu wyłącznie na hebrajskim. Ale było bardzo wiele rozbieżności w różnych jego wersjach. Hieronim musiał je w swoim łacińskim przekładzie ujednoczyć.

- Stryju, ale przecież ta jego wersja Pisma Świętego nie przetrwała do dzisiaj...

- Zgadza się. Wulgata nie przetrwała, bo przetrwać nie mogła. Wtedy teksty przepisywano ręcznie. Kopiści nie byli zbyt dokładni, często czegoś nie przepisali, coś zmienili. Łaciński tekst mieszał się też z Itala, będącą

wczesną wersją Biblii dla mieszkańców Italii, którzy nie znali greki. Trzeba pamiętać, że greka była językiem liturgicznym pierwszych chrześcijan. Hieronim nie znał w sposób doskonały hebrajskiego, jego tekst zawierał nieścisłości. Mimo tego przetrwał blisko tysiąc lat! Krytykował go na przykład znany ci zapewne Erazm z Rotterdamu. Szczególne wątpliwości budziło tłumaczenie Starego Testamentu. Ale podczas Soboru Trydenckiego w roku tysiąc pięćset czterdziestym szóstym Wulgatę uznano za oficjalny przekład Kościoła.

- Pomimo tych oczywistych błędów?! - Werens był poruszony.

- Miało to swoje zalety. Kościół wskazywał, które z ksiąg powinno się uważać za autentyczne, a które nie. Rozumowano następująco: skoro tyle wieków używano tego tłumaczenia, to znaczy, że jest ono najlepsze. Dziwaczna argumentacja, ale tak przecież było.

- Nic nie zmieniano? Nie poprawiano?

- Oczywiście, że poprawiano! Postanowiono powołać komisję, która zrewiduje tekst i wyda Wulgatę w wersji ostatecznej. Po pięciu latach tak się rzeczywiście stało. W roku tysiąc pięćset dziewięćdziesiątym wyszło pierwsze oficjalne wydanie Wulgaty obowiązujące dla całego Kościoła.

- Czy to wtedy usunięto teksty niepasujące do wizji dziejów świata?

- Co masz na myśli?

- Te gnostyckie ewangelie. Apokryfy.

- A skąd! One zostały odrzucone już dużo wcześniej. W roku siedemdziesiątym naszej ery zebrała się rada rabinów, która wybrała teksty uznane jako natchnione przez Boga. Inaczej mówiąc, autorzy apokryfów nie byli natchnieni. Hieronim, tworząc Wulgatę, umieścił na jej końcu kilka ksiąg apokryficznych i opatrzył je nagłówkiem "niekanoniczne".

- Jednym słowem uznano je za bajki?

- Można tak powiedzieć.

- Ale ci gnostycy myśleli inaczej.

- To prawda. Tacy na przykład kainici są prawdopodobnie autorami koptyjskiego Kodeksu Tchacos, bardziej znanego jako Ewangelia Judasza. Odkryto ją niedawno. Ale wracając do Wulgaty. Przy okazji jej ponownego redagowania doszło do wielu wypaczeń.

- Jakich?

- Największe są związane z osobą papieża Sykstusa Piątego. Jego obsesją było przełożenie na nowo Pisma Świętego. Podobno przez osiemnaście miesięcy bez wytchnienia tłumaczył je na łacinę. Oświadczył, że pisząc, był natchniony przez Ducha Świętego i że tylko jego tłumaczenie jest właściwe.

- I nikt nie protestował?

- Kilku się znalazło. Tyle że każdego, kto podawał w wątpliwość jego dzieło, papież karał natychmiastową ekskomuniką. Kazał niszczyć inne wersje.

- I co? Dobrze tłumaczył?

- Ależ skąd! Nie było to dobre tłumaczenie. Sykstus Piąty korzystał z niesprawdzonych źródeł, pisząc, pomijał całe wersy, zmieniał ich układ, kolejność, numerację. Zaraz po jego śmierci kardynałowie wstrzymali druk tej wersji Biblii, a już wydane egzemplarze odkupywali.

- Mówił stryj, że papież Sykstus dopuścił się wypaczeń...

- Głośna była sprawa Szymona z Trydentu. Sykstus Piąty ogłosił go świętym, po tym jak znaleziono jego ciało z licznymi śladami nakłuć nożem. Werens drgnął.

- Jak to się stało? - zapytał skupiony.

- Miało to związek z nagonką na Żydów. Oskarżano ich o mordy rytualne. Szymon był dzieckiem, które znaleziono martwe nad rzeką.

- Co?! Nad rzeką?!

- Czy mówię niewyraźnie? Nad rzeką. - Stary Werens wstał z krzesła. -

Znaleziono go tuż przed Wielkanocą...

- Zaraz - Paweł wszedł mu w słowo. - Kiedy zabito prokuratora Markowskiego?

- Dwudziestego szóstego marca - powiedział urażony stryj.

Werens wybiegł z pokoju do kuchni. Na ścianie wisiał kalendarz. Nerwowo cofał karty z kolejnymi miesiącami. Dotarł do marca. Głośno powiedział:

- Na dwudziestego szóstego marca tego roku przypadał piątek wielkanocny! Stryju! Mów! Mów, kim był ten Sykstus Piąty. Chcę wiedzieć o nim wszystko!

- Wszystko to pojęcie bardzo płynne. Był czas, kiedy zrobiłbym wszystko dla pewnej dziewczyny z liceum. Kasia jej było na imię. Siedziała ławkę przede mną. Ach, te jej rude warkoczyki! Widziałem ją niedawno... Bardzo się... hm... zmieniła.

- Stryju, błagam!

- Dzisiaj już nie zrobiłbym dla niej wszystkiego. Prawdę powiedziawszy, niewiele byłbym w stanie zrobić!

- Proszę!

- No dobrze. Właściwie to wiem niezbyt wiele. Podobno jego wielką karierę przewidział Nostradamus. Szedł kiedyś z synem ulicami Marsylii i natknął się na ubogiego mnicha. Ruszył w jego kierunku i pocałował w rękę. Na uwagę syna, że nie przystoi mu całować byle kogo po rękach, odparł, że ten mnich będzie kiedyś papieżem.

- Przypomina fabułę taniego filmu.

- Ale to historia Kościoła. Często wielkość sąsiaduje w niej z nikczemnością. Tym ubogim mnichem był późniejszy papież Sykstus Piąty. Wtedy nazywał się on zupełnie inaczej, bo Peretti. Nie uwierzysz, ale jako dziecko pasał świnie.

- Myślałem, że papieżami zostawali ludzie wysoko urodzeni.

- Peretti był niezwykle uzdolniony i pracowity. Udało mu się ukończyć studia w Ferrarze i Bolonii. Przyjął święcenia kapłańskie, został doktorem teologii. Bardzo szybko piął się w hierarchii kościelnej, zasłynął jako doskonały mówca.

- Zawsze byłem zdania, że grunt to dobra gadka.

- Pamiętasz z lekcji historii inkwizycję?

- Mniej więcej.

- Wprowadził ją Grzegorz Dziewiąty. Ten świń nie pasał. Za to uwielbiał wyprawy krzyżowe. Wprowadził urząd "inkwizytorów heretyckiej przewrotności", kazał palić Talmud. Jak widzisz, trudno wtedy było myśleć inaczej niż rządzący. Ale czy inaczej jest dzisiaj?

- A co on ma wspólnego z naszym Sykstusem?

- Grzegorz Dziewiąty był inkwizytorem, a Sykstusa Piątego zwano Wielkim Inkwizytorem.

- O cholera, musiał skrzywdzić wielu niewinnych ludzi.

- No właśnie. Skazał na śmierć tysiące ludzi. Wspierał finansowo wojny religijne, ale nie mniej swoją rodzinę, którą uczynił jednym z najbogatszych rodów w Europie. Kiedy został biskupem, zmienił nazwisko na Montalto.

- Już słyszałem to nazwisko - powiedział Werens. - Tylko gdzie?

- Bo Montalto to rodzinna miejscowość Sykstusa Piątego.

- Już wiem! - wykrzyknął Werens. - Majorowa wymieniła to nazwisko, mówiąc o orgiach w pałacu! Tak nazywano jednego z tych ludzi. Stryju, to jest bomba! Czuję, że jesteśmy blisko! To wszystko układa się w całość. Przypomnij sobie, co jeszcze wiesz o tym Montalto prócz tego, że ustawił swoją rodzinę finansowo i posyłał na śmierć tysiące ludzi.

- Mój drogi, nie bądź tak surowy w swej ocenie. To, że Sykstus Piąty stosował nepotyzm, jeszcze nic nie znaczy. Przy takim papieżu Aleksandrze

Szóstem był na ówczesne standardy całkiem uczciwy. Tamten to dopiero był niezły. Narobił wiele nieślubnych dzieci, które poobsadzał na wysokich stanowiskach. Uwielbiał orgie.

- No, tu już przesadzasz, stryju!

- Słynne były te, w których uczestniczyła jego córka, Lukrecja Borgia, i syn Cezar. Ale to temat na osobną opowieść. Wracając zaś do Montalto, kiedy został papieżem, o dziwo, zrobił wiele dobrego. Przeprowadził kilka ważnych reform w Kościele. Uporządkował finanse...

- W to akurat nie wątpię.

- Pobudował w Rzymie akwedukty, które dostarczały wodę na wysuszone dotąd wzgórza rzymskie, Pałac Laterański to też jego dzieło. Podobnie jak i Schody Hiszpańskie czy Biblioteka Watykańska. To on zmienił układ rzymskich ulic, tak by połączyły wszystkie bazyliki. Kopuła Bazyliki Świętego Piotra według projektu Michała Anioła to też jego robota. Był dobrym agronomelem. Osuszył wiele pól. Jego obsesją były drzewa morwowe.

- Co! - wydarł się Werens. - Dopiero teraz to mówisz?!

- A niby kiedy miałem powiedzieć? Otóż...

- Stryju! Czy ty rozumiesz, co przed chwilą powiedziałeś?! Drzewa morwowe! Po co się sadi drzewa morwowe?

- Dla ozdoby?

- Na boga, stryju! Dla jedwabników! To ich naturalny pokarm! Co miały w ustach ofiary?

- Motyle...

- Jedwabniki morwowe! A dlaczego?

- Bo ja wiem?

- Bo motyle były informacją od mordercy.

- Jaką informacją?

- Gdzie mamy szukać kogoś, kto otacza się morwami. A kto otaczał się

morwami?

- Sykstus Piąty?

- A jak się nazywał wcześniej?

- Montalto?

- Montalto. A kim jest Montalto?

- Papieżem?

- Stryju! Na boga! Pomyśl! Montalto jest przywódcą grupy, która zbierała się w pałacu w Drogoszach w latach siedemdziesiątych. To oni zabili męża majorowej zimą siedemdziesiątego siódmego roku. To oni zamordowali ją wczoraj. Dlaczego? Bo powiedziała mi o tych demonicznych spotkaniach. Montalto to przykrywka dla kogoś ważnego. Kto ma potężne wpływy. Tak wielkie, że skorumpował policję. Klaman jest jego człowiekiem. Powieszony na strychu Korbiel po wyjściu z więzienia mścił się na członkach grupy. Zabijał ich w okrutny sposób, nawiązując do wydarzeń sprzed wieków. W usta wkładał motyla, który był informacją dla kogoś takiego jak my. Był też wyróżnikiem. Ważnym komunikatem. Członków grupy zbierającej się w pałacu było wielu. Majorowa mówiła o długim stole, przy którym siedziało kilkunastu ludzi. Korbiel zdążył zabić pięciu. Wyobrażam sobie, co teraz czują pozostali. Nie mają pojęcia o śmierci zabójcy, więc myślą, że będą następni. Pytanie jest następujące: dlaczego Montalto nie zabił go w więzieniu? Mógł to zrobić bez problemu.

- Może nie wiedział o jego istnieniu?

- Podobno Korbiel w więzieniu na okrągło czytał Biblię. Współwięzień opisał go jako fanatyka religijnego. Być może mścił się za te skrzywdzone dzieci. Kolejne pytanie brzmi: za co trafił na tak długo do więzienia?

- Montalto odkrył, że jest inwigilowany przez Korbiela, zrobił go w coś.

- Stryju! Kto zadawałby sobie tyle trudu? Mógł go zabić, jak zabił majora.

Młody Werens zaczął krążyć po pokoju. Wreszcie zatrzymał się przy

oknie i długo patrzył na jabłonie rosnące przed domem.

- Stryju, czy wiesz, jak wygląda morwa?

- Mniej więcej. To takie niewysokie drzewo przypominające wysoki krzew. Ma ząbkowane liście, a kwiaty są drobniutkie, zwisają zebrane w kwiatostan.

- A pamięta stryj, jakiego koloru jest morwowe drewno?

- Zdaje mi się, że żółte.

- Jest tego stryj pewien? Żółte? Nie białe? Nie szare?

- Żółte.

- Ja już takie drewno widziałem. Widziałem cały las morwowy. Widziałem to całkiem wyraźnie. Tak jak i właściciela tego drewna. Wiem już, gdzie znajdę pana Montalto. Ale wcześniej muszę wyjaśnić jeszcze jedną rzecz. - Uśmiechnął się triumfalnie i zapytał nic nierozumiejącego stryja: - Czy ma stryj ochotę na wiejskie mleko?

Nie uzyskał odpowiedzi. Wziął kluczyki do samochodu stryja i zbiegł po schodach do garażu.

\*\*\*

Droga do Drogoszy zajęła mu blisko dwie godziny. Pędził, łamiąc wszelkie przepisy. Każda chwila wydawała mu się bezcenna. Zatrzymał się przed wiejskim sklepem. Prawie wbiegł do środka. Rozejrzał się po zalanej mrokiem sali. Była pusta. Wybiegł zatem na zewnątrz i ruszył za sklep. Tam wypatrzył na prowizorycznej ławce poznanego już wcześniej starego chłopca i jakąś kobietę. Pili tanie wino.

- Nazywam się Werens. Byłem tu u was niedawno. Wtedy, jak znaleźli powieszzonego Korbiela. Pamiętacie, nie?

Chłop i jego towarzyszka milczeli. Przyglądali mu się uważnie.

- Sam się nie powiesił - burknął wreszcie chłop.

- I ja tak myślę.



- Czego pan chcesz?

- Mam do was jedno pytanie. A właściwie dwa. Pierwsze jest takie: gdzie dostanę świeże mleko?

- Mleko? - Para z ławki była wyraźnie rozbawiona.

- Tak. Mleko.

- Toż wszędzie! - Chłop przechylił butelkę, wytarł rękawem mokrą, nieogoloną brodę. - A to drugie pytanie?

- Drugie dotyczy matki Korbiela. Gdzie tu jest kościół parafialny?

Po godzinie wracał do domu. Znał już odpowiedź na wszystkie swoje pytania.

## 10 września 1978, niedziela

Deszcz padał nieprzerwanie całą noc i rano. Wyglądało na to, że nie inaczej będzie w ciągu dnia. Szczupły mężczyzna z popaloną twarzą postawił kołnierz jasnego prochowca, na czoło nasunął filcowy kapelusik i ruszył w kierunku błoni Parku Czynu Partyjnego. Tam znajdowało się miasteczko dożynkowe. Mężczyzna przebił się przez hałaśliwą grupę ubranych w niebieskie mundury junaków z ochotniczych hufców pracy i wszedł między setki straganów.

Była ósma. Garbus starał się unikać wzroku ubranych w żółte stroje licznych członków obsługi kiermaszu. Minął stół pokryty czekoladowymi jeżami, stertami sera i chleba. Pod przejściem podziemnym na ulicy Kaliningradzkiej natrafił na wystawę leśników. Kątem oka widział ubranych w myśliwskie stroje ludzi, ich broń i stojące tuż za nimi wypchane sarny i jelenie. Pomimo wczesnej godziny natrafił na spore grupy dzieci. Stało się tak za sprawą wielkiego drewnianego smoka. Obok znajdowały się wigwamy i większe bądź mniejsze zabawki, stanowiące kompleks do zabawy. Mężczyzna minął kolejne stragany, tym razem zawałone kolorowymi narzutami.

Wreszcie wyszedł z parku. Znalazł się na dużym, betonowym placu zastawionym różnej wielkości figurami z drewna. Na skraju placu ustawiono scenę. Mimo zimna i deszczu w rytm muzyki dudniącej z potężnych głośników kilka par przebranych w regionalne stroje wykonywało ludowy taniec. Ich występy obserwował tłum zakrytych parasolami widzów. Ludzie klaskali w skostniałe dłonie, rozgrzewali się, podskakując w miejscu. Minął ich i wyszedł na Aleję Zwycięstwa. Główna ulica przyozdobiona była licznymi hasłami wychwalającymi władzę robotników i chłopów. Garbus

natrafił na przemarsz orkiestr. Idąc obok nich w kierunku Starego Miasta, wysłuchiwał kolejnych aranżacji wojskowych piosenek. Tłum gęstniał z każdą chwilą. Przy ratuszu prawie został rozjechany przez autentyczny zabytkowy dyliżans pocztowy, specjalnie sprowadzony na tę okazję. Cztery konie ciągnęły pojazd z przemoczonym hejnalistą i równie mokrym poczmistrzem.

Mijane obrazy robiły niewyobrażalne wrażenie. Oto jacyś ludzie w strojach gimnastycznych skakali przez rozstawionego na środku ulicy skórzanego kozła. Inni pokrzykiwali w języku, który rozszyfrował jako niemiecki, jakieś ostre komendy i przebijali dłońmi piłkę na drugą stronę siatki, zza której dobiegały okrzyki po rosyjsku. Przemoczeni siatkarze toczyli regularny bój w strugach deszczu, obserwowani przez skulonych mieszkańców miasta. Przy Wysokiej Bramie natrafił na pokaz mody zorganizowany przez Domy Towarowe "Centrum". Chude dziewczyny prawie biegały po śliskim wybiegu, chcąc jak najszybciej skryć kunsztowne fryzury i makijaże przed wodą lejącą się strugami z nieba.

Korbiel, bo to on był mężczyzną, który obserwował ten groteskowy korowód, szedł ulicą zamienioną na deptak w kierunku miasteczka studenckiego. Mijał gigantyczne plansze, propagandowe malowidła, hasła głoszące pochwałę najlepszemu z systemów. Setki, tysiące biało-czerwonych flag zwisających niczym gałęzie oblepione mokrymi, gnijącymi liśćmi. I równie żałosne czerwone sztandary, które poowijały się wokół drzewc i bardziej przypominały źle rozwieszone po praniu gacie niż dumne symbole bratniego kraju. Betonowe figury socjalistycznych siłaczy przytłaczające swym ogromem. Między nimi dyskretnie krążyli ubrani po cywilnemu agenci bezpieczeństwa, milicjanci, rezerwiści-ochotnicy, propagandziści, szpicle, klakierzy i donosiciele. Nad tym wszystkim latał śmigłowiec z kamerzystą, przekazującym telewizjom skalę przedsięwzięcia. Miliony ludzi przed

telewizorami mogły śledzić przebieg uroczystości.

Korbiel dotarł do celu. Przed jednym z akademików stała gotowa do wyjazdu na stadion grupa tancerzy. Garbus rozglądał się z uwagą po tłumie, a kiedy wreszcie wypatrzył Wysockiego, ruchem głowy nakazał mu się zbliżyć. Choreograf niechętnie wykonał polecenie. Kiedy już był przed Korbielem, zaczął nerwowo potrząsać głową. W jego oczach widać było strach. Wysocki miał nieświeży oddech, najwyraźniej ostatniej nocy sporo popił. Korbiel go rozumiał. Pewnie postąpiłby podobnie. Tym bardziej że to ostatni dzień w życiu tego robaka. Po wykonaniu zadania zaginie w niewyjaśnionych okolicznościach. Potem ktoś odnajdzie go przy torach, z głową oddzieloną od tułowia. Cóż, takie rzeczy się zdarzają. Pijany artysta wpadł pod pociąg. Nie on pierwszy, nie ostatni. Ale teraz był mu jeszcze potrzebny. Korbiel zszedł z nim do piwnicy, gdzie znajdowała się niewielka kotłownia.

- Koń stoi w garażach, skryli go przed deszczem. W nocy pilnowała go milicja. Dzisiaj rano widziałem, jak wchodzi do niego z jakimiś torbami - powiedział skacowany Wysocki.

- Sprawdzali go.

- Atrapa jest postawiona na drewnianej platformie. Będziemy ją ciągnęli na linach. Po dziesięciu z każdej strony. Razem dwudziestu ludzi. - Nie było z nim tak źle. Policzył prawidłowo.

- Posłuchaj mnie uważnie - zaczął Korbiel, patrząc w napięciu na Wysockiego. - To jest bomba z zapalnikiem czasowym. Zniszczy wszystko w promieniu dziesięciu metrów. Teraz jest godzina dziewięta dziesięć. Mamy szczegółowo rozpisany program imprezy na stadionie. Wynika z niego, że nasz cel zejdzie ze swą świtą na płytę stadionu dokładnie o jedenastej. Będzie tam przebywał równo pół godziny. Tyle zajmie ceremonia obdarowywania go podarunkami. Uruchomię urządzenie tuż przed włożeniem go do wnętrza

atrapy. Twoje zadanie polega na odciągnięciu na chwilę człowieka pilnującego konia. Znasz go dobrze. To twój kochanek.

- Co się z nimi stanie?

- Z kim?

- Z tymi ludźmi, którzy będą w chwili wybuchu na placu?

- Skąd nagle te wyrzuty sumienia?

- Ja się rozmyśliłem, nie chcę tego zrobić! Nie jestem mordercą!

- Wpuścisz mnie tylko do środka atrapy. Nikogo nie zabijesz! - Korbiel prawie wykrzyknął, czując, że Wysocki wymyka mu się z rąk.

- Nie jestem terrorystą! Jestem artystą!

- Ładnie się zrymowało, ale życie to nie rymy. Czy chcesz, aby twoja żona i dzieci zobaczyły, co wyprawiasz ze swoim kochankiem po nocach? Wierz mi, nie będziesz już miał po co wracać do domu. Masz tylko mi pomóc, to wszystko. Potem się rozstaniemy.

- A zdjęcia?

- Dostaniesz je za pół godziny. - Sięgnął do wewnętrznej kieszeni płaszcza i wydobyl plik zdjęć w foliowym worku. Zamachał nimi przed nosem Wysockiego.

Ten przez sekundę patrzył na nie chciwym wzrokiem. Działo się z nim coś niepokojącego. Czoło miał spocone. Wykrzywił twarz w ponurym grymasie, zawył i w następnej chwili wydobyl z kieszeni przygotowany wcześniej kuchenny nóż. Nie miał doświadczenia w posługiwaniu się nim, więc uderzył na oślep. Ugodził Korbiela w pierś. Nie na tyle jednak celnie, by zabić. Garbus zasyczał, rzucił krótkie przekleństwo i pochwycił w nadgarstku rękę napastnika. Wprawnie ją wykręcił, a potem uderzeniem kolana złamał w łokciu. Wysocki zawył przeraźliwie z bólu i wypuścił z dłoni nóż. Korbiel błyskawicznie złapał go i jednym pchnięciem wbił ostrze w tętnicę szyjną choreografa. Wyciągnął nóż z ciała, wytarł ostrze o jasny garnitur zabitego i

schował broń w wysokim, wojskowym bucie.

Pierś paliła żywym ogniem, ale nie było czasu na jakieś przemyślnie opatrunki. Oderwał kawał należącej do zabitego jasnej koszuli i złożył go w kostkę. Tym prowizorycznym opatrunkiem zatamował krew. Teraz należało coś zrobić z ciałem Wysockiego. Pociągnął go za nogi w kierunku przyzmy węgla. Wepchnął zwłoki w kąt i ruszył w poszukiwaniu łopaty. Znalazł ją nieopodal kotłowniczego pieca. Wrócił do Wysockiego. Co za idiota., pomyślał. Rozwalił cały plan! Ze złością zaczął przywalać ciało zamordowanego błyszczącymi grudami węgla. Kiedy skończył robotę, wyszedł na zewnątrz.

Deszcz padał coraz mocniej, co sprawiło, że ludzie nie zwracali większej uwagi na umorusanego, przygarbionego mężczyznę z plamą krwi na płaszczu. Korbiel ruszył w kierunku atrapy konia. Wiedział, że ma tylko jedno podejście i że musi najpierw uruchomić mechanizm zegarowy. Nie będzie szansy, aby uczynić to we wnętrzu. Po prostu podepnie ładunek od spodu. Przy tym zamieszaniu i pogodzie powinno się udać. Koń górował nad tłumem dzieci gotowych do wymarszu. Poprzebierane w jednakowe stroje radośnie trajkotały, machając na wszystkie strony przygotowanymi przez choreografów rekwizytami: kolorowymi tasiemkami na patykach, plastikowymi obręczami i czerwonymi chustami.

Korbielowi kręciło się w głowie. Idąc, zostawiał za sobą ślady krwi i pyłu węglowego, szybko rozmywane przez deszcz. Wsadził dłoń pod płaszcz. Nerwowo szukał przycisku uruchamiającego mechanizm. Koń był tuż przed nim. Jakież dwa metry. Nikt go nie pilnował. Zimno i deszcz zrobiły swoje. Korbiel uważnie obejrzał się za siebie. Ktoś wydał komendę do wymarszu. Dzieci zaczęły ustawiać się czwórkami. Odnalazł wreszcie mechanizm uruchamiający bombę. Nacisnął go delikatnie i dwoma susami doskoczył do konia. Bez trudności umieścił ładunek na jego podbrzuszu. Bomba była

wyposażona w magnes, który przywarł do jednej z wielu metalowych obręczy stanowiących szkielet atrapy. Nikt nie widział tego, co przed chwilą zrobił.

Uśmiechnął się zadowolony z dobrze wykonanego zadania. Ruszył przez plac. Po chwili wtopił się w tłum. Był już kilkadziesiąt metrów od miejsca, w którym stał koń, kiedy nastąpił potężny wybuch. Smugi deszczu przebiło rozgrzane powietrze i ogień. Kawałki metalu, drewna i sprasowanego papieru posypały się na głowy, ramiona i plecy setek krzyczących dzieci. Korbiel odruchowo padł na ziemię. Zakrył głowę dłońmi. Jakiś twardy przedmiot uderzył go w plecy. Pieprzony Wysocki, pomyślał. Podczas szarpaniny coś musiało się stać z bombą. W kolejnej chwili obok niego upadła małeńka dłoń. Słyszał krzyki, płacz. Plac pokrył gęsty dym. Skorzystał z tego, poderwał się i ruszył w kierunku pobliskiego parku. Po ciałach leżących dzieci uciekał z pogorzelniska. Biegł, ile miał sił. Nie oglądając się za siebie, dopadł pierwszych drzew. Oparł się o jedno z nich i ciężko dyszał. W pewnej chwili spostrzegł biegnącego w jego kierunku milicjanta. Odruchowo sięgnął po trzymany w bucie nóż, wy dobył go, skrył za plecami i czekał na rozwój wypadków. Kiedy milicjant był już przy nim, chciał dźgnąć go stalowym ostrzem. Tyle tylko, że ręka, w której trzymał broń, nagle odmówiła posłuszeństwa. Uniósł ją na wysokość biodra i tak znieruchomiał. Milicjant był kompletnie zaskoczony. Biegł, by ratować tego człowieka.

Ale kiedy zobaczy! w jego dłoni nóż, stał się czujny. Wyciągnął z kabury pistolet i wycelował go w Korbiela. A widząc, że mężczyzna z nożem nie myśli się podporządkować, pociągnął za spust. Korbiel poczuł falę bólu w udzie, która po chwili ruszyła w górę jego ciała.

## 21 sierpnia 2004, sobota

Werens był na dnie. Czuł pod stopami piasek, śliskie glony owijały się wokół jego nóg. Aby mniej się bać, zamknął oczy. Trwał w takim stanie niewyobrażalnie długi czas. Woda wokół niego poruszała się, a ciało Werensa wolno przemieszczało się wraz z nurtem rzeki. Wreszcie odważył się otworzyć przerażone oczy. W następnej chwili otworzył też usta, bo widok, jaki ujrzał, sprawił, że chłopiec stracił zupełnie panowanie nad sobą. Woda błyskawicznie wtargnęła do gardła, zalała płuca. Werens dusił się. Resztki powietrza z jego wnętrza wydostały się do wody, tworząc spienione bąble. To koniec, pomyślał. Ale był w błędzie. Jakiś niewielki bezkształtny przedmiot naparł na jego plecy. Zaraz potem dużo większy uderzył w niego, tak że Werens potoczył się po dnie, mącąc i tak już brudną wodę, z której po chwili wyłoniły się ludzkie postacie, brane przed chwilą przez niego za przedmioty. Otworzył usta jeszcze szerzej, chciał krzyknąć...

\*\*\*

Obudził się zlany potem. Za oknem padał deszcz. Usiadł na łóżku i zaczął płakać. Trwało to na tyle długo, że zmarzł w stopy. To go najpewniej całkowicie obudziło. Wziął szybki prysznic, ubrał się i zbiegł do kuchni. Stryj siedział przy stole, jakby na niego czekając. Kiedy Werens przechodził obok niego, stary zatrzymał go na moment i chwycił za rękę. Werens usiadł obok gospodarza. Zaczęli jeść. Robili to w zupełnym milczeniu. Obaj zdawali sobie sprawę z powagi sytuacji. Wiedzieli już, kto stoi za morderstwami pięciu mężczyzn odwiedzających pałac. Ten człowiek już nie żył. Ale to wcale nie znaczyło, że niebezpieczeństwo minęło. Wręcz przeciwnie. Ci, którzy go powiesili, krążyli gdzieś w pobliżu. To byli potężni ludzie. Mieli swoje wpływy nawet w policji. Oficer Klaman był na ich



usługach. To on zamordował Korbiela. To on stał za śmiercią Molakowej. Być może osobiście kierował ciężarówką, która ją potrafiła. To on inwigilował Werensa. Znał każdy jego krok. Włamał się do jego samochodu, zniszczył opony. Ale mimo wszystko był tylko wykonawcą poleceń. Werens już wiedział, kto jest jego mocodawcą. Po śniadaniu wybierał się do niego. Zamierzał stanąć oko w oko z bestią. Chciał go zdemaskować. Poinformował o tym stryja. Dlatego jedli w całkowitym milczeniu, świadomi, że Werens może z tej wyprawy już nie wrócić. Na pomoc policji nie mogli liczyć. Nie ufali jej. Po tym, co się stało, mieli do tego pełne prawo. Każda informacja w tej sprawie prawdopodobnie przechodziła przez biurko Kłamana.

Teraz ukradkiem patrzyli jeden na drugiego. Kiedy zjedli, nie wstawali od stołu. Eliza krążyła między nimi w milczeniu, patrzyła na obu z niepokojem i czułością. A w pewnej chwili zdobyła się na niezwykły gest. Stojąc za młodym mężczyzną pogłaskała go po głowie. W następnej chwili wybiegła z kuchni, szlochając. Znała ich tajemnicę. Wiedziała o każdym ich odkryciu. Zbyt wiele lat spędziła u boku Mariusza, aby coś uszło jej uwadze. Wreszcie Werens postanowił przerwać tę przygnębiającą ciszę. Spojrzał prosto w oczy krewnego i zapytał:

- Skoro już rozwiązujemy wszelkie tajemnice, to powiedz mi, stryju, dlaczego moi rodzice wyjechali po ślubie na wieś? Dlaczego wróciliśmy tu dopiero po kilku latach? Dlaczego nie zamieszkaliśmy w tym wielkim domu, który po śmierci dziadka stał pusty, tylko wynajmowaliśmy niewielkie mieszkanie u obcych ludzi?

Były ksiądz spojrział na bratanka zupełnie zaskoczony. Nie spodziewał się, że i jemu przyjdzie stawić czoła demonom sprzed lat. Dlatego dłuższą chwilę milczał, by wreszcie powiedzieć:

- Twoja matka była piękną, wspaniałą kobietą. Poznaliśmy się w liceum. Ja, ona i twój ojciec. Wkrótce stanowiliśmy nierozzerwalną trójkę. To się w

końcu musiało stać. Byłem starszy, może odważniejszy. Od dłuższego czasu czułem do niej coś więcej niż przyjaźń. Zakochałem się w niej i wyznałem to. Młoda dziewczyna dała się ponieść uczuciu. Odtąd między nami było coś więcej niż przyjaźń. By nie zranić twojego ojca, spotykaliśmy się w tajemnicy. Początkowo to było nawet zabawne. Twój ojciec się niczego nie domyślał. Ale potem...

Stary Werens zwiesił głowę, wzrok skierował w podłogę. Mówił dalej:

- Ale nie przewidzieliśmy dwóch rzeczy. Tego, że twój ojciec pokocha ją miłością żarliwszą i większą od mojej. A także tego, że mnie do swej służby powoła Bóg. Jak się później okazało, i On miał wobec mnie inne plany. Pojawiła się Eliza... Ale wtedy było wiele łez, ciężkich chwil. Decyzja mogła być tylko jedna. Musieliśmy się rozstać. Na jesieni wstąpiłem do seminarium. Przestaliśmy się widywać. Wkrótce potem dowiedziałem się, że matka zaczęła się spotykać z twoim ojcem.

- Zrobiła to, by się odegrać! - powiedział ponuro Werens.

- Nie, chłopcze. Może i było tak na początku. Dlatego wyjechali, a po powrocie trzymali się ode mnie z daleka. Umacniali swoje uczucie, które z czasem stało się wielkie. I to za sprawą was, dzieci... - zawiesił głos.

- Do czasu... - Młody Werens wstał od stołu.

- Zaczekaj! - Staruszek również podniósł się z krzesła. - Zanim wyjdiesz, posłuchaj. Odwiedź ojca. Wiem, że jeszcze tego nie zrobiłeś. I zostaw "sprawę motyla". Proszę cię, nie ryzykuj! Niech to zrobi kto inny.

- Chciałbym. Ale dobrze wiemy, że jeżeli nie pójde do nich ja, to oni przyjdą do mnie. Do nas...

Teraz stało się coś, czego nie spodziewał się w najśmielszych wyobrazeniach. Stryj objął go mocno i poklepał po plecach. Ale nie była to jego ciepła, starcza dłoń, a jakiś ciężki, wbijający się w kręgosłup przedmiot. Werens spojrzał na stryja pytającym wzrokiem. Ten uśmiechnął się ponuro.

- To dla ciebie - powiedział cicho, tak by nie słyszała go Eliza. - Dostałem go, gdy pracowałem w wiejskiej parafii. Był taki czas, że napady na duchownych były dosyć częste. I to nie tylko rabunkowe... Masz. Jest całkiem sprawny. Użyj go tylko w ostateczności. - Wcisnął w dłoń Werensa ciężki pistolet.

\*\*\*

Deszcz padał bez przerwy. Samochód stryja, za którego kierownicą siedział jego bratanek, wjechał do Śródmieścia. Werens minął Centrum Polsko-Francuskie, skręcił w prawo przy liceum i wjechał na ulicę Mickiewicza. Zatrzymał wóz przy świeżo wyremontowanej secesyjnej kamienicy i ruszył do budynku. Drzwi wejściowe były akurat otwarte i nie musiał naciskać domofonu. Wszedł wolno na pierwsze piętro, stanął pod drzwiami do mieszkania rodziców. Trwał tak kwadrans. W jego głowie kotłowały się myśli. Przystawił ucho do drewnianych drzwi. Słyszał radio, ulubioną rozgłośnię ojca. Wysłuchiwał jakiejś piosenki. Nagle z góry dobiegły czyjeś kroki. To mogła być sąsiadka ojca z drugiego piętra. Poznał jej odwieczne zrzęczenie. Spanikował. Nie potrafił zrobić niczego innego, jak zbiec po schodach do samochodu. Dyszał ciężko, kiedy opuszczał ulicę, przy której spędził dzieciństwo i młodość.

Skierował samochód na drogę numer 527 i popędził w kierunku Elbląga. Mijał kolejne wsie i miasteczka. Gnał w strugach deszczu po śliskiej drodze. Chciał dotrzeć jak najszybciej do celu. Pragnął mieć to już za sobą. Za Morągiem przyszła mu do głowy myśl, aby zawrócić. Poczował strach. Ale wtedy musiałyby zajść do ojca. Mając do wyboru spotkanie z nim lub Montalto, wybrał tego drugiego. Jeszcze mocniej docisnął pedał gazu. Za Młynarami wiała się wąska rzeka Bauda. Był coraz bliżej celu. Zwolnił. Z uwagą odczytywał kolejne nazwy miejscowości. Wreszcie znalazł się na miejscu. Minął ruiny pałacu rodu Dohna w Słobitach. To tutaj zamordowano

prokuratora Markowskiego. Jego ciało w wielkanocny poniedziałek przewieziono nad pobliską Baudę. Tam właśnie teraz zmierzał. Terenowy mercedes bez problemu poruszał się po grząskim terenie. Po kwadransie znalazł się na miejscu. Werens zatrzymał auto.

Przez szybę zalewaną deszczem widział dom na drugim brzegu rzeczki. Dom stał na wzniesieniu otoczonym drzewami. Były to przekwitłe drzewa morwowe. Przypomnił sobie słowa starego stryja: "Szymona z Trydentu odnaleziono zadźganego w wielkanocny poniedziałek nad rzeką. Obok dzielnicy, w której mieszkali mordercy". Korbiel nie był głupi. Wiedział, co robi. Zostawił ofiarę przywiązaną za nogę, tak aby nie odpłynęła. Gdyby tak się stało, nie byłaby to już wskazówka. Potem przypomniał sobie człowieka, którego tu odwiedził. Niewinny starzec w lnianych spodniach i przyciemnianych okularach... Miał takiego wielkiego bernardyna. Nawet uprzejmy gość. Jak to on powiedział? "Niech pan do mnie przejdzie. Przez rzekę. W życiu trzeba spróbować wszystkiego". Jakoś chyba tak? Montalto. Ale jak naprawdę się nazywał? Kiedy Korbiel rozwinął skrzydła i dokonał kolejnego mordu, Montalto poczuł się zagrożony. Musiał być na liście zabójcy numerem jeden. Mało tego, Korbiel wiedział, gdzie on mieszka. Przyciągnął przecież tu wskazówkę, przywiązał ją do drzewa... Dlaczego nie zabił Montalto od razu? Dozował napięcie? Nie miał okazji? Przez to sam zginął. Werens rozmyślał nad sposobem dotarcia na drugi brzeg. To, że nie wejdzie do wody, było oczywiste. Jego noga nie stanęła w wodzie od piętnastu lat. Szerokim łukiem omijał jeziora, rzeki i baseny. Wysiadł z auta. Rozglądał się za przeprawą. Deszcz zalewał mu oczy.

Tu gdzieś musi być most, pomyślał i w tej samej chwili zobaczył jakiegoś zakapturzonego człowieka wielkimi susami pędzącego w jego kierunku. Dostrzegł go zbyt późno, by się bronić. Zdążył tylko ustalić, że tym mężczyzną jest ubrany w przeciwdeszczowy płaszcz Klaman. W następnej

chwili Werens otrzymał silny cios w szczękę, kolejny w splot słoneczny. Upadł w błoto. Leżał tam zwinięty w embrion. Deszcz nie przestawał padać. Werens słyszał nad sobą jakieś głosy. Ktoś go podnosił, chyba wciskał na tylne siedzenie samochodu. Słyszał uruchamiany silnik. Gdzieś go wieziono. Czyżby za chwilę wszystko miało się skończyć? Po kwadransie stracił przytomność...

Odzyskał ją na krześle, do którego był przywiązany. Miał wykręcone do tyłu ręce, sznur wrzynał się w nadgarstki. Otworzył oczy. Miał problem z widzeniem na prawe oko. Widocznie Klaman rozciął mu łuk brwiowy. To by potwierdzało obfite krwawienie. Spodnie i sweter Werensa były oblepione, teraz już zakrzepłą, krwią. Na dodatek całkowicie przemókł. Jego ciałem wstrząsały dreszcze spowodowane gorączką. Lewym okiem dostrzegł skorumpowanego policjanta. Klaman krążył po pomieszczeniu, paląc papierosa. Potem Werens zobaczył jeszcze kogoś. Dobrze wiedział, kim jest drugi z oprawców.

To przecież był ten sam człowiek, który podsłuchiwał jego rozmowę z Molakową... Siedział wtedy przy sąsiednim stoliku. Werens widział go na cmentarzu. Kolejny zły policjant. Ilu ich jeszcze znajduje się w tym domu? Czy ci trzej to już wszyscy?

Dostrzegł też w końcu tego, kogo szukał nad Baudą. W wygodnym fotelu siedział Montalto. A więc byli w jego domu. Jak tu dotarli? Prawdopodobnie gdzieś w okolicy był most. Ale jakie to teraz ma znaczenie?

Nie miał szans na dłuższe rozmyślenia, bo odezwał się Montalto. Głos miał pogodny. Jakby byli dobrymi znajomymi i za chwilę mieli razem pójść na grzyby. Werens nie miał złudzeń. Owszem, jego ciało trafi do lasu, tyle że martwe i być może w kilku kawałkach. Próbował ustalić, czy nadal ma broń. Jego pistolet, niestety, leżał na stole, przy którym siedział Montalto.

- Jesteś bardzo ciekawskim człowiekiem, Werens - usłyszał słowa starego

bandyty. - W swych poszukiwaniach zaszedłeś bardzo daleko. Niestety, zbyt daleko... Dalej droga się kończy. A może zaczyna się głęboka woda... Co wybierasz? Kulkę z pistoletu czy może rów z wodą. - Uśmiechnął się szyderczo. - Co, przeraziłem cię? Boisz się wody, prawda? Od dnia piętnastych urodzin. Wiem o tobie bardzo dużo. Ja wiem wiele o ludziach. Znam ich najskrytsze pragnienia i sekrety. To jak to wtedy było? Kto był na tej łodzi? Ty, młodszy brat i wasza matka. Który z was wpadł na pomysł, żeby rozbijać łódkę? Ty czy brat? Pomimo krzyków i prośb przerażonej matki. Nikt z was nie potrafił pływać. Nie mieliście kół ratunkowych, bo kto by myślał nad spokojną wodą o takich głupstwach. No to kto? Ty czy brat? Proszę nie odpowiadać. Niech zgadnę. To ty, prawda? Dlatego nie potrafisz spojrzeć w oczy ojcu. Przyjechałeś do miasta i nawet nie zajrzałeś do starego. A on ci wybaczył. Wiem to.

Werens szarpnął się do przodu. Wykrzyknął:

- Co mu zrobiłeś, bydlaku?!

- Ja? Absolutnie nic. Nawet go nie znam. Nie jest mi do niczego potrzebny. Paradoksalnie, przez to, że go nie odwiedziłeś, uratowałeś mu życie... Co innego twój stryj. Cóż, wypadki chodzą po ludziach. Jest jeszcze ta kobieta. Jak jej na imię? A, Eliza. Nie nacieszą się długo swoim związkiem. A może to będzie kara za grzech? Stary ksiądz Mariusz opuścił swoje owieczki. Stał się heretykiem. Tak, jego śmierć zdecydowanie będzie karą za złamanie przysięgi. Co prawda historia Kościoła zna przypadki, kiedy ktoś popadał z nim w konflikt... Ale potem okazywał skruchę i wracał na jego łono. Kościół uwielbia spektakle poniżenia. Taki na przykład Aleksander Szósty.

Werens czuł, że blednie.

- Tak, tak, mój drogi. Wiem, że rozmawialiście o nim jakiś czas temu. Ja dużo wiem. Jak by to powiedzieć, hm...? Lubię podsłuchiwać. Zostało mi to z

dawnych czasów. Kilka drucików, kabelków i blaszek, a jaka w nich drzemie moc! Ale wracając do Aleksandra... Czy wiesz, że kiedy w paskudny sposób zabito mu syna, postanowił się nawrócić? Nawet poczynił w tym kierunku jakieś kroki. Ten papież, który według Diderota miał powiedzieć: "Wszzechmogący Boże! Jak długo jeszcze trzeba będzie znosić tę zabobonną sektę chrześcijan i ich parweniuszowski wynalazek?!", chciał się nawrócić. Dasz wiarę? Ale natury ludzkiej nie da się zmienić. Nawet śmierć najbliższych nie jest w stanie tego sprawić. Koronnym tego dowodem jest twoja postawa, przyjacielu.

- Nie jestem twoim przyjacielem! - wydusił przez zaciśnięte zęby Werens.

Tamten jakby nie słyszał tych słów, bo ciągnął dalej:

- A zrozpaczony Aleksander wkrótce oczywiście powrócił do rozwiązłości i mordów. Ot, chwilowe załamanie. Świadczące o słabości i poczuciu winy. Opamiętanie przyszło w porę. Ale zdaje się, że to jest zły przykład.

- Jesteś szalony, Montalto!

- Zbyt krótko się znamy. Twoja wiedza na mój temat nie upoważnia do stawiania takich tez. Za to ja znam wszystkich bliskich tobie ludzi. Wszystkich. Nawet tę śliczną panią weterynarz, z którą zabawiałeś się nad jeziorem. Ta druga, z więzienia, co ma zbyt długi język, też jest grzechu warta, prawda, Werens? Lubisz kobiety. Kręcą cię cudze żony. Dreszcz emocji, zdrada, kłamstwa. Potem szybko wiejesz. To twoja zasada. Albo raczej brak zasad. Mógłbyś być dobrym kainitą. Masz potencjał. Może warto dać ci szansę?

- Nie mieszaj do tego tych kobiet!

- Właśnie, jak ona się nazywa, ta z więzienia?

- Szulc. Szulc, panie generale - powiedział Klaman.

- Aha, Szulc. Podobno jest w ciąży. O, to smutne. Naszemu krajowi są potrzebne dzieci. To jego przyszłość. A jaką przyszłość ma nasz dziennikarz?

Już odpowiadam. Niestety, nie ma żadnej przyszłości.

Werens trząsł się na krześle, próbował wyswobodzić z krępujących go sznurów, co tylko potęgowało ból.

- Powiedz mi, dlaczego zabiłeś Molakową? - zapytał przez zaciśnięte zęby.

- O, to proste. Wiedziała o spotkaniach w pałacu. Póki milczała, żyła. Popełniła błąd, opowiadając ci o tej historii.

- Ale dlaczego? Minęło tyle lat!

- To jest dobre pytanie. A na takie zawsze warto odpowiedzieć. Wszystko przez tego idiotę Korbiela. W więzieniu przeszedł nawrócenie. Postanowił zemścić się na nas. W swym chorym umyśle uroił sobie, że pozabija nas w taki sposób, w jaki ginęli pierwsi święci. On kochał świętych. Nas już mniej...

- A motyle?

- Dostał je ode mnie w prezencie. W Drogoszach była ich wielka kolekcja.

- Kim ty jesteś? - zapytał wreszcie Werens.

- W zaistniałej sytuacji mogę ci to powiedzieć. Nazywam się Szubert. Generał Szubert. Przez wiele lat kierowałem wojskowym kontrwywiadem. Teraz przeszedłem na zasłużoną emeryturę. Równie wiarygodna jest wersja, w której stanowią przywódcę grupy religijnej. Swego czasu mówiono nawet, że odznaczam się wielką charyzmą. Niestety, człowiek się starzeje. Bracia odchodzą z tego świata w mniej bądź bardziej naturalny sposób. Ja zaś przez ciebie muszę opuścić mój piękny, wygodny dom, z którym wiąże się wiele wspomnień. Po twojej śmierci będę musiał wyjechać. Tu zaroi się od policji, dziennikarzy...

- Policja stoi chyba po twojej stronie?

- Klaman jest oddanym oficerem. Gdybyż było więcej takich jak on! Niestety, policja mnie nie lubi.



- Po co spotykaliście się w pałacu? Nie wierzę, że wyłącznie dla wynaturzonych zabaw.

- Wynaturzone zabawy?! Czy ty wiesz, o czym mówisz? Kiedy siedemnastoletni Oktawian został Janem Dwunastym, jego rezydencja stała się burdelem. Prostytutkom płacił kielichami ze złota i naczyniami liturgicznymi. Uczestników orgii mianował biskupami, nawet dziesięcioletnich chłopców! To dopiero były zabawy! A my? W porównaniu z tamtymi byliśmy niewinni. Ale te spotkania to rzeczywiście był tylko pretekst. Wybrałem tych ludzi starannie. Miejsce również.

- To wam się akurat udało. Wiekowy pałac na odludziu.

- Zaczęło się znacznie wcześniej. - Montalto patrzył za okno - Po wojnie jako bardzo młody oficer pojechałem na Dolny Śląsk. Lepiej nie mogłem trafić. Przydzielono mnie do grupy tropiącej ukryte przez Niemców wojenne trofea. Skarby o wielkiej wartości. Naziści do końca wierzyli, że Śląsk pozostanie w ich rękach. Nawet po wojnie. Stało się inaczej.

- Co to były za skarby?

- Zasoby dolnośląskich banków, kosztowności ludności cywilnej, depozyty, biżuteria jubilerów. Wśród tych kosztowności były również dzieła sztuki.

- To wtedy się wzbogaciłeś?

- Niezupełnie. Podczas gdy moi kompani tropili złoto złożone we wrocławskim Kolegium Policji, mnie bardziej interesowała sztuka. Od dzieciństwa miałem dobry gust.

- Kradłeś dzieła sztuki.

- W roku tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym trzecim aresztowano człowieka o nazwisku Witczak. W rzeczywistości nazywał się zupełnie inaczej, bo Susman, i wcale nie był leśnikiem, a członkiem Werwolfu. Tajnej podziemnej organizacji hitlerowskiej mordującej Polaków. Ten Susman na

przesłuchaniu zeznał, że jest w posiadaniu wiadomości o ukrytych pod koniec wojny dziełach sztuki. Ruszyliśmy do wsi o nazwie Cieplice, do willi niejakiego Grundmanna.

Na miejscu, w pobliskiej bibliotece Schaffgotschów, znaleźliśmy skrzynie ze zbiorami z katedry na Wawelu, Wilanowa, Łazienek, Muzeum Narodowego i Muzeum Czartoryskich, a także skrzynię ze zbiorami prywatnymi jakiegoś niemieckiego arystokraty-kolekcjonera. Ale ja znalazłem coś o stokroć dla mnie cenniejszego.

- Co to było?

- W cudowny sposób wpadła mi w ręce Wulgata. Najstarsza wersja, spisana przez samego Hieronima ze Strydonu! Wziąłem ją sobie... Mam ją zresztą do dzisiaj. Najbardziej w tym wspaniałym dziele zafascynowały mnie teksty zawarte na końcu.

- Te niekanoniczne? - zapytał poruszony Werens.

- Tak. Mogę powiedzieć, że właśnie wtedy zrodziła się moja fascynacja złem. Najwięcej rozważań dotyczących problematyki dobra i zła znalazłem w pismach sekty kainitów. Bardzo mało znanej, o której do tej pory niewiele wiadomo. Czyż to nie wspaniałe? Ci, którzy mienią się dobrymi, w istocie są sługami zła. Odwrócenie pojęć. To kainici stworzyli Ewangelię Judasza, dopiero od niedawna znaną światu.

- To brednie szaleńców!

- Dobro i zło. Jahwe, zły Saklas, albo inaczej mówiąc Szatan, który oszukał ludzkość. I jego przeciwieństwo: potępiony w Starym Testamencie Kain. W istocie jedyny, który oparł się złemu Saklasowi.

- Co było dalej? Założyłeś sektę?

- Wpierw przez lata zgłębiałem tajemne teksty w samotności. Studiowałem starożytne języki. Dopiero z czasem postanowiłem podzielić się moimi przemyśleniami z innymi. Założyłem elitarne bractwo... Teraz

wystarczyło tylko przekonać kilku wpływowych ludzi do mojej idei. Znaleźć odpowiednie miejsce. Jak widać, udało się.

- Kłamiesz, generale. To są brednie, w które nie da się wierzyć. To nie był powód. Niepotrzebna była cała ta konspiracja, żeby sobie poużywać.

- Jesteś dociekliwy i za to cię lubię. Chociaż muszę zabić... No dobrze, czy podoba ci się system, w którym przyszło nam żyć?

- Znam gorsze.

- Bzdura! Sam nie wierzysz w to, co mówisz! A w latach siedemdziesiątych było podobnie jak teraz, do władzy doszli ludzie słabi. Bez wyrazu, niezbyt stanowczy. Należało ich szybko zmienić. Wzmocnić rządy. Chwycić was wszystkich za pysk.

- Zawiazaliście spisek. Chcieliście obalić władzę.

- Brawo! Nie było szans na to, że oddadzą rządy sami. Z drugiej strony wciąż mieli zęby, żeby kąsać. Należało nimi wstrząsnąć. Postanowiliśmy dokonać zamachu. To znana od wieków i sprawdzona metoda osiągnięcia celów. Najlepiej było zabić gdzieś na uboczu, na prowincji. Tam było łatwiej. Ale w taki sposób, żeby cały naród się o tym dowiedział. Wpadliśmy na pomysł, aby to były centralne dożynki, święto ludzi pracy, impreza nieprawdopodobnie nagłośniona medialnie.

- Korbiel miał być zamachowcem.

- Korbiel był głupcem. Wszystko poszło nie tak. Bomba wybuchła wcześniej, zginęły dzieci.

- To dlatego w oficjalnych informacjach znajduje się komunikat, że program obchodów został skrócony. W gazecie z tamtych dni znalazłem akapit mówiący o fatalnej pogodzie. Ale to nie do końca była prawda, co?

- Następnego dnia musieliśmy rozwiązać sprzysiężenie. Wszyscy mieli milczeć. Zrobiliśmy im zdjęcia w pałacu z tymi dziećmi... To była nasza polisa. Bardzo skuteczna zresztą.

- Korbiel trafił do więzienia i przeszedł nawrócenie. Te martwe dzieci nie dawały mu spokoju. Zaczął żarliwie studiować Biblię. Wtedy wpadł na pomysł, aby ukarać członków zgromadzenia za gwałcenie przykazań bożych. Po wyjściu postanowił was pozabijać. Ale w niezwykle sposób. Mieliście zginąć jak pierwsi męczennicy. To była kara za łamanie boskich nakazów.

- Udało mu się częściowo.

- Dlaczego nie zabiliście go w więzieniu?

Generał milczał.

Werens uśmiechnął się złośliwie. Znał powód jego decyzji.

- Już wiem, dlaczego został przy życiu. Korbiel był twoim synem, generale. Pojechałem do parafii w Drogoszach. Odnalazłem tam akt chrztu. Jedna z tych kobiet podała twoje nazwisko jako ojca. Szubert. Wtedy nic mi ono nie mówiło, ale teraz... Generale Szubert, kazałeś zabić własnego syna. Być może zrobiłeś to osobiście.

- Mój syn był idiotą. Dlatego zginął. Ty zabiłeś matkę i brata. Kto z nas jest większym zbrodniarzem? Ja działałem w samoobronie. Szukał mnie, chciał dopaść.

- Mógł to zrobić już zimą, kiedy wyszedł z więzienia. Dlaczego tego nie zrobił?

- Nie wiem, widocznie chciał, żebym się bał.

Werens zamilkł. Ponownie tonął. Słowa o zabójstwie brata i matki wróciły ze zdwojoną siłą. Szubert trafił w najczulszy punkt. Mimo to pragnął wiedzieć jak najwięcej. Zapytał o Biernata.

- Biernat był kiepskim lekarzem. Ale potrzebowałem go z dwóch powodów. W więzieniu chronił tego bękarta. Gdybym mógł przewidzieć, co ten garbus zrobi...

- Biernat miał dostęp do narkotyków, prawda? Załatwiał je na wasze orgie.

- Brawo.

- A prokurator? Dlaczego go wybraliście?

- Markowski, zanim wyjechał z miasta, pracował w sądzie. Miał wgląd w ważne dla nas akta.

- Sąd spłonął w styczniu siedemdziesiątego szóstego.

- Nie było wyjścia.

- A ten policjant, Gesler?

- Rajmund był oddany sprawie. Nie interesowały go zaszczyty i pieniądze. Był moim zbrojnym ramieniem. To on torturował ludzi. Był w tym dobry. Prawdziwy sadysta. Takiego potrzebowałem. Bez skrupułów. Cichy i dyskretny. Młody Korbiel pobierał u niego nauki. Jak widać, nieźle go wyszkolił. To nawet zabawne, że Gesler zginął z jego ręki.

- A ten dyrektor domu dziecka? Niewiele mógł pomóc w planie obalenia władzy.

- Miał chłop nerwy. Przywoził te dzieciaki przez kilka lat. Krążyły plotki, domysły... Któreś się poskarżyło wychowawcy... To była chyba dziewczynka. Umiał wszystko wyciszyć. Ten dociekliwy wychowawca dostał podwyżkę i przeniesienie. A dzieciaka obejrzał Biernat. Dał jej psylocybinę. Tak jak to zawsze robił z innymi dziećmi. Działa pięć, sześć godzin. Nie trzeba jej wstrzykiwać, rozpuszcza się w wodzie... Tej dziewczynce dał tego znacznie więcej... Nastąpiło trwałe zaburzenie postrzegania. Kto teraz miał jej wierzyć w bajki o nagich panach?

- Ale przecież te dzieci były gwałcone! Zostały ślady!

- Przesadzasz. Czy wiesz, co teraz robią ze sobą czternasto-, piętnastolatki?

- Wygląda na to, że nie wiem.

- A do tego w takim skupisku jak dom dziecka. Komu zresztą miały się skarżyć. I na co? Niewiele pamiętały.

- Bydlaki!

- Według naszych norm było odwrotnie. Pamiętaj, że za wzór mieliśmy Sodomę i Gomorę.

- To czyste szaleństwo!

- W twoich ustach to komplement. Ale dość już wspomnień. Porozmawiajmy o przyszłości. Niestety, nie twojej, bo tę już znamy. Utopisz się za chwilę w naszej szemrzącej Baudzie. To dla ciebie niespodzianka, prawda? Boisz się wody. Jak niczego innego. Bez obaw, wcześniej moi współpracownicy podadzą ci lek o nazwie midazolam. Ten oto, który trzymam w dłoni. Działa godzinę, po sześciu będzie nie do wykrycia. Popijesz go wódeczką. Lubisz pić, prawda? Sprawdziliśmy to.

Werens ponownie zaczął się szarpać, czuł, jak krew płynie mu po przegubach.

- To będzie nieszczęśliwy wypadek. Alkohol, panika związana z wodą. Nikt temu nie zaprzeczy. A teraz opowiem o niedalekiej przyszłości twoich nowych znajomych. Pięknej pani weterynarz i równie ponętnej, ale wścibskiej Ewy z więzienia. Czy wiesz, że ona tropi sprawców zabójstwa jej ojca, który został znaleziony w kałuży krwi na dziedzińcu barczewskiego więzienia?

- Wypadł biedaczysko przez okno. Wcześniej ktoś go pobił... - Klaman zaśmiał się za plecami Werensa i uderzył go podeszwą buta w plecy. Dziennikarz jęknął.

- Kiedy to było, Klaman? Przypomnij staremu człowiekowi.

- Chyba w siedemdziesiątym ósmym, panie generale. Tak, w lutym.

- A, rzeczywiście. Poczciwy Gesler chwycił go za kłapy marynarki i hop, za okno!

- Tatuś pani psycholog był przełożonym młodego Biernata. - Klaman tłumaczył przebieg wydarzeń drugiemu z oprychów. - Odkrył znikające leki... Zaczął węszyć...

- Mniejsza o to - Szubert wszedł mu w słowo. - Postanowiłem pociągnąć wątek męczeńskich losów pierwszych chrześcijan i znalazłem rozwiązanie, z którego twój stryj byłby zadowolony. Bo to on, jak wiemy, podpowiada ci, gdzie szukać śladów. Stary księżyna, który na koniec zwariował. Obraził się na kanony! Kochał się w twojej matce, mówił o tym? Romantyczna historia, nie ma co. Ale do rzeczy. Niejakie Perpetua i Felicita żyły w drugim wieku naszej ery. Jak setki innych poniosły śmierć męczeńską. Taką, jaką przygotowałem twoim przyjaciółkom. Dwa w jednym, w ciuchu naszych czasów. Druga śmierć gratis. Koniec informacji. Stary Werens będzie miał czym się zajmować po waszej śmierci. On przeżyje was o kilka tygodni. Żeby, jak to się mówi, dać świadectwo. Tyle że nikt mu nie uwierzy w historyjki o Acta martyrum, które odtworzono po blisko dwu tysiącach lat. Muszę się z tobą pożegnać. Niestety, obecny tu oficer i jego kolega, pan Klaman, mają informacje, że ktoś w komendzie zainteresował się moją skromną osobą. Z żalem zatem muszę wyjechać z kraju. Opuścić to piękne miejsce, moje ukochane drzewa morwowe.

- Znajdą cię, morderco! Jak nie teraz, to za kilka lat!

- W moim wieku kilka lat to cała wieczność. Żegnam! - Generał podał Klamanowi strzykawkę i wyszedł z pomieszczenia, wcześniej dając znak drugiemu z bandytów.

Po chwili dał się słyszeć warkot silnika. Potwór opuszczał swoją kryjówkę. Wkrótce nastała cisza. Zostali we trzech. Werens, któremu mocniej zaciśnięto na nadgarstkach sznur, Klaman i ten trzeci. Przerażony dziennikarz miał w głowie pustkę. Widział, jak Klaman z uwagą ogląda strzykawkę wypełnioną jakimś ciemnym płynem, jak idzie z nią do stołu i tam kładzie. Wiedział, że za chwilę wbije mu ją w rękę, a wtedy on straci przytomność. Więcej jej nie odzyska. Wleją mu do żołądka pół butelki koniaku i wrzucą go do rzeki. Wypadek. Tak to będzie wyglądało.

Nadużywający alkoholu dziennikarz wpadł do rzeki. Nurt zabierze go ze sobą w kierunku Zalewu Wiślanego. Nikt nie będzie w stanie ustalić, gdzie się utopił. Ale wprawdzie będą musieli go odnaleźć. Do tego czasu jego ciało napęcznieje, zmieni barwę. Nikt nie zada sobie trudu, aby szukać milimetrowego nakłucia na ramieniu. To koniec. Nie ma szans na ratunek.

Klaman, uśmiechając się ironicznie, wyszedł z pomieszczenia. Wcześniej zacisnął mu żelazną dłoń na przedramieniu. Igła ze strzykawką złowrogo błyskała z blatu stołu.

Wtedy stało się coś, czego Werens zupełnie się nie spodziewał. Stojący tuż obok dziennikarza mężczyzna doskoczył błyskawicznie do niego. Nakazał mu milczenie i rozplątał węzeł na nadgarstkach.

- Szybko - rzucił krótko i wskazał nic z tego nierozumiejącemu Werensowi drzwi wyjściowe. Ten roztarł sztywne ramiona i wolno wstał z krzesła. Zatoczył się. Z ulgą spojrzął na leżącą strzykawkę. Klaman gdzieś zniknął. Może rozmawiał na zewnątrz z generałem? Potem Werens skierował wzrok na swojego wybawcę. Ten wnet pojął intencję tego spojrzenia. - Nie ma czasu na wyjaśnienia. Nazywam się Wilk. Jestem oficerem policji. Od kilku miesięcy zajmuję się tą sprawą.

Werens wziął ze stołu strzykawkę i cisnął nią o ścianę. Potem wybiegli w dwóch z pomieszczenia. Szybko pokonali odległość dzielącą dom od terenowego forda. Wskoczyli do jego wnętrza. Wilk błyskawicznie uruchomił silnik. Auto aż podskoczyło na kamiennym podejździe. Werens nieprzytomnym wzrokiem błędził po konturach domu. Dłużej zatrzymał się przy morwowym zagajniku. Szczególnie przyglądał się najwyższej z morw. Myślał przez sekundę o Montalto. To drzewo przez lata przynosiło mu wiele korzyści. Teraz go zdradziło i pokonało.

Samochód stryja został po drugiej stronie. Nie było czasu, aby do niego dotrzeć. Autem Wilka popędzili przez las. Werens rozcierał poranione



nadgarstki, ślinił palce i wycierał krew. Kiedy już nieco ochłonął, zadał kierowcy pytanie:

- To pan mnie inwigilował przez ostatnie dni?

- Chroniłem pana, to różnica.

- A tamten?

- To zdrajca. Generał skorumpował go wiele lat temu. Wiedzieliśmy o tym.

- To dlaczego go nie aresztowaliście? Ich obu.

Wilk uśmiechnął się chytrze.

- A te dzieci z pałacu? Trzeba ukarać tych ludzi, oni wciąż są na wolności!

- Te dzieci to teraz dorośli ludzie.

- A ten zamach na jesieni siedemdziesiątego ósmego?

- Był jakiś zamach? Padał deszcz. Odwołano uroczystości.

- Przecież Korbiel został schwytany! Był proces, wyrok...

- Korbiel nie żyje. Chce go pan drugi raz osądzić?

- Przecież to robota generała! On za tym wszystkim stoi.

- Generał w tym czasie był w Warszawie. Ma na to świadków. Nikt nie wie, co działo się naprawdę w pałacu. Molakowa już nic nie powie.

- Wiem, tu nie chodzi o tych zabitych. - Werens zaczął rozumieć sens ostatnich wydarzeń. - Wam chodzi o coś innego.

Wyjechali z lasu. Minęli wiejskie zabudowania. Werens zerknął za siebie. Droga była pusta. Nikt ich nie gonił.

- Ten rękopis Wulgaty ma nieopisaną wartość - powiedział Wilk, nieco zwalniając. - To, co posiada generał, jest unikatem na światową skalę. Hieronim ze Strydonu pisał równocześnie dwie wersje Wulgaty. Tę, którą potem przedstawił światu, i drugą, z uwzględnionymi apokryfami. Przez ponad tysiąc pięćset lat o drugiej księdze właściwie nikt nie wiedział. Hieronim zmarł w Betlejem. Stamtąd rękopis wyruszył w nieznaną bliżej

drogę. Przekazywano go sobie z rąk do rąk w wielkiej tajemnicy. W pewnej chwili trafił do Berlina. Nabył go wysoki oficer Abwehry. Kiedy pod koniec wojny pojawiło się niebezpieczeństwo przejęcia księgi przez Rosjan, ukryto ją na Dolnym Śląsku. Niewielu się interesowało drewnianą skrzynią, która zaginęła w Cieplicach z biblioteki Schaffgotschów. Były rzeczy ważniejsze. Zbiory Czartoryskich, z Łazienek... Wulgata wpadła w ręce młodego Szuberta. Późniejszy generał dobrze ją ukrył. Nie wiedzieliśmy, gdzie szukać księgi.

- A tutaj?

- Nie był tak głupi. Wielu ludzi jest na jego usługach. Większość z nich znamy. Robią to ze strachu albo pod wpływem szantażu. Towarzystwo pałacowe ma się całkiem dobrze. Można nawet powiedzieć, że bardzo dobrze. Ostatnio widziałem jednego z nich w telewizji. Stał się wielkim moralizatorem.

- Skoro wiecie, kim są ci ludzie, to dlaczego nic nie zrobicie?

- Pan wybaczy. Nie odpowiem na to pytanie.

- Ale przecież generał ucieka! Ma krew na rękach.

- No właśnie. A skoro ucieka, to już na zawsze...

- I zabiera ze sobą to, co najcenniejsze. - Werens zaczął rozumieć.

- Teraz pojechał po rękopis. - Wilk był doskonale zorientowany w sytuacji. Kim on był w rzeczywistości? Werens nie miał wątpliwości, że prócz ukończenia szkoły policyjnej musiał kiedyś zajmować się profesjonalnie dziełami sztuki. Być może był zwerbowanym przez policję historykiem sztuki.

- Gońmy go! Przecież on zwieje!

- Nie tym razem. Dobrze go pilnujemy. Zaprowadzi nas wprost do księgi. Jest zdenerwowany, nie dba o ostrożność.

Wilk okazał się znakomitym kierowcą. Drogę od willi generała do granic

miasta pokonali w godzinę. Werens przez całą drogę próbował połączyć się z Hanną. Niestety, telefon milczał. Coś musiało się stać. Generał nie blefował. Chciał jej zrobić krzywdę. A co z Ewą Szulc? Ona również milczała. "Abonent jest czasowo niedostępny. Prosimy zadzwonić później". Wysłuchał tej formułki już któryś raz. Kiedy dotarli do centrum, Werens poprosił, aby Wilk zawiózł go na Fałata. Policjant nie miał co do dziennikarza innych planów, tu rola Pawła się kończyła.

Pokiwał więc głową ze zrozumieniem i skierował samochód we właściwym kierunku. Rozstali się przed domem stryja, podając sobie dłonie.

\*\*\*

Ale Paweł nie zamierzał beczynnie czekać na rozwój wypadków. Wbiegł do willi, w salonie wpadł na przestraszoną Elizę, przeprosił ją i pognął do stryja. Ten, słysząc hałas, wyszedł mu naprzeciw z gabinetu.

- Stryju, stało się coś straszego! Wiem to! Hanna, ta młoda weterynarz, i Ewa, kobieta, która pomagała mi w więzieniu, zostały uprowadzone.

- Spokojnie. Powiedz wolno, co się właściwie wydarzyło.

Werens poprosił, aby wyszli na zewnątrz. Był przekonany, że dom stryja jest na podsłuchu. To, że Montalto się ulatniał, nie znaczyło wcale, że jego ludzie w dalszym ciągu nie prowadzą swej działalności.

W ogrodzie błyskawicznie opowiedział stryjowi o wydarzeniach z kilku ostatnich godzin. Nie pominął niczego. Kiedy zakończył, patrzył mu w oczy w skupieniu. Liczył na pomoc. Nie było wiele czasu. Właściwie to nie było go wcale. Należało coś postanowić. Tylko co? Ludzie generała porwali obie kobiety, przewieźli je w tylko sobie wiadome miejsce. Gdzie ich szukać? Jak? Werens zapamiętał słowa Szuberta. Teraz powtórzył je byłemu duchownemu: "Niejakie Perpetna i Felicjta żyły w drugim wieku naszej ery. Jak setki innych poniosły śmierć męczeńską. Taką, jaką przygotowałem twoim przyjaciółkom. Dwa w jednym, w duchu naszych czasów. Druga

śmierć gratis. Koniec informacji". Stryj zmarszczył czoło i intensywnie o czymś myśląc, poprosił o papierosa. Od czasu, gdy rozpoczęła się ta niezwykła historia, na okrągło studiował zawartość Acta martyrum. W pewnej chwili poszedł do domu i po dłuższej chwili wrócił z opasłą księgą. Chwilę zajęło mu znalezienie odpowiedniego ustępu, aż wreszcie na jego twarzy pojawił się niewielki uśmiech. Znalazł to, czego szukał. Palcem wskazującym śledził tekst i zaciągnąwszy się głęboko papierosem, wolno czytał:

- "Za panowania Septymiusza Sewera w pobliżu Kartaginy w roku dwieście trzecim pojmano pięcioro ludzi. Wszyscy oni byli katechumenami, znalazła się też wśród nich kobieta o imieniu Perpetua. Była ona córką chrześcijanki i poganina i pochodziła z zamożnego domu. Była mężatką, miała dziecko".

- To tak jak Hanna - powiedział poruszony Werens.

- Mówiłeś coś? - rzucił z naganą w głosie stryj. Nie znosił, kiedy mu przerywano. Po chwili czytał dalej: - "W więzieniu znalazła się wraz z ciężarną Felicytą..."

- Co?! - wrzasnął dziennikarz, nie bacząc na reakcję stryja. - Ewa. Ewa Szulc. Jest w ciąży. Pracuje w więzieniu.

- "Wkrótce uwięzieni katechumeni przyjęli chrzest" - ciągnął dalej stryj. - "Kazano im się wyprzeć wiary. Kiedy odmówili, skazano ich na śmierć".

- Stryju! Wiem, gdzie one teraz są! Nie ma chwili do stracenia!

\*\*\*

Werens wybiegł z ogrodu przed dom. Tuż za nim ruszył stryj. Niestety, jego samochodem nie mogli jechać, a auto byłego księdza zostało nad rzeką. Dziennikarz był zrozpaczony. Każda sekunda była ważna. Nerwowo rozglądał się po cichej ulicy. Nagle rzucił się w kierunku sąsiedniej posesji. Jakiś nastoletni dryblas podjechał pod metalową furtkę, na której uwiesiła się

rozpromieniona dziewczyna, zapewne jego sympatia. Werens już był przy chłopaku. Wyrwał mu trzymane luźno w dłoni kluczyki i, ku całkowitemu zaskoczeniu młodzieńca, wskoczył do wnętrza jego nowiutkiego, stalowego Citroena. W ślad za nim poszedł stryj. Jego mina zdradzała stosunek do właśnie dokonanej kradzieży. Wzniósł oczy do nieba, jakby chcąc się wytłumaczyć, równocześnie zapinając pasy bezpieczeństwa. Ruszyli z piskiem opon, wznosząc tuman kurzu. Wskoczyli na ulicę, a wkrótce pędzili na północ krajową "szesnastką". Gnali, nie zważając na ograniczenia szybkości. Droga do więzienia zajęła im piętnaście minut. Werens po drodze wysłuchiwał kolejnych informacji o wydarzeniach z trzeciego wieku. Stryj mówił:

- Podczas pobytu w więzieniu Perpetua miała wizje. W pierwszej z nich stąpała po drabinie, a w dole leżał smok. Drabina symbolizowała męczeństwo. Na górze znajdował się ogród, w którym starzec doił owce i każdemu, kto się pojawiał, dawał kawałek sera.

- A w tej drugiej?

- Zobaczyła zmarłego w młodości brata, który próbował napić się z basenu wody, ale nie było to możliwe, bo jego brzegi były zbyt wysokie.

- Co zobaczyła za trzecim razem?

- Znalazła się na arenie z Szatanem, który przybrał postać szpetnego Egipcjanina. Pokonała go, a w nagrodę otrzymała gałąź ze złotymi jabłkami.

Werens kręcił kierownicą, myśląc ciągle o słowach stryja. Wiedział, że mógł się w nich znajdować klucz do zagadki. Co wymyślił szalony generał? Jakim sposobem umieścić Hannę za więziennym murem? Więzienie było strzeżone całą dobę. Stawało się jasne, że miał za jego murami kogoś, kto mu pomagał. Tylko kogo? Jedyńą osobą, która mu przychodziła na myśl, był paskudny młody oficer z bólem zębów. Zapewne udawanym. Ewa też mówiła o nim z niechęcią. Czyżby to był on? Ale to, że ktoś jest

nieuprzejmy, nie musi oznaczać, że współpracuje z bandytami. Więc kto? W więzieniu pracuje setka ludzi. Każdy z nich mógł być człowiekiem generała. Werens z rozpaczą na twarzy patrzył na potężny kompleks więzienny, odcięty od świata grubym, wysokim murem.

- Stryju, jak zginęły te kobiety? Kto wykonał na nich wyrok?

- Cała piątka została skazana na pożarcie przez dzikie zwierzęta. Ale wygłodniałe bestie nie chciały zaatakować ludzi. Wtedy posłano gladiatorów z mieczami. Ci zamordowali wszystkich, także Perpetuę i Felicję.

- Coś się nie zgadza, nie wiem co, ale w tym wszystkim wyczuwam jakiś podstęp.

Werens zatrzymał samochód, wysiedli. Krążyli przed bramą, czym zwrócili uwagę strażnika. Był nim poznany już wcześniej zwalisty Jan. Strażnik uważnie oglądał dziennikarza i towarzyszącego mu starca. Werens ruszył w jego kierunku.

- Czy widział pan Ewę? To znaczy panią psycholog?

Mężczyzna wreszcie rozpoznał Werensa, bo nawet się do niego uśmiechnął. Ale Werensowi wcale nie było do śmiechu. Ponowił pytanie:

- Czy wchodziła dzisiaj do więzienia pani psycholog Ewa Szulc? - Ton jego głosu był poważny i zatroskany. Zrobiło to wrażenie na dotychczas lekko znudzonym strażniku, bo przestał się uśmiechać i rzekł:

- Stoję tu cztery godziny. Nie widziałem pani Ewy. Nie wydaje mi się, żeby wchodziła. Dzisiaj sobota.

Werens uzmysłowił sobie, że poznał tę kobietę tak niedawno, a myślał o niej w tej chwili jak o kimś najbliższym. Jak bardzo pragnął ją teraz zobaczyć! Ale to będzie trudne, jeżeli się w ogóle uda.

- Czyli nie wchodziła. Jest pan tego pewien? A pański poprzednik, czy mógłby nam pomóc?

- Pewno śpi. Po nocy, to i zmęczony.

- Proszę pana, błagam! Niech nam pan pomoże! To sprawa życia lub śmierci! Pani Ewa jest w śmiertelnym niebezpieczeństwie!

Słowa Werensa zrobiły na strażniku wrażenie, bo wyjął telefon komórkowy i zadzwonił do kolegi strzegącego wejścia przed nim. Po chwili uzyskał połączenie. Najwyraźniej zdenerwował rozmówcę, bo dłuższą chwilę go przeproszał. Kiedy zakończył rozmowę, zwrócił się do mężczyzn pod bramą:

- Mówi, że nikt nie wchodził. To znaczy nie wchodziła pani psycholog. Jest tego pewny.

- A może jego poprzednik...? - jęknął stary.

- Stryju - Werens rozwał jego nadzieje - to musiałyby być wczoraj. W piątek rozmawiałem z nią telefonicznie. Ja wiem, że one tutaj gdzieś są! Tylko gdzie?

Mówił na tyle głośno, że stojący w metalowych drzwiach strażnik słyszał jego słowa.

- To bardzo stare więzienie. Wcześniej był tu klasztor.

Dziennikarz nadstawił uszu, słuchał słów tamtego. Z każdym kolejnym coraz uważniej. No tak, przecież ten człowiek był chodzącą encyklopedią wiedzy o więzieniu. To o nim Ewa Szulc mówiła, że jest znawcą historii tego ponurego kompleksu. Strażnik mówił:

- Rzeczy mają się tak. W widłach rzek Kiermas i Pisy za sprawą biskupa warmińskiego... Zaraz, jak on się nazywał? Na końcu języka mam... Eberhard z Nysy, o! No to w roku tysiąc trzysta dwudziestym szóstym powstała osada, przy której rozpoczęto budowę kościoła wraz z konwentem dla braci mniejszych z prowincji saskiej św. Jana Chrzciciela. Biskupi przez wieki oddawali zakonnikom ziemie za murami miejskimi po drugiej stronie kanału. Od wschodniej strony.

- Kanału? - Werens zadrżał. Czuł, że trafił na właściwy trop. Przeklęta

woda! Nienawidził jej i bał się zarazem. Generał znał ten jego lęk. Od chwili pojawienia się w domu stryja ta cholerna woda nie opuszcza go nawet na chwilę. Nie inaczej musi być i teraz. Zacisnął usta i słuchał dalej. Strażnik opowiadał o więzieniu, nie szczędząc szczegółów.

- Robota szła w najlepsze. W roku tysiąc osiemsetnym na terenie przyklasztornych ogrodów rozpoczęto budowę trzykondygnacyjnego budynku. To była potężna budowla. Same fundamenty miały metr grubości! I wtedy właśnie w części frontowej budynku umieszczono duże cele. A te mniejsze, pojedyncze, znajdowały się w środkowym, czterokondygnacyjnym skrzydle. Tym z niskim parterem. Tam zamykano niepokornych zakonników, żeby ich przywołać do porządku. Ale po trzydziestu latach władze pruskie postanowiły zamknąć klasztor.

- To skąd się wzięło więzienie? - zapytał Werens.

- Czy ja mówię niewyraźnie? No przecież wiadomo, że z tego klasztoru. Dokonano sekularyzacji, zakonników przegnano.

- Kiedy to się stało?

- W roku tysiąc osiemset trzydziestym drugim otwarto oficjalnie więzienie. Trzy lata później zbudowano ceglany mur działowy oddzielający budynek główny od oddziału czternastego.

- To obecny mur nie jest murem oryginalnym?

- A skąd! W roku tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym wokół przedsiębiorstwa przywięziennego wybudowano nowy mur, a stary, ten z roku tysiąc osiemset sześćdziesiątego, z czasem rozebrano.

- A zatem kształt więzienia różni się od tego sprzed wieków? Mówiąc inaczej, nie trzeba przechodzić za mur, aby znaleźć się na terenie więzienia. Historycznie okolica należała do klasztoru, który został przejęty przez więzienie?

- Zgadza się. - Strażnik uśmiechnął się szeroko. Jego opowieść



najwyraźniej zaciekała tych ludzi. Nie zawsze tak bywało.

- Niektórych budynków po prostu już nie ma? - zapytał Mariusz Werens.

- Wiele elementów bezpowrotnie uległo zniszczeniu, spaleniu, rozbiórce.

Nawet staw...

- Jaki staw?!

- A na Kapuśniakach. Przy klasztorze mnisi utworzyli sztuczny staw.

Kiedyś był on zwany Młyńskim...

- Czy on istnieje nadal? Mówił pan, że staw też zniszczono?

- A gdzie tam! Nie w takim znaczeniu. Tylko zmienili nazwę. Z Młyńskiego na Więzienny. To zasadnicza różnica. A staw jest, jakże by inaczej? - Znowu uśmiechnął się szeroko. - Teraz to miejsce spacerów.

Ale na spacer nie było czasu. Werens musiał odnaleźć dwie kobiety, którym groziło śmiertelne niebezpieczeństwo. Kto wie, może już było za późno... Ale nie myślał teraz o tym.

Pobiegli nad staw. Droga zajęła im kilka chwil. Nawet stary ksiądz się nie ociągał. Jego serce biło jak oszalałe, w płucach brakowało tlenu. Przy stawie znaleźli się prawie równocześnie. Dochodziła godzina dwudziesta pierwsza. Miasto wraz ze stawem zanurzało się w letniej nocy. Co dalej? Jeżeli przyjąć, że generał odwoływał się precyzyjnie do wydarzeń opisanych w Acta martyrum, Hanna i Ewa powinny zginąć z rąk gladiatorów, a wcześniej należałoby się spodziewać jakichś dzikich zwierząt. Ale skąd w tym miasteczku miałoby się wziąć gladiatorzy? Albo głodne lwy?! To nonsens! Werens nie miał pojęcia, co robić dalej. Intuicja podpowiadała mu, że trafili na właściwe miejsce. Spojrzał z nadzieją na wspierającego się rękoma o kolana stryja. Ten dyszał ciężko, otwartymi szeroko ustami łapał powietrze.

- Stryju, co robić? Wiem, że jesteśmy u celu. Perpetua i Felicjta zginęły w więzieniu. Jesteśmy na terenie dawnego więzienia.

Stryj odzyskał wreszcie oddech.

- Za... Zapo... Zapominasz... - Chyba jednak nie do końca odzyskał. - Zapominasz, chłopcze, o widzeniach tej kobiety.

- W pierwszym widzeniu szła w górę po drabinie. Odrzucam tę wizję. Do tego więzienia nie da się wejść po drabinie.

- Chyba raczej wyjść?

- Też nie. Hanna nie mogła znaleźć się za tymi murami. Strażnik jest tego pewien.

- A druga wizja?

Werens zastygł w bezruchu. Po chwili powiedział:

- W drugim widzeniu zobaczyła zmarłego w młodości brata, który próbował napić się wody z basenu. Ale brzegi były zbyt wysokie... Jesteśmy nad stawem... Kim jest ów brat?

- Martwy brat - uzupełnił stryj.

- Nie! - krzyknął Paweł. - To jakieś szaleństwo! Skąd generał wiedział, że tu trafię?! Miałem zginąć! - nagle zrobił się blady. - Stryju, tym martwym bratem jestem ja. Ta układanka mogła się udać tylko przy jednym założeniu.

- O czym ty mówisz?

- O Wilku. O moim wybawcy. Zabawili się ze mną! Wszyscy trzej! Generał, Klaman i ten rzekomy dobry policjant. Wilk. Nie ma takiego oficera. Jest tylko historia sprzed wieków, którą chcą odtworzyć. Oni ciągle się bawią w tajemne bractwo. Jak to mówił Szubert? "W życiu trzeba wszystkiego spróbować". No to próbują. I gdzieś tutaj są. Czają się w ciemnościach. Nasza śmierć to taka sama podnieta jak orgie w pałacu. Generał wymienił tylko starych i martwych, Geslera, Markowskiego i Biernata, na nowych. Bardziej przebiegłych, bystrych i okrutnych.

Werens rozglądał się z niepokojem po okolicy. Teraz nie tylko Hanna i Ewa były w niebezpieczeństwie. Groziło ono również byłemu duchownemu i młodemu dziennikarzowi. Nagle stało się coś niezwykłego. Stary Werens

najnormalniej w świecie, niczym na plaży, rozłożył się na nadbrzeżnej trawie. Założył ręce pod głowę i patrzył na wschodzące gwiazdy. Potem sięgnął do kieszeni po paczkę papierosów. Wyciągnął jednego i przypalił. Głęboko się zaciągnął. Smuga dymu uniosła się nad nim i rozplynęła w ciemnościach.

- Stryju, co ty? Oszalałeś?

- Dlaczego?

- Tu gdzieś kryją się ci bandyci, a ty w najlepsze sobie leżysz i fajki palisz?!

- A co mam robić?

- Jak to co? Być czujnym!

- Nie ma większego sensu.

- Co?! No nie! Postradałeś, stryju, zmysły ze strachu!

- Którą mamy godzinę?

- Dochodzi dziesiąta.

- No właśnie. To mamy kilka godzin spokoju. Perpetua i Felicjta zginęły o świecie.

## 22 sierpnia 2004, niedziela

Trawa robiła się mokra, a to za sprawą porannej rosy i gęstej mgły, jaka okryła staw i leżących przy brzegu mężczyzn. Wcześniej, bo przed północą, Werens poszedł w ślady stryja i położył się obok niego. Leżąc bark w bark, patrzyli na odbijające się w wodzie gwiazdy. Paczka z papierosami robiła się pusta. Wreszcie Paweł powiedział:

- Dlaczego twoja Eliza mnie nie lubi? Patrzy z niechęcią, a ostatnio to nawet się nie pokazuje. Czeka, aż wyjdę z domu.

- Eliza ciebie nie lubi? Pierwsze słyszę! Odnoszę odwrotnie wrażenie.

- Stryju, nie żartuj. Moje pojawienie się w domu zepsuło wasz dotychczasowy rytm dnia.

- To niezwykła kobieta. Wpadliśmy na siebie w trudnym czasie. Ja zostałem proboszczem w małej parafii. To było moje największe wyzwanie. Ona straciła dziecko i męża. Winiła siebie za to, co się stało. Chciała popełnić samobójstwo. Zaproponowałem jej pracę. Z czasem poznaliśmy się bliżej, zakochaliśmy w sobie. Owszem, są tacy, którzy potrafią łamać zasady. Ja nie mogłem dłużej tak żyć. W kłamstwie. Musiałem dokonać wyboru.

- Powiedziałaś, że Eliza chciała popełnić samobójstwo? Dlaczego?

- W jej domu wybuchł pożar. Spaliło się wszystko, cały dorobek życia. Uratowała się tylko dlatego, że w chwili, kiedy to się stało, pracowała na nocnej zmianie. Była robotnicą w fabryce.

- To straszne! To przecież nie była jej wina.

- Ona uważała inaczej. Gdyby była w domu, może by wyniosła chociaż dziecko...

- Nie mogła im pomóc.

- A ty mogłeś? Wiele was łączy. Ona pragnęła śmierci, ty uciekłeś z

miasta.

- To nie to samo. Ja byłem wtedy razem z nimi. Widziałem, jak toną. Nie pomogłem im.

- Nie miałeś szans im pomóc. Byłeś dzieckiem.

- Ojciec uważa inaczej. Dlatego nie mogę pójść do niego.

- A skąd to wiesz? Czy ci to powiedział?

- Wiem to. Gdybyś widział, jak on na mnie potem patrzył!

- To była wielka tragedia dla nas wszystkich. Także dla mnie...

Zamilkli.

Leżeli dalej, czując coraz większy chłód od wody. Po słowach stryja Werens nie czuł lęku przed tym, co się z nim stanie. Jedyłą troską napawała go myśl o uwięzionych kobietach. Nie mógł nic postanowić, bo nie wiedział, co zaplanowali ludzie generała. Będzie musiał błyskawicznie zareagować na przebieg wypadków. Zerknął na zegarek, dochodziła godzina czwarta. To powinno się zacząć w najbliższym czasie. Acta martyrum mówiły o zbrodni dokonanej o świcie. Wstali z trawy i rozprostowali kości. Potem skryli się za wysokim żywopłotem. Zrobili to bez większego przekonania. To Wilk i Klaman rozdawali w tej grze karty. Na ich pierwsze skinienie będą musieli opuścić kryjówkę. Zza krzaków nie uratują kobiet. Nie było pewności, czy nie są obserwowani. Nie skrywali się jakoś szczególnie. Każdy mógł widzieć dwóch mężczyzn leżących na trawie i palących papierosy. Dla przypadkowego przechodnia wyglądali jak nieszkodliwi opoje odpoczywający po suto zakrapianej imprezie. Aż dziw, że nie zatrzymał ich patrol straży miejskiej. Być może strażnicy nocą omijali to ponure miejsce, sąsiadujące z upiornie wyglądającym w świetle księżyca więzieniem. Werens zdawał sobie sprawę z tego, że to on ma być świadkiem śmierci kobiet. Ma w przyszłości dać świadectwo zbrodni.

- Stryju, pamiętasz, jak przyjechałem, to opowiedziałeś mi o pechowym

trzynastym. O mistrzu templariuszy Jacques'u de Molay, którego zamordowano właśnie trzynastego. Śmiałem się, kiedy okazało się, że to nie trzynasty jest pechowy, ale w wyniku zmiany kalendarza z juliańskiego na gregoriański dwudziesty drugi.

- No to co?

- To właśnie dzisiaj. Zaczął się dwudziesty drugi sierpnia.

- To tylko legenda.

- Mam wrażenie, że od kilku dni przeszłość chodzi za nami krok w krok.

- Wszystko będzie dobrze.

- Skąd ta pewność?

- Wierz mi.

Stary Werens wymówił się pełnym pęcherzem i ruszył w kierunku pobliskich drzew. Młody został sam. Nagle od strony niewielkiego mostku dobiegł plusk wody. Jakby ktoś delikatnie wiosłował. Werens zadrzał. Wyteżył wzrok, którym próbował przebić gęstą mgłę. Dostrzegł jakiś smukły kształt. Jakąś zjawę wynurzającą się z oblepiającej staw białej zawiesiny. Kształt rósł. Z każdą minutą stawał się coraz większy, wreszcie przybrał postać człowieka, a właściwie jakiejś rozrośniętej sylwetki kobiecej. Werens mógł już dokładnie zobaczyć, kim jest stwór na łodzi, bo postać stała w głębokiej łódce. Były to Hanna i Ewa. Kobiety stały na środku pokładu odwrócone do siebie plecami. Związano je sznurem, a w usta wciśnięto gałgany uniemożliwiające krzyk. Dawało to niesamowity widok. Jakby po wodzie szedł dwugłowy człowiek z czterema krótkimi rękoma szczelnie przylegającymi do bioder. Łódka wolno wypłynęła na środek stawu. Prąd wodny kierował ją dalej, do rzeki. Sztuczny staw zbudowany przez zakonników setki lat temu łączył się z rzeką, do której płynęła łódź. Werens dostrzegł przerażenie w oczach kobiet. W miejscu, gdzie staw łączył się z nurtem rzeki, znajdował się stromy uskok. Kiedy łódź tam dotrze, kobiety nie

utrzymają równowagi i wpadną do wody. Złączone ze sobą pójdą na dno. Miał niewiele czasu, by coś zrobić. Ale w dalszym ciągu, niczym zahipnotyzowany, stał w miejscu i patrzył na zbliżającą się do uskoku łódź.

Stary Werens nie wracał. Nie było nikogo, kto by mógł Pawłowi pomóc. Był zły na stryja, że w takiej chwili gdzieś się zawieruszył. Łódź była o kilka metrów od uskoku. Kobiety zaczęły się szarpać, próbowały wyzwolić się z więzów. Gdzieś w mroku kryli się ci, którzy je związali i przenieśli na łódź. Kiedy kobiety pójdą na dno i utoną, oni znikną tak samo bezszelestnie, jak się pojawili. Teraz czekają na finałową scenę spektaklu. Współczesne Perpetua i Felicjta zaraz zginą. Werens przypomniał sobie treść starych zapisków. W drugim widzeniu brat jednej z kobiet nie może sięgnąć wody z basenu. To on. Basen zastąpił staw. Pragnienie, którego nie może zaspokoić, to te dwie kobiety, które powinien ratować.

\*\*\*

Nie może sięgnąć wody. Nie może do niej wejść. Za nic w świecie tego nie uczyni! Już raz wpadł do wody. Zginęli wtedy jego najbliżsi. Cóż z tego, że krzyczał na brata, aby przestał bujać łódkę. Ten go nie posłuchał. Widział przerażenie w oczach matki. Przez ułamek sekundy dostrzegł biegnącego w ich kierunku ojca, słyszał jego krzyk. Potem woda zakryła mu usta, oczy. Obok niego pojawiła się matka, jej długie, gęste włosy, z których tak była dumna, teraz ciągnęły ją w dół. W te włosy wsadził dłonie jego brat, uczepił się ich kurczowo. Jego twarz wykrzywiła się, jakby był zdziwiony tym, co się stało. Ja tylko chciałem się bawić, zdawał się mówić. W następnej sekundzie obsunął się poniżej bioder Pawła. Matka długo utrzymywała się tuż pod taflą wody. Jakimś cudem nie ruszyła za synem. Ale w pewnej chwili ciężkie, drewniane wiosło uderzyło ją w skroń. Jej twarz zakryła brunatna plama krwi. Zanim opadła na dno, dostrzegł jej smutne oczy. Wiedział, że za chwilę dołączy do niej. Ale wtedy silna dłoń ojca pochwyciła go za koszulę.

Gwałtownie ruszył w górę. Po sekundzie był na powierzchni. W usta pochwycił haust ciepłego powietrza. Ojciec przełożył go sobie przez ramię. Popłynęli do brzegu. Półprzytomny padł na trawę. Widział, jak ojciec biegnie z powrotem do wody, rzuca się w jej nurt, płynie w kierunku miejsca, gdzie zatonała łódź. Znika pod wodą. Trwa to długo, bardzo długo. Potem pojawia się jego głowa. Ojciec krzyczy. Ten jego krzyk niesie się po całej wodnej tafli, uderza w brzeg, idzie w las, w pola.

\*\*\*

Werens oprzytomniał. Hanna i Ewa były przy uskoju. W następnej chwili ich łódź runęła w dół. Kobiety zachwiały się i wypadły do wody. Szły na dno. Skręcone powrozem, który uniemożliwiał im uwolnienie się. To Werens miał być świadkiem ich śmierci. Historia sprzed wieków została odegrana na nowo. Patrzył na ich śmierć. Był mężczyzną znad basenu, który nie potrafił sięgnąć wody.

To tak nie może się skończyć! - pomyślał i z krzykiem rzucił się w ciemny nurt. Nie potrafił pływać. Ale też nie potrafiłby dalej żyć ze świadomością, że nic nie zrobił dla ratowania tych kobiet. Woda wypełniła mu usta. Sięgała mu po szyję. Ruszył w kierunku tonących. Po chwili był tuż przy nich. Wymacał dno łodzi. Z wysiłkiem uniósł je do góry. Kobiety były pod spodem. Wiły się, w walce o życie szarpały na boki, raniąc wzajemnie. Werens objął je w talii, nabrał w płuca powietrza i z siłą, o którą by siebie nie podejrzewał, uniósł obie do góry. Znalazły się nad wodą. Chyba zrozumiały, co się dzieje, bo przestały się szarpać i tym samym ułatwiły mu zadanie. Objął je niczym najdroższy skarb. Krok po kroku dowlekl się z nimi do brzegu. Skarpa była łagodna, przez co łatwo wyciągnął je na trawę. Potem padł obok nich. Leżeli tak dłuższą chwilę we trójkę.

Wreszcie odzyskał siły. Powoli, bo sznur był sztywny i śliski, uwolnił je z więzów. Z ust wyciągnął kneble. Po wielu godzinach wspólnego uwięzienia,



jakby nie potrafiły teraz się od siebie uwolnić. Usiadł przy nich. Leżały jedna obok drugiej, stykając się plecami. Potem, jakby na komendę, zwróciły się twarzami do siebie i objęły serdecznie. Płakały ze szczęścia. Tak jak jeszcze przed chwilą marzyły o uwolnieniu ze straszliwych objęć, tak teraz szukały swoich rąk, jedna skryła głowę w ramionach drugiej.

Werens po chwili odpoczynku i radosnego uniesienia ponownie stał się czujny. Kobiety zostały uratowane, ale dwóch gangsterów, bezwstydnie mieniących się policjantami, gdzieś tu siedzi i zapewne rozmyśla, co dalej. Nie pozwolą im odejść, ot tak, nie należy na to liczyć.

Nie mylił się. Zza załomu muru wysunęły się dwie sylwetki. Wilk i Klaman stali z twarzami zwróconymi w ich kierunku. Werens nie mógł odczytać wyrazu tych twarzy, bo mieli za sobą pierwsze promienie wschodzącego słońca. Dostrzegł tylko, że prawie równocześnie sięgają do kieszeni luźnych kurtek. To koniec, pomyślał. Teraz nas zastrzelą. Takie dostali rozkazy. Bandyci ruszyli w ich kierunku. Werens przygarnął kobiety do siebie, tylko to mógł uczynić w tej ostatniej chwili...

\*\*\*

Nagle rozległo się wycie policyjnych syren. Dwa pojazdy wyskoczyły z przeciwnych stron, w ten sposób, że odcięły gangsterom drogę ucieczki. Ci bez namysłu wyciągnęli broń i skierowali ją w kierunku radiowozów. Rozpoczęła się regularna wymiana ognia. Policjanci skryci za samochodami ostrzeliwali bandytów cofających się w kierunku rzeki. W pewnej chwili rzucili się w jej nurt. Teraz, nie mogąc strzelać, rozpaczliwie pragnęli dostać się na drugi brzeg. Jeden z nich, Wilk, został postrzelony w bark. Wypuścił pistolet i wyjąć, wyczołgał się na płaski brzeg. Tam czekali już na niego policjanci z nowo przybyłego radiowozu. Klaman nie zamierzał się poddawać. Ruszył z nurtem rzeki. Policjanci śledzili jego ruchy. Szli przy brzegu, obserwując pływającego. Woda przybierała na sile. Klaman ubrany w

niewygodną, ciężką od wody kurtkę z każdą chwilą tracił coraz więcej sił. W pewnej chwili woda zniosła go na wystający z głębiny konar jakiegoś drzewa. Ostry szpikulec rozerwał mu ramię, z którego szybko zaczęła wypływać krew. Inna gałąź unieruchomiła go na dobre. Mimo wszystko nie zamierzał się poddać. Wyszarpnął rękę z bolesnego uścisku i płynął dalej. Rzeka nabierała coraz większego impetu. Klaman płynął wprost na kolejny uskoku, tym razem dużo wyższy. Jego ciało kręciło się wokół własnej osi, znikało pod wodą, wreszcie dotarło do uskoku. Klaman wydał ostatni okrzyk. Potem zniknął w topieli i już nie wypłynął.

\*\*\*

Eleganckie volvo dojechało do granic miejscowości Świnoujście. Kierowca skierował pojazd wprost do bazy promowej. Jechał na dworzec morski. Dłuższą chwilę krążył pomiędzy potężnymi placami składowymi, przeładunkowymi i magazynami. Mijał setki ciężarówek i aut osobowych. Zwolnił, by nie wpaść na jednego z licznych turystów albo podróżnych kierujących się do potężnych tramwajów pasażerskich. Wreszcie mężczyzna zajechał na parking, opuścił luksusowe auto i skierował się do galerii prowadzącej wprost na rampę. Szedł drogą dojazdową do promu samochodowo-pasażerskiego o nazwie "Pomerania". Prom płynął do Kopenhagi. Samotny mężczyzna szedł z trudem. Co chwila przystawał i łapał oddech. Ukradkiem rozglądał się po bokach. Sprawiał wrażenie bardzo zdenerwowanego.

Był w połowie drogi, kiedy podeszło do niego dwóch postawnych mężczyzn w ciemnych garniturach. W jednej sekundzie wyrwali mu z dłoni elegancki neseser, który stanowił cały jego bagaż, a w kolejnej nałożyli mu na dłonie kajdanki. Kompletnie zaskoczony stary człowiek nie był w stanie wypowiedzieć słowa. Pasażerowie idący na prom przystawali, poruszeni bezpardonowym zachowaniem mężczyzn wobec sympatycznego staruszka.

Domagali się wyjaśnień, chwyтали za telefony i dzwonili po policję. Uspokoili się dopiero w chwili, gdy jeden z osiłków wyciągnął służbową legitymację i poprosił o nieutrudnianie pracy. Wtedy sympatia dla starca jakby zmalała. Ludzie podnosili swoje ciężkie bagaże i szli dalej. Po chwili zapominali o całym zajściu.

## Epilog

Eliza kręciła się po kuchni. Co jakiś czas zaglądała do salonu i wesoło podśpiewywała. Kobieta miała poważne zadanie. Owo zadanie ważyło dziesięć kilo, było włochate i siedziało w ocienionym kącie, gdzie z przejęciem wdychało kuchenne zapachy. Przy tym merdało z zadowolenia ogonem. Eliza po raz kolejny spojrzała na psa z troską. Jej niepokój brał się stąd, że nie znała się na karmieniu psów, a tym bardziej na psach, które właśnie opuściły klinikę weterynaryjną. Pies zdawał się doceniać jej wysiłki. Dlatego siedział grzecznie i czekał na porcję pachnącej wołowiny.

W salonie również działy się rzeczy ważne. Dwóch Werensów od kwadransa siedziało wygodnie w fotelach. Stary Werens w dłoni trzymał kieliszek czerwonego hiszpańskiego wina. Tego popołudnia nie przeszkadzało to Elizie. Alkohol w dłoniach męża był w pełni usprawiedliwiony. Paweł pił ciepłą herbatę. Z uśmiechem patrzył na krewnego i wreszcie powiedział:

- W pewnej chwili zwątpiłem w ciebie, stryju.
- Nigdy nie należy wątpić w bliskich. - Stryj dwoma palcami trzymał nóżkę kieliszka i pociągał delikatnie kolejny łyk.
- To było wtedy, kiedy zniknąłeś nad rzeką.
- Pomyślałeś, że uciekłem, prawda?
- Chyba tak...
- I niepotrzebnie. Twój stary stryj nigdy nie był tchórzem.
- Powiedz, jak to się stało, że przyjechało tyle policji? Przecież wiedziałeś, że Klaman z Wilkiem dostają na bieżąco wszelkie nowe informacje i zaraz by się dowiedzieli o takiej akcji.
- Wbrew pozorom to nie było trudne. - Były ksiądz uśmiechnął się

figlarnie. - Pamiętasz tego nowiutkiego, stalowego citroena?

- Tego, którego żeśmy... pożyczyci?

- Tak, właśnie tego. Zadzwoiłem na policję i powiedziałem, że wiem, gdzie stoi skradziony samochód.

- Stryju, jesteś wielki. Ale jak to zrobiłeś, że przyjechało aż tyle policji?

- To nie było trudne. Z przejęciem w głosie dodałem, że obok samochodu odbywa się jakaś podejrzana transakcja. Jest wielu młodych mężczyzn z błyszczącymi przedmiotami za paskiem. Uwierzyli. Czemu mieli nie uwierzyć? Właściciel samochodu zgłosił kradzież. Numery się zgadzały. Wysłano dwa radiowozy, trzeci dojechał, kiedy padły strzały...

- Dziękuję ci. Uratowałeś nam życie!

- Bez przesady! Tylko zadzwoniłem.

- Pozwolisz, że teraz ja gdzieś zadzwonię?

- Chyba nawet wiem gdzie.

Werens uściskał dłoń starego i sięgnął po telefon komórkowy. Wyszedł na balkon. Chwilę z kimś rozmawiał. Kiedy wrócił, ruszył do kuchni. Pies leżał syty pod oknem. Najwyraźniej Eliza utrafiła w jego kulinarne gusta.

- Chodź! - powiedział do psa, przywołując go równocześnie dłonią. Pies wykonał polecenie. Ruszył za Pawłem do drzwi. Po chwili wyszli na podwórko. Przed domem stał jego golf. Auto było zupełnie sprawne. Stało się tak za sprawą stryja, który był nieoceniony. Po powrocie na Fałata nie poszedł spać, tylko zabrał się za ściągnięcie auta do serwisu naprawczego. Po dwóch godzinach zajechał z fasonem przed dom. Potem zasiadł w fotelu i w takiej pozycji zastał go młody Werens. Czekala go również wizyta na komendzie policji, ale jej termin ustalono na poniedziałek. Teraz, wypoczęty, zajął miejsce w samochodzie. Tuż za nim siedział pies. Dziennikarz uśmiechnął się pod nosem i powiedział:

- Historia zatoczyła koło, mój czworonożny przyjacielu. Spotkałem cię

trzynastego w piątek i siedzimy w tym samym samochodzie również w piątek, to znaczy w niedzielę. Dwudziestego drugiego, który powinien być trzynastym... Cholera, to wszystko jest zawile. Będę musiał ci to wytłumaczyć. Czasu, mój drogi, mamy wiele.

Ruszyli. Pies z ciekawością śledził mijane ulice i stojące przy nich budynki. Delikatnie obijał ogonem siedzenie. Zajechali na ulicę Mickiewicza. Zatrzymali się pod bankiem. Po kilku minutach do ich auta podeszła Hanna. Była uśmiechnięta, nosiła biały jedwabny kostium, w którym wyglądała znakomicie. Rękawy garsonki zakrywały poranione nadgarstki. Werens wyskoczył z samochodu, podbiegł do niej i gorąco pocałował. Stali tak objęci dłuższą chwilę. Potem Hanna wyjęła z torebki niewielki woreczek. Podając go Werensowi, powiedziała:

- To od dziadka. Prezent. Motyle to piękne, wspaniałe owady, nieprawdaż?

Werens trzymał na dłoni niewielkie przezroczyste pudełko, wewnątrz którego był doskonale zachowany okaz jedwabnika.

- Od dzisiaj będzie mi się kojarzył z życiem, a nie śmiercią - powiedział wzruszony.

- Wiem to. A teraz idź do ojca. Będę tu na ciebie czekała. Nie musisz się spieszyć. Macie sobie wiele do powiedzenia.

- Chyba tak. - Pocałował ją po raz kolejny i ruszył w kierunku wielkich drewnianych drzwi do kamienicy. W pewnej chwili obejrzał się za siebie. Hanna ruszyła z psem na pobliski plac. Widząc, że ją obserwuje, pomachała do niego i czule się uśmiechnęła.

## Od Autora

Pragnę podziękować pani Janinie Rogalskiej-Koźbiel za pierwsze uwagi. W następnej kolejności dziękuję Markowi Jędrasikowi za materiały o sekcje kainitów. Również Marek Parulski niechaj przyjmie słowa podziękowania za teksty o gnostykach. Dobrym źródłem informacji o starym Olsztynie były książki nieżyjącego już Stanisława Piechockiego. Wiedzę o budownictwie na Warmii i Mazurach czerpałem ze świetnego albumu Pałace i dwory dawnych Prus Wschodnich autorstwa Małgorzaty Jackiewicz-Garniec i Mirosława Garnca. Willa przy ulicy Fałata w rzeczywistości nie istnieje, podobnie jak i rodzina Werensów. Są oni wytworem mojej wyobraźni. Stadion Leśny i pobudowany na bagnach w ekspresowym tempie stu osiemdziesięciu dni Stadion Miejski to obecnie popadające w ruinę budowle. Jesienią 1978 roku partyjny przywódca Edward Gierek ze swą żoną faktycznie odwiedził Olsztyn, zaś przygotowywane przez wiele miesięcy występy dzieci na płycie stadionu się nie odbyły. Sąd przy ulicy Dąbrowszczaków spłonął w styczniu 1976 roku, a jego obecny kształt daleki jest od pierwotnego. Niniejsza książka to prócz, mam taką nadzieję, dobrej rozrywki także próba uratowania przed zapomnieniem pamięci o mieście, którego już nie ma. Za wszelkie przeinaczenia i nieścisłości odpowiedzialność ponoszę wyłącznie ja.

Tomasz Białkowski

# Spis treści

[Tytułowa](#)

[Redakcyjna](#)

[Dedykacja](#)

[26 stycznia 2004, poniedziałek](#)

[26 marca 2004, piątek](#)

[10 sierpnia 2004, wtorek](#)

[13 sierpnia 2004, piątek](#)

[14 sierpnia 2004, sobota](#)

[24 stycznia 1976, sobota](#)

[14 sierpnia 2004, sobota](#)

[25 stycznia 1976, niedziela](#)

[14 sierpnia 2004, sobota](#)

[14 sierpnia 2004, sobota](#)

[15 sierpnia 2004, niedziela](#)

[24 grudnia 1977, sobota](#)

[16 sierpnia 2004, poniedziałek](#)

[6 lutego 1978, poniedziałek](#)

[17 sierpnia 2004, wtorek](#)

[18 sierpnia 2004, środa](#)

[19 sierpnia 2004, czwartek](#)

[20 sierpnia 1978, sobota](#)

[20 sierpnia 2004, piątek](#)

[10 września 1978, niedziela](#)

[21 sierpnia 2004, sobota](#)

[22 sierpnia 2004, niedziela](#)

[Epilog](#)

[Od Autora](#)